PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt VII. Miesiąc Kwiecień 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.



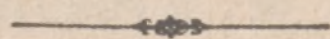
W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

PRZEGLĄD

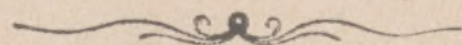
MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt VII. Miesiąc Kwiecień 1875.



Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.



W KRAKOWIE,

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1875.


BIBLIOTHECA JAGELLONICA


Biblioteka Jagiellońska
1002411282

BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA

u historyków, w rzeczywistości i w poezyi.

II.

Barbara w poezyi.

(Dokończenie).

Mówiąc na wstępie o jednostronności, jako o rzeczy zgubnej dla powyższych postaci bohaterów tragedyi lub powieści historycznej, uzasadniałem twierdzenie w ogólności, bez zastanawiania się nad wyjątkami. Chwila teraz stosowna, by co do tego punktu zrobić zastrzeżenie. Jeżeli w ogóle jedno uczucie, jedna namiętność nie zdoła wlać realnego życia w postać ludzką, to przecież wyjątek od tej reguły stanowi uczucie, w którem streszczają się wszystkie strony natury naszej, wszystkie popędy, namiętność będąca jakby ekstraktem wszystkiego, co do pojęcia natury ludzkiej należy — to jest miłość, miłość w ściślejszem znaczeniu. Jednostronność miłości przestaje być jednostronnością, miłość sama jedna zdolna jest wypełnić całą istotę człowieka, stać się całą treścią jego charakteru.

Czy z okazyi utworów powyżej rozbieranych nie przyszło nam także nieraz na myśl: silą się poeci, żeby z Barbary zrobić postać dramatyczną, naciągają jej charakter, wmawiają w nią gwałtowny patryotyzm, a nie byłożby i łatwiej i korzystniej dla samych utworów zużytkować temat ten w poe-

1*

macie miłości w tragedyi nakształt Romea i Julii? Coby się w ten sposób z Barbary i jej tragicznego losu nie dało zrobić? Prawda, że charakterowi bohaterki trzebaby dodać pewien zasób energii, której w rzeczywistości brakowało; ale czyż mniejszem naruszeniem historyi jest dodawanie Barbarze energii patryotyzmu? Czy nie prostszem jest rozwinięcie tylko namiętności, która istotnie w niej panowała, niż narzucanie namiętności, której nigdy nie miała?

Dodajmy, że wtedy i pomysł samobójstwa przez kilku poetów użyty zupełnie inneby sprawił wrażenie. O ile mężczyzna odbierający sobie życie z bohaterstwa, patryotyzmu, może w dramacie nawet wspaniale wyglądać, o tyle kobieta w podobnej sytuacyi estetycznego smaku wcale nie zadawalnia. Lecz Barbara trująca się z miłości do Augusta mogłaby stanowić potężny efekt dramatyczny, nawet mimo to, iż przyzwyczailiśmy się z innem zupełnie patrzyć na nią uczuciem. „O, bo kobiety istotą jest miłość — powiada Kreyssig w prelekcyach p. t. *Shakespeare-Fragen* — w niej, choćby największe zbrodnie popełniła, jeszcze jest piękna, jeszcze wzrusza“ (rozumie się w poezyi).

Niestety, lubo czterech pisarzy z tej strony temat nasz podjęło, nie znalazł się między nimi żaden prawdziwy poeta, żaden dramatyk z namaszczeniem.

Są dwa romanse, w których występuje Barbara; właściwie trzy, lecz o Niemcewiczowym Janie z Tęczyna nie ma co wspominać: wszystkie epizody, w których tam ukazuje się Radziwiłłówna, służą, jak słusznie uważa prof. Tarnowski w prelekcyi o Romansie polskim, jedynie „za pretekst do opisywania obiadów, śniadań i ubiorów, przedewszystkiem ubiorów.“ O tem, co się pod owemi ubiorami kryje, nie wiemy nic.

O pięć lat wcześniej, w r. 1820, wyszła w Paryżu niewielka książeczka p. t. „*Barbe Radzivill*, roman historique“ bez nazwiska autora — Bibliografia twierdzi, że jest nim pani Choiseul-Gouffier z domu Tyzenhaus, zatem Polka.

Nie mogąc dostać oryginału, musiałem poprzestać na polskiem tłumaczeniu, które w rok później wyszło w Wrocławiu. Niestety; bo niepodobna, żeby francuzki oryginał, nawet piórem cudzoziemki pisany był w tak złym języku jak to tłu-

maczenie. Ta polszczyzna już sama wystarcza, żeby przeczytanie małej stosunkowo książki uczynić pracą, mozołem. Cóż dopiero, gdy po za złym stylem i błędami gramatycznemi kryje się najlichsza, jaka być może, treść!

Podobno do tej tylko powieści stosować się może wyrażenie Kraszewskiego o „Sentymentalnych białogłowskich utworach,“ które raczej zacierają rysy Barbary, niż przyczyniają się do ich uwydatnienia. Powstała w czasie kwitnienia u nas tkliwo- a bardziej ckliwo-sentymentalnych romansów, posiada ona wszystkie śmieszności „Malwiny“ lub „Nadzwyczajnej miłości dwojga kochanków nad brzegami Dniestru,“ z tą różnicą, że napróżno szukać tu choć jednego ładnego ustępu, jaki tam przecie niekiedy się spotyka, i że nawet tego, co tamte, nie ma dla nas interesu, żeby z niej poznać można, „jak czuli ludzie i jak swe uczucia wyrażali“ w owym czasie, kiedy ta Barbara była pisaną. Nie, jakkolwiek wiele rzeczy i zwyczajów z początków XIX wieku wydaje się nam teraz śmiesznemi, to jednak ludzie ówczesni do tego stopnia dziecinnymi i niedorzecznymi być doprawdy nie mogli, i niepodobna uwierzyć, aby ta książka podobała się nawet tym, co rozpływać się umieli nad Juliami i Ludomirami.

Notabene, romans zatytułowany jest historycznym, i, jak przedmowa wyraźnie nas poucza, ma pretensyę kreślić obyczaje wieku XVI. Na okazanie, jak dobrze je autor pojął, warto przytoczyć ustęp jeden, który zarazem posłuży jako próbka sposobu pisania i stylu polskiego tłumaczenia. Opisując stosunek Zygmunta z Barbarą w czasie gdy oboje przebywali w Wilnie, jednak ślub ich był jeszcze dla publiczności tajemnicą, korzysta autor ze sposobności, by zrobić następujące zboczenie:

„Nakoniec nikt nie mógł zgadnąć, że Barbara była nie kochanką Zygmunta, ale przyjaciołką i żoną tegoż. Nie wiedziano, jakieby nazwisko nadać poufałości panującej między W. księciem i księżniczką, nie spostrzegano bowiem żadnego z tych znaków, po których poznawano zwyczajnie w zgromadzeniu porozumienie się mężczyzny z kobietą. Znaki te były następujące:

„Trzeba było naprzód, aby dwaj (sic) kochankowie uwiadomili publiczność o tajemnicy ich słabości i miłości; trzeba

było, aby mężczyzna całkiem kochance oddany, dla niej tylko miał oczy i przybrał pogardzającą obojętność dla innych kobiet. Zawsze skrzętny około niej, powinien był się często z nią pokazywać w jednym powozie; powinien był mieć zawsze coś do powiedzenia jej do ucha, usiąść niedbale około niej, nakoniec cieszyć się z wszystkich małych korzyści poufałości, wszystko to w przytomności powolnego męża, który to uważać powinien jako w swojem miejscu, wyjąwszy gdyby chciał iść do rozwodu. Kobieta ze swej strony winna była mnóstwo względów publicznych dla kochanka szczęśliwego lub panującego. Rozumie się dla swych uczuć, dla swej słabości, byłoby to w niejakim względzie poniżać przedmiot: trzeba było uwiadomić świat, familię i dzieci; otóż jest to, co się nazywało szlachetną otwartością, duszą pełną energii niezdatną do udawania i zmyślania. Prócz tego jaka wymowa, jak dowcipne oddanie się w spojrzeniach, gestach i mowie! wszystko było tu jasne i dokładne!“ Te gesta dokładne są niezłe?

Po ustępie o „Cicisbeach“ i różnicy między nimi a „amantem ulubionym,“ zwraca się autor i pyta: „Może zarzucać mi kto będzie ten mały ustęp, lecz zdawał mi się być w swojem miejscu w romansie historycznym. Zachowaj jednak Boże, żeby mnie chciano obwiniać, jakobym obyczaje dzisiejsze mego kraju chciał wystawić!“ — Więc z jakiegoż to czasu są obyczaje? Z wieku „Kmitów, Dzierzgowskich, pancerzy i czupryn podgolonych?“ Opis ten, za którego historycznością pisarz tak obstaje, czyni wrażenie, jak gdyby jedynie w celu dydaktycznym był nakreślony.

I obok takiego cynizmu, egzaltacya, z jaką rozczula się nad eteryczną miłością Barbary. Istotnie pod pewnym względem, jako curiosum może niniejsze dzieło zaciekawić.

Treść zbyt jest mało znacząca, by ją całą opowiadać. Składają się na nią przeważnie tkliwe niespodzianki, romantyczne zwodzenia i pomyłki i przemowy, nigdy się niekończące przemowy, tak, że ludzie nie mówią do siebie inaczej, tylko monologami idącemi czasem przez kilka stron. W jednej takiej pogadance wykłada naprzykład Radziwiłł królowi jednym tchem całą teoryę rządzenia i uszczęśliwienia poddanych, rozwiniętą aż do najdrobniejszych szczegółów.

Początek opowiadania sięga jeszcze w czasy pożycia małżeńskiego Barbary z Gasztołdem, pożycia, które było najlepsze mimo wielkiej różnicy wieku. Kochają się oni jak ojciec z córką, lecz kochają gwałtownie, bo Barbara dzieckiem poszedłszy za mąż, nie zna innej miłości. „Prosta jak natura, podobnie jak ta ozdobiona własnemi wdziękami, piękna bez wiedzenia o tem, zdawało się, iż coś starożytnego, iż jakaś piękność idealna rozlała się po całej osobie Barbary, było to pomięszanie zadziwiające i szacunku godne nauki i otwartości, czystości i wspaniałości naturalnej. Wychowana w zaciszy, nie znając świata, nie wiedząc czyliby były inne roskosze nad te, których kosztowała, obdarzona imaginacyą najżywszą, sercem kochającem i czułem, była wesołą, szczęśliwą, kontentą ze swego losu, ponieważ nie widząc i nie wyobrażając sobie stanu nad swój szczęśliwszego, myśl nie dręczyła jej życzeniami próżnemi, a serce jej pasło się samem uczuciem jej powinności. Nic nie było bardziej poruszającego nad widzenie jej z tą gorliwością czułą i troskliwą, aby mieć pilne staranie około Gasztołda; odbierać jego zdania, powierzać mu swe dobroczynne projekta, swe niewinne zabawy i przemijające troski.“ Była przytem i uczona, bardzo nawet, po grecku i po łacinie umiała tak dobrze jak po polsku, „z Georgikami w ręku przebiegała pola,“ a często mając imaginacyę napełnioną wybornemi wierszami Homera, opowiadała mężowi nieszczęścia Troi.“

Co za ideał kobiety i towarzyszki życia! A to wszystko zawdzięczała mężowi, który sam zajmował się ukształceniem serca i umysłu młodej żony. Kochała go też za to tak silnie, że nawet po śmierci jego, obawiając się być niewierną jego pamięci, unikała towarzystwa mężczyzn, a zwłaszcza spotkania z królewiczem Zygmuntem Augustem, który świeżo przybył do Wilna, słynny już jako „galant“ niebezpieczny każdej młodej kobiecie.

Mimo te przezorności, poznanie się nastąpiło, a ułatwił je rodzony wuj Barbary, Jan Radziwiłł, królewicza powiernik, który odgrywa tu niefortunną rolę pośrednika romansowego. Naprzód pokazał Augustowi swą wnuczkę (sic) przez okno, zaprowadziwszy go w nocy pod mieszkanie starej jej ciotki, a gdy odrazu zakochany królewicz nie zadawalnia się tym ukradkowym widokiem, usłużny wuj wprowadza go do domu

swej krewnej pod zmyślonem nazwiskiem jakiegoś dalekiego nieznanego kuzyna. Naturalnie Barbara wkrótce zakochuje się w tym kuzynku, którego prócz wszystkich możliwych zalet zdobi jeszcze urok nieszczęścia. Zmyślono bowiem znów dalej, że ten młodzieniec za jakieś wojskowe przewinienie został oddany pod ścisłą straż starego Radziwiłła. Młodzieniec, jak łatwo przewidzieć, stara się jak najlepiej Barbarę usposobić dla W. księcia, do którego nawet, jak mówią, ma z twarzy i postaci wielkie podobieństwo. Podobieństwo to daje okazyę do różnych zawikłań, jak np. owe *qui pro quo* przy romantycznem spotkaniu w kościele, gdzie Barbara pewna była, że widziała owego tylko kuzyna, a dowiaduje się potem od wuja, że to był sam Zygmunt August, który także afektem ku niej pała.

Rozwiązanie tych nieporozumień następuje wreszcie, gdy stary Radziwiłł przynosi jednego dnia „wnuczce“ wiadomość, iż W. książę obiecał ułaskawić miłego kuzyna Barbary, pod warunkiem, że ona sama pójdzie prosić go o tę łaskę. Barbara przystaje, jedzie na zamek, i o dziwo! w Auguście poznaje owego kuzyna. Rozgniewana, że ją oszukano, wraca do domu (przedtem musiała jeszcze zemdleć) i postanawia przed natarczywością W. księcia ujść do odległego zamku swych krewnych, do Miru. Gdy jednak i tam ściga ją August, co więcej, uprzedza ją nawet w podróży i wychodzi na jej spotkanie tam właśnie, gdzie ona przed nim się chroniła — już dłużej nie może wytrzymać podwójnego ataku Barbara, rozbrojona jego stałością, ulega i zostaje jego żoną.

Reszta fabuły zbliżona jest do treści tragedyi Felińskiego. Tak jak tam, główne zawikłanie stanowią zabiegi i intrygi Bony, ażeby fortelem lub przemocą rozdzielić Barbarę z królem. Nad drobnemi zaś różnicami, nad szczegółami, jak opis pobytu Barbary w Wilnie po odjeździe Augusta do Korony, bukiety, ognie sztuczne, egzaltacye z okazyi ogrodów i pięknej natury, sentymentalne listy, nowe zwodzenia i niespodzianki itd., nad takiemi szczegółami nie będziemy się dłużej zastanawiać. Dość wiedzieć, że plany Bony zostały zniweczone przez samą Barbarę. Przybyła ona bez wiedzy króla do Krakowa, a zaprowadzona przez świeżo poznaną przyjaciołkę Annę Jagiellonkę do sali sejmowej, ukryta za kotarą podsłuchuje

właśnie ową dramatyczną scenę, gdy posłowie padają na kolana przed królem wzbraniającym się żonę porzucić. W tej chwili Barbara, nie mogąc już dłużej być niemym tylko świadkiem, wybiega ze swego ukrycia i zaklina Augusta, by dla ojczyzny ją poświęcił. Niespodziewane zjawisko sprawia na wszystkich wielkie wrażenie; rozczuleni senatorowie zmieniając w jednej chwili swe zdanie, wołają: Niech będzie królową!

Śmierć Barbary opowiedziana jest w ten sposób. Uroczystości koronacyi nowej królowej zakończył bal dany na zamku krakowskim. Tam Barbara, jaśniejąca w całym przepychu piękności i klejnotów, rozpoczęła tańce, okrążywszy salę z Albrychtem Brandeburskim. Gdy rozgrzana zażądała pić, Albrycht pobiegł po „lody“, lecz M. lekarz przyboczny Bony, zwracając uwagę na ich szkodliwość, podał jakiś napój. Barbara nie podejrzywając nic złego, wychyliła kubek, lecz po chwili uczuła skutki trucizny. Bal zamienił się w żałobę, M. zniknął, tragedya spełniona.

Jak autor pojął Barbarę? Niełatwa odpowiedź. Dowiadujemy się tylko, że była uczciwą, że przez całe życie nie miała sobie nic do wyrzucenia, że była nawet kobietą z charakterem; tylko że to, co w życiu nazywamy charakterem, stałość i wierność pewnym zasadom — to jeszcze nie daje koniecznie charakteru poetycznego, wystarczającego dla dramatu lub powieści.

W powieści historycznej wprawdzie charakter bohatera mniej ważną gra rolę niż w dramacie, zadawalniamy się często dobrem przedstawieniem fizyognomii okresu historycznego. Lecz jeśli i tego nie ma, jeśli jak w naszej Barbarze, pominąwszy fałsze i fikcye bez celu, nic fałszywiej i niedokładniej nie jest nakreślone nad tę właśnie fizyognomię, jeśli cała plastyczność ogranicza się na opisach takich, jak jeden o przybyciu młodego króla do Krakowa, z którego prócz rzeczy i tak łatwych do domyślenia się: że był smutek, gdy umierał Zygmunt Stary, i że byli tacy, co wyszli na spotkanie królewicza — zaczerpnąć możemy samych szczegółów tak tryskających prawdą, jak „że paliły się na ołtarzach kadzidła za konającego, a dzwony zdawały się utrudzone od ciągłego zwoływania wiernych na modlitwy,“ albo w najlepszym razie na pełnym kolorytu miejscowego obrazie karczmy żydowskiej

ze wszystkiemi prosiętami, kurami, kaczkami i żydziakami, co spały w brudnych betach na piecu, „smutny owoc okropnej płodności“—jeśli to jest wszystko, to cóż z całej książki zostaje? Może parę genialnych uwag rozsianych wśród opowiadania, np. że „wielka szkoda, iż z miłością niedozwoloną nie może iść w parze szacunek, ponieważ wiele wdzięków sobie nawzajem udzielają?“

Trudno doprawdy nie zapytać, poco ten romans był napisany. Wprawdzie tłumacz w przedmowie poucza nas o tem, ale cóż kiedy właśnie po przeczytaniu przychodzi się do tego smutnego przeświadczenia, iż zamiast „pokazać, jak mylny zastarzały jest ów u postronnych narodów przesąd, jakobyśmy Polacy od wieków aż do dni naszych barbarzyńcami tylko byli, na których ciż z pogardą i politowaniem się patrzyli,“ służyć może jedynie do utwierdzenia ich w pogardzie przynajmniej literatury naszej, i okazać chyba, że istotnie jesteśmy bardzo ubodzy i bardzo politowania godni, jeśli się u nas takie ramoty piszą, a zwłaszcza jeżeli znajdują czytelników.

O ileż zręczniej już wyzyskaną jest historya naszej bohaterki w Hipolicie Boratyńskim, powieści Aleksandra Bronikowskiego wyszłej w niemieckim języku r. 1825. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że uważam utwór ten za dobry, jednakowoż to pewna, że po wyżej wspomnionej powieści przebiega się kartki Boratyńskiego z uczuciem podobnem, jak gdy porzuciwszy nudne, afektowane a obce nam towarzystwo, wchodzimy pomiędzy dobrych znajomych. Od początku do końca znać rozumnie obmyślony plan, charaktery nietylko bohatera ale i pobocznych figur dość silnie nacechowane i starannie cieniowane przybierają wcale plastyczne kształty i okazują się rzetelnymi motorami działania. Słowem, lubo niejeden zarzut dałby się zrobić, mianowicie pod względem pojęcia ducha epoki, naciąganych szczegółów, nienaturalnych komplikacyi, przecież romans ten zdolny jest wzbudzić interes, czego dowodem mogłoby być i to, że zaraz po wydaniu tłumaczonym był na polskie i na francuzkie.

Przedmiotem powieści jest właściwie miłośc Hipolita Boratyńskiego i Heleny Odrowążówney, wojewodzianki podolskiej, jednak ponieważ osoby główne ściśle z domem Jagiellońskim

są połączone, widownią działania jest prawie ciągle dwór królewski, a do tego czas akcyi całą epokę wystąpienia Barbary na scenie dziejowej obejmuje, przeto i sama Barbara jakkolwiek postać tylko poboczna, dość ważną tu odgrywa rolę.

Autor pisząc swą powieść już po r. 1822, posiadał materyały zupełnie inne niż te, które mieć mogli Feliński, Wężyk; nie dziw też, że Radziwiłłównę lepiej i trafniej pojął od wszystkich swoich poprzedników. Nie przédstawia on jej wcale jako kobietę energiczną, zdolną do wielkich rzeczy dla dobra ojczyzny — nie, Barbara Bronikowskiego jest to dobra, cicha istota, potrzebująca przedewszystkiem ludzkich serc do swego uszczęśliwienia; poczciwa aż do dobroduszności, w której naiwnie w każdym widzi życzliwego, bo sama każdemu jest życzliwą, nikogo nie podejrzywa, choć nawet i są powody, bo podejrzywać nie chce, nie umie. Czynienie drugim dobrze jest jej koniecznością; za tym popędem idąc bez żadnego namysłu, bez sztuki, tylko instynktownie robi wszystko co tylko największa przebiegłość wymyślićby zdołała, aby sobie ludzi zniewalać. Za ten jeden choć ujmujący lecz tendencyjnie naciągnięty rys, jakże prawdziwą jest reszta charakterystyki. Etykieta wszelka obcą jest Barbarze, wdzięczna gdy tylko kto nie okaże się jej nieprzychylnym, uniżoności od nikogo nie wymaga. Cnoty jej są domowe, zalety najlepiej występują w poufnem obejściu. Całe szczęście w miłości Augusta położyła; w jej przywiązaniu do niego nie ma cienia ambicyi. To przywiązanie zaś tak jest wielkie, a tak jej drogie, że za nic na świecie się go nie zrzecze, żadne rezonowanie ani przeciwności go nie przemogą, to uczucie silniejsze od niej samej. Nadewszystko otacza ją pewien urok, urok właściwy naturom pierwotnym, a szlachetnym, wdzjęk tak silny, że czaruje wszystkich co się raz do niej zbliżą.

Do uwydatnienia tych zalet służy każda scena, w której Barbara występuje, zaraz n. p. pierwsza w gospodzie iwanowskiej na granicy terytoryum Korony. Autor bowiem każe wbrew historyi dwa razy zjeżdżać Barbarze do Korony, a pierwszy raz jeszcze r. 1547, na długo przed koronacyą i przed owym sejmem piotrkowskim, i tę chwilę wybrał na początek opowiadania.

Otóż lubo w pierwszej chwili, jak i parę razy później, przedstawia nam się tu Barbara z pewnym cieniem złośliwości, mianowicie w słowach zwróconych do Piotra Boratyńskiego, który z polecenia królewskiego miał towarzyszyć jej w drodze jako kwatermistrz, lecz bez upoważnienia opuszcza swe stanowisko dla jakichś ważnych spraw i pieczę nad dalszą podróżą młodej pani oddaje bratu swemu Hipolitowi, to przecież to nieukontentowanie zbyt jest umotywowane, aby przykrych kilka słów, mogło złe światło rzucić na usposobienie Barbary. Owszem, mała ta jedyna ułomność, będąca raczej kaprysem i bardziej Barbarę zbliża do historycznej, która umiała jak wiemy, być czasem dokuczliwą; dodaje jej w ogóle życia, przerywając monotonność samych cnót i doskonałości.

Zresztą z jakże pięknej strony daje się Barbara poznać zaraz następnie, w ujmującem obejściu z piękną córką właściciela gospody, Teofilą, której słodyczą swą i podarunkiem sowicie wynagradza kilka przykrych uwag i wyrzutów przez zrzędną ochmistrzynię Hornostajową robionych o brak wygód i zły nocleg w gospodzie.

Obszerny i drobiazgowy opis dalszej podróży i dojazdu do Krakowa pomiędzy mogiłą Wandy i kaplicą cmentarną posłużyć tylko może do dorzucenia dwóch niezbyt wyraźnych rysów do portretu Barbary: że była trochę zabobonną, co zresztą u Litwinki wydaje się nam rzeczą naturalną, konieczną nawet, i że musiała mieć znaczny zasób pokory, kiedy do żywego dotknięta nieuważnie prostodusznemi komentarzami Hipolita Boratyńskiego do tych kaplic i grobów dodanymi, przecież ani jednem słowem nie objawiła mu swej niechęci za to, nawet jej wcale nie uczuła do niezręcznego towarzysza podróży.

Jaśniejsze światło na charakterystykę bohaterki rzuca następująca po przybyciu do Krakowa scena przyjęcia dworskiego, które August urządza, chcąc aby Barbara pierwszy raz ukazała się z pewną okazałością swym przyszłym poddanym i żeby zajęciem odrazu śmiałej postawy zaimponowała niechętnym. Gdyby Barbara była zwykłą kobietą, powinnaby jej ta rola dogadzać; jednakże ona owszem czuje się nieośmieloną tą pompą, która właśnie tak wstrętną jest jej naturze. A potem pytanie, czy zdoła zaimponować?

Istotnie na przekór planom króla, pierwszy zaraz prymas Dzierzgowski zimnym i milczącym ukłonem odbiera całą odwagę Barbarze. I kto wie coby się stało, gdyby dobry hetman Tarnowski, widząc przykre położenie królowej, nie osłodził jej tego upokorzenia serdecznem swojem zachowaniem się przy powitaniu. Dalsze przedstawienia i przywitania jakoś pomyślniej poszły, wróciła Barbarze odwaga a nawet po chwili i swoboda, mimo że Bona błyszczała swą nieobecnością, a córkom, które koniecznie być musiały, poleciła jak najoziębłej przyjąć nową bratową, co te sumiennie też dopełniły.

Lecz najsilniejszy atak czekał Barbarę na końcu od wojewodziny podolskiej Odrowążowej. Jest to owa spadkobierczyni Piastów zwana księżną Mazowiecką, wsławiona pretensyami do tronu polskiego i daremnymi zabiegami podobno o rękę Zygmunta I. Autor zmienił historyą o tyle, że tutaj córka jej Helena jest tem narzędziem, które ambitnej matce służyć ma do odzyskania należnego niby stanowiska. Nieprzebierając w środkach wojewodzina ułożyła sobie, że piękna Helena potrafi z serca Augusta wyprzeć Barbarę i prędzej czy później dojdzie do tronu polskiego, za którego jedyną prawowitą spadkobierczynię ją uważa. W tej myśli i nie bez jawnej goryczy wita ona Barbarę i opiece szczególnej króla poleca „pokrzywdzoną sierotę.“

Jakże ujmująco znów znalazła się Barbara w obec tego! Oto nie przypuszczając w swej dobroci żadnej intrygi, podejmuje się dopomagać w tym obowiązku mężowi i w najczulszych słowach ofiaruje swej rywalce przyjaźń jak siostra, bo na matkę zbyt młoda, zresztą nie chce uzurpować praw żyjącej matki. Tym krokiem, jako też całem następnem pełnem serdeczności obejściem względem Heleny, nie tylko raz na zawsze pozyskała sobie miłość i zaufanie tej nawet damy honorowej, lecz w samym zarodzie zniweczyła cały podstępny plan wojewodziny. Zresztą Helena nigdy ani przez chwilę nie przyczyniła się z swej strony do urzeczywistnienia zamysłów matki; zbyt szlachetna to istota, a potem serce jej już było oddane komu innemu; całe też zawikłanie powieści leży w walce między miłością Hipolita i Heleny z jednej, a wysoko sięgającemi planami Wojewodziny z drugiej strony.

Nie będziemy się zastanawiać nad dalszemi epizodami tej wojny, która zacząwszy od powyższego wypowiedzenia stanowi aż do końca treść opowiadania. Epizody jej nie mają ścisłego związku z losami Barbary. Zmuszona nieprzyjemnościami jakich w Koronie doznała, powrócić na Litwę, przepędziła tam w samotności dłuższy czas, aż do samej chwili koronacyi. Wśród tego uderza nas tylko dziwna jej obojętność z jaką od przybyłego z Krakowa Hipolita przyjmuje doniesienie o romansowych stosunkach Zygmunta Augusta z pozostałą przy nim w stolicy Heleną. Owszem karze zazdrośnego młodzieńca swą niełaską. Wprawdzie z dalszego opowiadania przekonywamy się, że istotnie miała słuszność, albowiem nocne króla z damą honorową spacery po ogrodzie nie miały żadnych następstw, jednak ta pewność Barbary już od początku samego, zanim się o prawdzie przekonała musi pozostać dla nas niewytłumaczoną, i zakrawa na obojętność.

Jest jeszcze druga okoliczność odstręczająca nas trochę od Barbary. W czasie jej dobrowolnego wygnania wileńskiego, wyrabia się powoli między nią a młodym paziem Stanisławem Lackim jakaś poufałość, serdeczność, trącąca coraz bardziej miłością a przypieczętowana pocałunkiem, który składa królowa na czole Stanisława, na polowaniu, gdy osłaniając ją przed dzikim zwierzem sam na niebezpieczeństwo się naraził. Wprawdzie wiemy, że Barbara nie lubiła się więzami etykiety krępować zbytecznie, a owe historyczne schadzki jej z królewiczem-kochankiem jeszcze każą wierzyć, że w ogóle na Litwie wiele rzeczy uchodziło podówczas, na któreby gdzieindziej podniósł się okrzyk zadziwienia, to przecież tego za wiele na prostą „przyjaźń nie kochanie.“ Nie możemy pogodzić się z Barbarą, w której sercu obok miłości do Augusta jeszcze druga miłość znajduje miejsce.

Że charakteru epoki też nie pojął autor dość dobrze, okazują te wszystkie polowania, przejażdżki konne po lesie i inne szczegóły konwencyonalne, pozbawione życia i prawdy, a powtarzające się we wszystkich romansach naszych z początku tego wieku. Wadą tą, zwłaszcza brakiem prawdopodobieństwa grzeszy też następująca scena, którą atoli przytaczam, bo rzuca światło na sposób jak autor chciał przedstawić Barbarę samą.

Opozycya zwolna tak się uciszyła, że w przededniu sejmu, na którym król spodziewał się przeprowadzić koronacyę żony, uznano za stosowne, aby Barbara powtórnie przybyła do Korony. Tymczasem Bona, chcąc użyć ostatków swego panowania, wyprawiała w stolicy huczne zabawy z przepychem najpierwszych dworów europejskich. Z jednej z takich zabaw, z balu kostiumowego w Łobzowie postanowiła skorzystać świeżo przybyła incognito Barbara, aby przebrana za wieśniaczkę dostać się niepostrzeżenie do ogrodu łobzowskiego i spotkać z królem, z którym otwarcie połączyć się jeszcze nie mogła. Król miał być o wszystkiem uwiadomiony; wiadomość jednak została przejętą przez nienawistnych i Bona umyśliła użyć tej sposobności do uwięzienia Barbary, która według relacyi w nielicznem tylko towarzystwie miała się zjawić. Przygotowano zasadzkę, i rzeczywiście podczas gdy zabawa w zamku szła w najlepsze, już dość późno w nocy zjawiają trzy niewiasty w strojach zapowiedzianych. Co prawda, świta miała być większą, lecz Barbara nie mogąc się doczekać aż reszta towarzyszek będzie gotowych, odważyła się samotrzeć tylko udać naprzód do ogrodu. Przedsięwzięcie było dość awanturnicze, to też na miejscu same trzy kobiety, ogarnięte ciemnością, nie widząc .spodziewanej straży, zaczęły tracić odwagę. Najśmielsza z nich Teofila służąca (owa piękna córka właściciele gospody w Iwanowicach), chcąc zawołać kogo coby je po nieznajomem miejscu poprowadził, pobiegła naprzód ku zamkowi. Królowa z drugą towarzyszką miały na nią czekać. Z ich osamotnienia korzysta najbliżej stojący służalec Bony, rzuca się na przestraszone... lecz wprzód musiał się zmierzyć z wyskakującym nagle z krzaków Stanisławem Lackim, który w przeczuciu nieszczęścia, potajemnie przygotował się do obrony swej pani. Dzielny a miłością zagrzany młodzieniec ciął tęgo napastnika, nawet poranił i przybyłych temu na pomoc kilku siepaczy, gdy na zgiełk i wołanie Teofili nadbiegła wreszcie gwardya litewska, życie W. księżnej uratowała. Za nią tuż znalazła się i Bona, która nie wiedząc jaki jest wypadek zamachu, spieszyła ukryć ślady gwałtu zanim król się o nim dowie. Widząc zwycięztwo Barbary, nie może pohamować swej wściekłości, udaje, że jej nie poznała, łaje ostatniemi słowy, przezywa nierządnicą bezwstydną. Barbara w pierwszej

chwili myślała, że uda jej się rzeczywiście zachować incognito, lecz wobec obelg przy świadkach jej rzuconych w oczy, duma nie dała dłużej milczeć. Tonem godności pełnym zapytuje: „Czyż może być pani, abyś na prawdę nie wiedziała kim jesteśmy?“ i głosem władczyni dodaje: „Żołnierze, zróbcie miejsce królowej polskiej W. księżnie litewskiej.“ Tymczasem nadchodzi i król, Bona próbując jeszcze ostatniego sposobu chce wmówić w niego, że Barbara miała w ogrodzie schadzkę z młodym paziem; wszakże August odrzuciwszy precz podejrzenie, z goryczą dał zrozumieć matce, aby strzegła się jego gniewu.

Objawiająca się w tej scenie energia z jaką Barbara zdolna jest utrzymać swą powagę i stawić się z godnością naprzeciw nieprzyjaciela jest zapewne rysem mniej historycznym niż bezwzględne słuchanie popędów serca i kaprysu, posunięte aż do lekkomyślności, które tu także żywo występuje. Z tem wszystkiem nie psuje wrażenia, ale owszem wiele uroku jej dodaje. Tak zaufała opiece i potędze swego Augusta, że przy jego boku niczyjej mocy się nie obawia.

Po koronacyi, gdy we wszystkich prawach została z mężem porównaną, wzmocniło się to poczucie własnej godności oczywiście. Oddana swemu szczęściu domowemu, nie umiała wprawdzie zachowywać etykiety dworskiej jako królowa, nie umiała wymagać ceremonialnych oznak uszanowania, lecz na oznaki lekceważenia bardzo się stała dotkliwą. Tem bardziej z drugiej strony oceniała przywiązanie i życzliwość i w przyjaźni niczem się nie dawała zrazić. Dowodzi tego najlepiej niezmienny, dozgonny serdeczny stosunek z córką tej, która była głównym jej wrogiem, z Heleną. Dwie te młode istoty, obie żyjące miłością, a obie wskutek miłości mając zatrute życie, musiały czuć do siebie niezmierny pociąg.

Księżna Mazowiecka jednak nie spoczywała, a znalazłszy sojusznika w Bonie, której upokorzenie dokonanem zostało z wyniesieniem Barbary na tron, przemyśliwała razem z nią tylko nad tem jakby się pozbyć Radziwiłłównej. Wiśnicz, gdzie królestwo zaproszeni zostali przez pojednanego już Kmitę, obrano na miejsce spełnienia zbrodni, która też najzupełniej się powiodła. Wśród świetnej uczty, podczas toastu na swe własne zdrowie wychyliła Barbara truciznę w winie, i nawet nikt nie wiedział kogo o czyn zbrodniczy oskarżyć. Mimo

strasznych cierpień nie umarła odrazu piękna królowa, lecz przewieziona do Krakowa przetrwała jeszcze kilka miesięcy srogiego dogorywania. Skonała na ręku Heleny z przebaczeniem na ustach, bez najmniejszego żalu do tych, co ją zgładzili i.... z patryotycznym frazesem polecającym Polskę królowi i Tarnowskiemu. Ratuje osłabiony tem interes czytelnika pewność, że przynajmniej czuła dokładnie swe nieszczęście, że myśl o rozłączeniu z najdroższym człowiekiem wywołuje uczucie największej boleści.

I Heleny smutny był koniec, bo wkrótce z matką, na której stosunki z czarownicą Urszulą padły pewne poszlaki, musiała przed ręką Augusta schronić się zagranicę; i niedługo po matce dokonała dni swych daleko od Hipolita, na dworze księcia Raciborskiego, który je litościwie był obie przytulił. Zbyteczna dodawać, że ten ostatni szczegół jest czystą fikcyą poetyczną.

Pozostają nam dwa dramaty: Magnuszewskiego i (podobno) Niezabitowskiego. Oba romantyczne, oba w czytaniu nieznośne a w przedstawieniu straszne; oba pisane polszczyzną niemożebną. A jednak nie godzi się ich pod żadnym względem na równi ze sobą postawić.

Zapewne że oczom czy uszom nie chce się wierzyć, gdy u Magnuszewskiego Zygmunt August n. p. w chwili czułego rozmarzenia przymilająco powiada do swych dwóch miłośnic z fraucymeru Bony:

Obu wam za mną jako koń mój rżyć;

— nie przeczę, że w każdym niemal wierszu spotyka się wysłowienia, które miałoby się ochotę uważać za błędy drukarskie, tak są niezrozumiałe lub niesłychane. Przecież po przez wszystkie te dowolności zuchwalstwa przegląda człowiek utalentowany, poeta nawet, tylko dziwak, bzikowaty. — Utwór Niezabitowskiego zdradza autora, który nietylko gramatyki nie miał nigdy w ręku, lecz nie widział chyba ani jednej książki dobrze po polsku napisanej, a nadto pozbawiony jest wszelkiego naturalnego poczucia o tem co stosowne a co nie. Jakże bowiem inaczej sądzić, jeżeli u niego n. p. o matce Barbary, wysokie i poważne stanowisko zajmującej w Wilnie Kasztela-

nowej, mówi Zawisza publicznie: to stara faktorka; zaś Bona witając Augusta przynajmniej 30-letniego mówi mu: zdaje się, wyrosłeś jeszcze; lub gdy się co krok spotyka wyrażenia: robić szczęście narodu, zaszkodził na jej zdrowie, wyrzekać Bogu, że etc. lampy gorzą, rozmężniałeś, zapomnieć na wszystko, przestań mię uwodzić ją tylko (to znaczy nadzieją); ustawiczne przekładnie jak: wszystko wymazane z serca teraz mego; deklinowanie: Radziwiłł, Radziwiłły, Radziwille, Raziwiłłę, Radziwiłłą; stałe używanie przeczenia z 4tym przypadkiem, kładnę zam. kładę, możno zam. można i t. d.

Podobna różnica jak pod względem językowym, zachodzi między obu dramatami i pod względem wewnętrznej wartości w ogóle. Z dwóch, wcześniejszem jest dzieło Magnuszewskiego, atoli ważne powody skłaniają, aby pierwej rozprawić się z Niezabitowskim.

Jeżeli czytelniku chcesz dokładnie poznać co jest romantyzm w literaturze naszej w przeciwieństwie do klasycyzmu, to przeczytaj jego dramat. Tu dopiero, postępowość w porównaniu z Wężykiem, Felińskim! Autor pomija nietylko zasady gramatyki i zasady dawne sztuki, jak: jedność czasu lub miejsca, historyczność charakterów, prawdopodobieństwo akcyi, ale uwolnił się nawet od więzów, jakiemi niektórych poetów krępowała dotychczas konsekwencya i reguły loiki; wszystko to odrzuca ostentacyjnie, pogardliwie, jakby dla okazania, że uznając jedynie swą wolę i natchnienia swego widzimisię, wyższym się uważa nad wszelkie zresztą prawidła.

Dramat ten [1]) — tak podobało się autorowi nazwać tragedyę — dzieli się na pięć aktów ogromnie nierównej objętości; pierwszy więcej niż niż półtrzecia raza dłuższy jest od drugiego. Sceny numerowane przez całą sztukę liczbami porządkowemi, a muszą być dość długie, kiedy w sporej wcale książce jest ich tylko trzynaście.

W czasie jej powstania, już rozpowszechnione były historyczne prace dające dokładne wyobrażenie o Barbarze i dziejach jej stosunku z ostatnim Jagiellonem. Autor też szuka

---

[1]) Drugi z 4 dramatów wydanych prozą w Wilnie r. 1844 bezimiennie.

chluby w tem, że wiele ustępów i powiedzeń jaknajstaranniej powtórzył za historyą. Wierność wszakże w ten sposób pojmuje, że n. p. w sławnej owej scenie sejmowej z r. 1548, śród mów podanych dosłownie, wtrąca najniezręczniej zdania swoje, nieszczęśliwe dopełnienia i dodatki, odbierające rozprawom zwięzłość i urok cały. Któż w mowie Boratyńskiego wynajdzie taki ustęp: „A ojciec twój — na samo wspomnienie o nim, „widzisz łzy w oczach moich, widzisz żal na twarzy wszyst„kich! nie pytał się on o pociechach (sic), ani która rozkosz „przed którą przodkuje.“ i t. d. — Doprawdy, lepszą przynajmniej polszczyzną wysławiał się sekretarz królewski. A następnie cała ta wymyślona dysputa bez końca między Kmitą a Maciejowskim o prawach, swobodach, buncie i uczciwości — dysputa, przy której dziwićby się tylko trzeba cierpliwości króla i posłów, żeby ją byli raczyli wysłuchać. Podobno lepiej było mniej dosłownie kopijować słowa odpowiedzi królewskiej, a więcej dbać o sumienne oddanie głównych punktów tego sejmu; tak otrzymujemy obraz na poezyę zbyt historyczny, a na historyą za fantazyjny i w każdym razie zbyt zawiły.

Nie dość na tem; obok chwilowej zbytecznej sumienności, dowolność znów miejscami jest posuniętą tak daleko, że autor ściąga cały czas objęty dramatem do kilku miesięcy czy tygodni, i to bez żadnej potrzeby, a wbrew zdrowemu zmysłowi czytelnika, który nie może uwierzyć ani zrozumieć, żeby wszystko co zaszło od poznania się kochanków aż do śmierci królowej pomieściło się w tak krótkim czasie. Dla czego dalej z dwóch Radziwiłłów robi braci rodzonych Barbary i jednego młodzikiem pustym i lekkomyślnym, kiedy oni byli braćmi stryjecznymi między sobą, a pustym młodzikiem żaden już wówczas być nie mógł, jakkolwiek Mikołaj Czarny był rzeczywiście usposobienia rubasznego? — Lecz mniejsza o to, są to kwestye stosunkowo podrzędnej wagi, i zupełnie niepotrzebny jest skrupuł, w jakim się „poeta“ z jednego fałszu historycznego usprawiedliwia — jemu raczej tłumaczyć się z wielu innych rzeczy.

Z początkiem sztuki staje przed nami Barbara, młoda wdowa, po pierwszem spotkaniu się z Augustem na dworskiej zabawie, zwierzająca się przed matką ze zmiany, jaką w ser-

2*

cu czuje od czasu poznania dawnego bohatera jej marzeń. — „On przeszedł wszystkie urojenia moje“ woła, i z zapałem opowiada szczegóły tego spotkania, które się zakończyło wyznaniem miłości. „Jedyna świetna gwiazdo na naszym po-„chmurnym horyzoncie — rzekł August w ozdobnym stylu i z pokorą — ty przodkujesz między wszystkiemi urodą, cno-„tą, i wdzięki; my wszyscy o twoją się ubiegać będziemy ła-„skę, ty z nas najgodniejszego wybierzesz.“ Próżne są perswazye matki, uwagi o lekkomyślności królewicza i o przepaści jaka Barbarę odeń dzieli. Barbara nie może wątpić o jego słabości, trudno jej się wprawdzie łudzić, żeby mogła żoną jego zostać, a jednak darmo.... „Zważ tylko — mówi matce — „jak mało na świecie jest serce takich, które zdają się umy-„ślnie dla siebie stworzone, które szukają, dążą, i pragną je-„dne drugich, które raz złączone, do zgonu już rozdzielonemi „być nie mogą. Mamże ja dobrowolnie dwa serca takie oder-„wać od siebie, zatruć spokojność jego, i swoje własne na za-„wsze zatruć szczęście? Albowiem matko nie taję się przed „tobą, ty wiesz nie znałam miłości dotąd... Ale teraz o! po-„znałam teraz całą miłości potęgę, poznałam ją niestety. Dłu-„go w uśpieniu były uczucia, namiętności moje; tem strasznie-„szy ich wybuch, tem gwałtowniejszy. Dla Augusta wszyst-„kiego bym się wyrzec rada, dla niego porzuciłabym wszystko. „Co robić? ratuj mnie matko, radź. Miłość bowiem moja o!“

Czy jest kto coby potrafił coś banalniejszego wymyślić nad to wyznanie? Jeden tylko autor tego dramatu, jak to poniżej zobaczymy. Co zaś do stylu, to pominąwszy jego rozwlekłość i wadliwość, zwrócimy tylko uwagę na charakterystyczne: o! powtarzane w dalszym ciągu z upodobaniem. W ostatniej scenie piątego aktu August parę razy na to jedynie otwiera usta, by powiedzieć: o!— i nic więcej.

W tem przynoszą „bilecik“ od starszego Radziwiłła, donoszący że August wybiera się w odwiedziny do Barbary. Barbara przy całem wzruszeniu troszczy się o to, że nie staranniej ubrana, lecz wreszcie uwierzyła matce, że jej tak ładniej. Z nadejściem królewicza, matka zostawia młodą piękność samą, idąc za radą Radziwiłła młodszego, który nadbiegł był dopiero co „z trzaskiem i pukiem“ uradowany nadzieją przyszłego wywyższenia domu swego.

August „widząc Barbarę samą przybliża się teraz do niej szybko“ i wita ją, lecz ustaje w środku zaczętego komplementu na widok jej pomieszania, chce nawet odejść, ale „ona go w pół gestem zatrzymuje.“ I zaczyna się rozmowa, w której po grzecznościach w rodzaju: „wczoraj cię zaledwie poznałem, a już zdaje mi się i t. d.“ August zapewnia, że ona w sercu jego „wymazała całe brzemię mniemanej wielkości“ i błaga o wzajemność, wołając w uniesieniu, że jeśli stan i urodzenie jego (czem go Barbara reflektowała) jest w oczach jej „występkiem“, to z ochotą dla niej poświęci koronę. Barbara wszakże jeszcze zwraca uwagę na sąd świata i Boga, a po odpowiedzi Zygmunta, że na dobroć Boga liczy, a o świat nie dba, zapytuje: „Mamże i ja nie dbać o niego?“

I tak dalej i dalej ciągnie się filozoficzno-moralna dysputa o namiętności, miłości, obowiązkach i cnocie, której rezultatem jest, że Zygmunt przychodzi do pewności, że Barbara go kocha, mimo jej zapewnień, iż prócz szacunku nic mu „udzielić“ nie może. Gdy wreszcie po długich komplementach królewicza, Barbara klęczącemu przed nią oświadcza: „Zygmuncie, ja kocham ciebie — ale... być twoją nie mogę nigdy“, wchodzi z nienacka stara Radziwiłłowa, królewicz się zrywa z kolan, Barbara ucieka; lecz ciężki zarzut kasztelanowej skłania przypartego do ściany Zygmunta do oświadczenia: „Zamiary moje są prawe, chcę mieć za żonę Barbarę.“

Jednakowoż Barbarze nawet ta stanowcza deklaracya nie wlała zaufania, kiedy na wiadomość o śmierci starego króla w Krakowie znów zaczyna powątpiewać o wytrwaniu królewicza w zamiarze poślubienia jej. A nawet choć odepchnęła ze wstrętem takie zwątpienie, to nie może pozbyć się złowrogich przeczuć co ją dręczą. Coś złego ją czeka, wie to z pewnością, a wyniesienie Augusta na tron może właśnie będzie dla niej nieszczęściem. Zresztą o zaszczyty, o koronę jej wcale nie chodzi, owszem „bez korony ileżby Barbara szczęśliwszą była.“ Człowieka w Auguście kocha, nie króla.

To też gdy wezwana teraz na zamek (pomysł dość oryginalny) usłyszała życzenia króla, aby za nim wkrótce podążyła do Krakowa, gdzie zostanie królową polską, nie może się pogodzić z tą myślą, nie może zwalczyć obawy przed złowrogiem fatum: „Albowiem los nasz czyż od nas samych zależy

„tylko? jest siła tajemnicza, która nami kieruje.... jest Bóstwo, które prowadzi nami (sic). Którenże człowiek oparł się „kiedy przeznaczeniu swemu? czuję że mojem przeznaczeniem „jest nieszczęście. Głos tajemniczy serca, ten nigdy nie myli.“

Wprawdzie takie przekonanie nie powinnoby właśnie odwodzić jej od oddania ręki Zygmuntowi, bo kiedy nikt nie może uniknąć swego przeznaczenia, to i w innym stanie zapewneby go nie zdołała uniknąć. Ale u zakochanych gdzie szukać konsekwencyi, zwłaszcza u zakochanych p. Niezabitowskiego. Wbrew swej fatalistycznej teoryi Barbara tylko w razie zostania królową obawia się nieszczęścia i dlatego w żaden sposób nie może się zdecydować, aby zadość uczynić gorącym prośbom Augusta. Dopiero rozbraja ją zapytanie Augusta: „chyba mnie więc nie kochasz?“ Stawia jeszcze przez chwilę mdły opór, lecz król nie zważając nań wydaje polecenia komu należy i jeszcze tej nocy, przed jego odjazdem, odbywa się ślub potajemnie w zamkowej kaplicy. Dziwna rzecz tylko, że rozkochany August, słuchając rady Chodkiewicza, swego powiernika, aby oszczędzić sobie „tych łez i pożegnań kobiecych,“ wybrał do odjazdu tę właśnie chwilę, kiedy Barbara pod wrażeniem doznanych wzruszeń i wśród przeraźliwych widzeń zemdlała po ślubie.

Jakim sposobem po burzliwych scenach sejmowych, o których już wspominałem, nagle położenie króla tak korzystnej doznaje odmiany, jak to widzimy w czwartym akcie, nie sili się wcale autor nam uwidocznić; dość że naraz wszystkie przeciwności są usunięte i Barbara na koronacyą zjeżdża do Polski. Przez całą drogę na wszystkich stacyach i przestankach korzysta ona z daru mowy, aby odmalować w dyalogach i monologach stan swej duszy. Z natury niezdecydowana, teraz miotana jest najsprzeczniejszemi pomysłami. Najczęściej wspomina o zamiarze wstąpienia do klasztoru dla wyjścia z całej kolizyi; bo wie, że i naród jeszcze jej nie chce i Bona pała nienawiścią. — Lecz nie ma strachu, nie bądźmy tak naiwni jak towarzyszący Barbarze brat, który uwierzył jej słowom i którego ona sama musi wyprowadzać ze złudzenia: „Bracie — powiada mu z uśmiechem — nie lękaj się, albož myślisz, że to dla mnie tak łatwo wyrzec się nie mówię korony, ale Augusta?“ Lecz choć z determinacyą zapewnia:

„będę więc królową,“ choć nawet nie przeczy, że „miło jest być królową polską,“ przecież nie może opędzić się smutkowi i melancholii.

Tych ponurych myśli nie rozprasza ani na chwilę spotkanie z Augustem, gorące jego przywitanie. Gdy on z uniesieniem woła: „teraz łączym się z sobą na zawsze,“ ona tonem dziwnie smutnym powtarza tylko: „ná zawsze.“ August widząc jej bladość troskliwie pyta czy nie jest chora, ona obojętnie odpowiada: „Możem i chora, nie czuję.“ Gdy on cieszy się bliskością koronacyi, ona myśli o Bonie; pragnie zjednać ją sobie, ale jak osoba umierająca, która chce się pogodzić z wszystkimi, mówi nawet wprost o „cichym grobie,“ który ją wkrótce zamknie; a co dziwniejsza z niewytłomaczoną goryczą wymawia Augustowi, iż ten ją pewno zapomni wtedy.

Zkąd przeczucia? Trudno pojąć. Wszakże nie zabijają odrazu owe „zgryzoty i umartwienia,“ na które skarży się Barbara przed bratem. Więc przeczucia pochodzą chyba z jakiegoś natchnienia czy objawienia. . . .

Królestwo odbywają razem uroczysty wjazd do stolicy. Widok Barbary witanej przez tłumy ludu, wprawia Bonę w niepohamowaną złość. Niepojęta to istota owa Bona. Już w trzecim akcie przedstawiła nam się jako obłudna w najwyższym stopniu a zarazem i bardzo niezręczna, jako przewrotność uosobiona a przytem uwielbiana od syna. Tę, która zapewnia, że prędzej wyrzeknie się „odrodnego syna,“ co pojął poddankę, niżeli zniesie upokorzenie, ten sam syn nazywa „najdroższą matką“ — a zaraz po mistrzowskiej scenie udanych łez następuje niebaczne udzielenie synowi machiawelicznych rad, które mu w walce z matką bardzo mogą być przydatne. I teraz w przededniu koronacyi, miotana nienawiścią, postanawia królowa matka bądź co bądź pozbyć się synowej, co jej miejsce ma zająć i rozważa tylko z pomiędzy zbrodni którą wybrać w tym celu, a w końcu po tym wstępie sama przed sobą odgrywa rolę osoby szlachetnej: „Nie, . . . lubię nienawiść i zemstę jawną, lecz tajemnych zbrodni nie lubię, one się nie zgadzają z charakterem, z godnością moją.“

Ta dwuznaczna rola zachowaną jej jest aż do samego zakończenia sztuki. W chwili śmierci Barbary Bona będąc obecną, uczuwa straszne wyrzuty sumienia, upokarza się przed

synową, woła sama do siebie: „Boże, jam jej śmierci nie winna!“ Barbara umarła, a czytelnik jeszcze nie wie: winna, czy nie winna. Jeżeli nie, to dlaczego takie straszne wyrzuty sumienia, a jeśli istotnie byłaby winna, to znów poco sama siebie chce oszukiwać. Czy tak czy nie, zawsze lepsze mamy wyobrażenie o rozumie i sile charakteru Bony, a poznawszy ją z dotychczasowych objawów, przedewszystkiem jako chytrą i obłudną, nie możemy odrazu uwierzyć, żeby się nagle na cnotliwą zmieniła i do samego końca posądzamy ją jeszcze o jakąś nową sztuczkę. Niestety zagadka zostaje nierozwiązaną, przez co rola robi wrażenie niedokończonej.

Takaż dwuznaczność cechuje Kmitę, który jest w przymierzu z Boną; chodzi do niej na narady, a obok tego bierze udział w uroczystościach koronacyjnych, nawet nazywa Barbarę z uwielbieniem „aniołem“ i szczerze wyrzuca sobie, że „śmiał dotąd opierać się szczęściu“ jej.

Jak we wszystkich dramatach, tak i u Niezabitowskiego nie darowano nam spotkania Barbary z Boną przed koronacyą. Każden z autorów silił się, aby z tego zrobić najefektowniejszą scenę z całego utworu. I rzeczywiście, może dałoby się tu osiągnąć wrażenie choć zbliżone do tego, jakie wywiera owo sławne spotkanie Maryi Stuart z Elżbietą w parku; lecz naturalnie nie środkami jakich użył Niezabitowski. Naprzód jak może August być tak ograniczonym, żeby prosić matkę o błogosławieństwo dla siebie a zwłaszcza dla Barbary? Niepodobna żeby się naprawdę łudził, iż ją uprosi. Nie można się też dziwić, że Bona czuje się samą propozycyą najmocniej obrażoną, nazywa synowę nie żoną lecz „chyba tylko miłośnicą“ Augusta, i że zamiast zgody, wywiązuje z tej rozmowy najgwałtowniejszą kłótnię. Podczas bowiem gdy u Schillera dwie królowe nawet w sprzeczce — i to stojąc do siebie w dużo drażliwszym stosunku pana i więźnia — umieją zachować pewną godność właściwą ich randze społecznej, podczas gdy mówiąc sobie najobelżywsze rzeczy nie przestają wywierać wzniosłego wrażenia, to przeciwnie dyalog dwóch królowych polskich przypominać tylko może sprzeczkę zagniewanych przekupek. Na zapewnienia o bezinteresowności uczuć Barbary odpiera Bona szydersko: „Znam ja tę miłość nieszczę-

sną, którą wszyscy królowie umieją wzbudzić w poddanych swoich.“

Barbara. „Nie pani, tej miłości — nie znasz jej pewno. Są dusze, dla których wyższe uczucia niezrozumiałemi będą zawsze.

Bona. Te wszystkie wyższe uczucia i poziome uczynki idą często w parze.

Barbara. Częściej jednak niskie uczucia, gwałtowna mowa i niskie uczynki, te częściej przebywają razem.

Bona. Będęż ja, królowa polska, znosić tutaj dowcipne ucinki Barbary Radziwiłłównej?

Barbara. Królowa stanie za królowę, a Barbara Radziwiłłówna nie ustąpi w niczem przed Boną Sforzą.

Bona. Jak to bezwstydna! ty śmiesz królowę we własnym znieważać domie? Ty śmiesz...

Tu interwencya Augusta przerywa kłótnię, która mogłaby znakomicie być piękną, gdyby nie płaski ton. Lecz mniejsza o to. Zapytajmy jeszcze tylko, czy taka energia licuje z całym dotychczas poznanym charakterem Barbary? Mylę się — owszem licuje doskonale jeżeli, jak wszystko nam wnosić każe, niekonsekwencya jest jedynym charakterem postaci tego dramatu.

I nie tylko postaci samych. Niespodzianka jest główną cechą całej akcyi. Koronacya odbyła się szczęśliwie, wszyscy są pod wrażeniem tej radosnej ceremonii, a król otoczony dworem daje posłuchanie posłom zwiastującym różne dobre nowiny, gdy naraz jak grom spada (i na króla i na nas) w 5 akcie wiadomość o zasłabnięciu Barbary. A co dziwna, oto że tkliwy August nie spieszy do żony, lecz potrzeba aż powtórnego zapewnienia o groźnym stanie chorej, aby go oderwać od spraw państwa. I wtedy jeszcze nie biegnie, tylko zaczyna analizować uczucia nim miotające, robi przypuszczenia czy to nie będzie otrucie, podejrzywa własną matkę, chce zwołać wszystkich doktorów, ofiaruje za zdrowie Barbary połowę królestwa (czemuż nie całe?)...

Nie dziw, że Barbara czekając tak długo, niecierpliwi się i oskarża męża o nieczułość; a czasu nie ma do stracenia, już jest po wszelkiej nadziei ratunku, chwile policzone. Chorobą jej jest rak i to dawny już. Osobliwsza rzecz, żeby

król dotąd był mógł się niczego nie domyślać i oddawał się weselu i zajęciom urzędowym w dniu, w którym ona umrze niebawem. Jeśli autor sądził, że tą niespodzianką zwiększy tragiczność zakończenia, to po cóż tak sumiennie przyjął za powód śmierci historyczne cierpienie na raka. On, co tyle faktów przekręcił, nie mógłże wynaleść jakiej naglejszej choroby. Tak przynajmniej naturalniejszą byłaby nieświadomość niebezpieczeństwa u króla i innych, a przeczucia Barbary zawsze mogłyby zostać przeczuciami. Nawet i pożegnanie nie potrzebowało być skrócone, a tem mniej stracone, bo przecie i w apopleksyi choć niespodziewanie, ale nie zawsze umiera się odrazu.

Trudno sobie wyobrazić coś banalniejszego jak ostatnia scena konania. Cała familia gromadzi się około łoża Barbary, która stylem niecierpliwiąco wyszukanym mówi o śmierci, żegna się z braćmi i z Boną, męża prosi, by szanował swe siły dla dobra narodu i nie ulegał zbytniemu smutkowi. Wreszcie następuje długa tyrada, w której konająca tonem poetycznym przepowiada błogi stan kraju, nie pomijając żadnego szczegółu: „Miasta się wznoszą, wsie zaludniają, kmiotek spokojny szczęśliwy. Sąsiad czci, barbarzyniec się lęka, ziomek błogosławi.“

To wszystko dobrze, ale cóż ma znaczyć, że ta Barbara tak zakochana w Auguście, w ostatniej uroczystej chwili wymówki mu jakieś czyni, i jeszcze na podstawie jedynie przeczuć zupełnie fałszywych, nic zważając wcale na jego zaklinania i przysięgi? „Wiem — powiada — aż nadto wiem dobrze. umarłych zapominają prędko. Ty mnie zapomnisz, Auguście.“ Jest to zagadka, co pozostaje też nierozwiązana.

Chciałem dać obraz postaci Barbary, a powstało z tego streszczenie książki całej, zbyt drobiazgowe doprawdy i zbyt powierzchowne. Inaczej być nie mogło, innej bowiem głębszej treści ani rola Barbary, ani dramat ten w ogóle nie ma. Ja przynajmniej nie umiałem wynaleźć jakiejś myśli przewodniej, ani planu nawet; autor zdaje się sam nie mieć pretensyi, aby go o to posądzano, bo już samemi tytułami aktów (poznanie, ślub, sejm, koronacya, śmierć) wskazuje, że chciał tylko historyą Barbary ująć w formę dramatu, przedstawić właściwie kilka luźnych faz tego żywota, który na nim silne wywarł wrażenie. Tylko że te jego obrazy zamiast uplastycznić bohaterkę, mgłą ją okrywają, a jako błędnie pojęte, bynajmniej nie pomagają

do wzbudzenia sympatyi dla jej tragicznej postaci. Nie potrzeba dowodzić, że wyrobić sobie jakiekolwiek wyobrażenie o Barbarze, jako o charakterze, jest niemożebnem.

Już to wszyscy działacze tego dramatu nie są żadnemi całościami; pokazują się to z tej, to z drugiej strony, raz smutni, raz weseli lub poważni i nic nie działają, tylko opowiadają łaskawie, co w danej chwili myślą; zupełnie jak gdyby kto przeglądając się w zwierciedle głośno mówił co na sobie spostrzega, dlatego, aby dać wyobrażenie o swych rysach tym, do których tyłem stoi obrócony. Postacie takie nie tylko do ludzi nie są podobne, ale nawet do figur woskowych; co najwięcej robią wrażenie sylwetek, z których wyrazu nie poznasz zgoła, zaledwie niektóre linije twarzy.

Zupełnie z innego stanowiska niż wszyscy dotychczas wspomnieni, przedstawił Radziwiłłównę Dominik Magnuszewski. Sądy o nim są u nas bardzo sprzeczne. — Jest to ten sam, który z Zygmuntem Krasińskim miał spółpracować nad Grobem rodziny Reichsthalów. — Literatura tak zwana szalona francuzka wywarła na nim wpływ wielki. Mimo to, jak zwolennicy jego za daleko poszli w pochwałach, tak zdaje mi się, że i przeciwnicy trochę są niesprawiedliwi w krytyce. Ani jedni, ani drudzy nie podnieśli tego punktu, który, zdaniem mojem, najbardziej tu zasługuje na uwagę.

Nie przeczę, że w jego Niewieście polskiej [1]), zwłaszcza w Barbarze, jest mnóstwo wad, że ten język niby archaistyczny, który Magnuszewski chciał stworzyć, zarówno z wzorem tragedyi jest tylko strasznie sztuczny, strasznie niezrozumiały, a często i to w najpatetyczniejszych miejscach strasznie śmieszny; obok tych wad czysto zewnętrznych są i wady wewnętrzne, naciągnięte a z upodobaniem powtarzane dzikie sytuacye, żeby tylko przytoczyć zakończenia z scen trzeciego aktu w Barbarze. A mimo to wszystko zdaje mi się, iż nie będzie za wiele gdy powiem, że właśnie tragedya Barbara dowodzi,

---

[1]) Dzieło to wyszłe w r. 1842 zawiera trzy utwory, które zamiarem autora miały przedstawić typy kobiety polskiej w trzech epokach historyi i zarazem być wzorem dramatu i powieści.

że Magnuszewski był dramatykiem i utalentowanym. Wykonanie najgorsze — jednak pomysł tego rodzaju, że wykonany lepiej mógłby dać całkiem dobrą tragedyę, a pewnie najlepszą ze wszystkich, jakie ten przedmiot traktują. Kiedy wszyscy tamci poeci idą na ślepo za swymi poprzednikami, nie widząc co u nich było przyczyną nieudawania się utworów, pierwszy i jeden Magnuszewski szuka w starym temacie nowego pomysłu; i znajduje całkiem oryginalny, a przy tem dramatyczny w najwyższym stopniu. Dotąd widzieliśmy Barbarę już zakochaną w Auguście, cnotliwą, mniej lub więcej patryotyczną, ale gotową, nieodmienną, nudną; Magnuszewski przedstawia nam Gasztołdową żonę, nie znającą jeszcze ani życia, ani Augusta, dopiero w oczach naszych spotyka ona królewicza powoli, stopniowo przywiązuje się doń i w końcu ulega jego miłości. Pierwszy i jedyny Magnuszewski daje nam bohaterkę nie świętą, nadludzkiemi siłami wspomaganą, ale kobietę i to bardzo kobietę. Czyż takiej los nieszczęśliwy nie większe wzbudza współczucie?

Nawet przeprowadzenie tego założenia nie jest wcale złe, mianowicie co do pomysłu; powtarzam, że szczegółów wykonania nie myślę bronić bynajmniej.

Młoda, niedoświadczona a skłonna do marzycielstwa Barbara z woli opiekunów wydaną została za starego, zdziwaczałego wojowodę Gasztołda. Związek ten pozbawiony wszelkiej poezyi, wszelkiego udziału serca, musiał szkodliwy wpływ wywrzeć na młodociany charakter. Pierwsze wrażenia tak sama później opisuje:

Barbara Gasztołdową tak żoną została.
Żoną? — on w polu; — żoną? — on na ławach,
On lubił więcej w dangowskich dąbrowach
Jak we mnie; — a ja więcej zamyslenie
Lubowałam jak męża. —
Kilkoro skrzyni z szatami ino mi przybyło
A myśl jak była dawniej, ino więcej śniąca,
Aże choroba przyszła.

To chwila, w której dramat się zaczyna. Nie można powiedzieć, żeby wojewoda nie kochał Barbary, kocha nawet bardzo, kiedy mówi:

. . . gdyby nam ją zabrał los, co nie daj Boże,
Płakać by nas nie stało, ale umrzeć — może,

lecz miłość małżeńską pojmuje ze strony najmniej poetycznej:

. . . to żony powinność
Modlić, kiedy mąż cierpi żony. — Męża czynność
W polu kordem i głową, bo w tem męzkość leży;
A białogłowa u nas ta przy boku bieży
W złej dobie koić żale usługą, kolanem.
Mąż u nas nie gitarą żonie, ale panem. . . .

W takiem przekonaniu obchodzi się on z żoną jak ze sługą, co najwięcej jak opiekun z istotą sobie powierzoną; ale jakiejkolwiek tkliwości ani sam pojmuje, ani wymaga. Na łożu śmiertelnem dziś będąc żałuje swych grodów, starostw i zbroi, chorągwi i psiarni, zapala się wspomnieniem kniei i konia — tylko o żonie wcale nie myśli. Widok jej łez zamiast go rozczulić, niecierpliwi go tylko.

Nie dziw też, że Barbarze chcącej się modlić o zdrowie męża, wyrywa się z piersi skarga pełna smutku:

Modlić i cierpieć o Panie!
To naszej polskiej białogłowy życie!
Jeszcze gdy się przy łonie nie zaśmieje dziecie,
To żadnym się obrazkiem nie rozsępią lica,
I stęskni sobie biedna męża służebnica.
A mąż za trudy nasze przy śmiertelnej pościeli
Jeszcze swą myśl między mnie z psiarnią podzieli!

A przecież Barbara bądź co bądź przywiązana jest do męża, szczerze pragnie jego wyzdrowienia, i gdy przybyły lekarz królowej Montio zaspokaja ją co do stanu chorego, Barbara nie posiadając się od szczęścia woła:

. . . Jemu lepiej — Tobie — Bogu chwała

i obiecuje sama rzucić się do nóg królowej za przysłanie pomocy.

Lecz jakże srogiej intrygi pada ona teraz ofiarą. Myśli, że wojewodzie lepiej, a on konający — myśli, że Bonę zdrowie jego istotnie obchodzi, a Bona założyła tylko sidła na nią samą. Trzeba bowiem wiedzieć, że dziwne rzeczy dzieją się podówczas na dworze polskim. Król stary na wojnie wołoskiej, Bona rządzi wszystkiem, i tylko utrzymaniem nadal swej władzy jest zajęta. Dotychczas wystarczały do usypiania dorosłego już królewicza wdzięki Włoszek z frauncymeru Sforcyi. Lecz od pewnego czasu zaczyna budzić się w nim energija, może zechce matce wydrzeć władzę, trzeba szukać nowej broni przeciw niemu, silniejszych i trwalszych ponęt niż te, jakich dostarczyć mu mogły zwykłe „miłośnice.“ Na takie narzędzie upatrzyła sobie Bona żonę umierającego Gasztołda. Młoda, piękna a szlachetna, to godny przedmiot trwalszej miłości Augusta. Trzeba ją koniecznie na dwór sprowadzić.

I udało się. Barbara istotnie przybiega nazajutrz podziękować bonie za troskliwość. Tu wprawdzie bolesne rozczarowanie ją czeka, przekonywa się, że ją tylko „cieszył“ wczoraj doktór co do zdrowia Gasztołda, lecz tu także spotkała Augusta, a znalazłszy w nim spółczucie, odbijające jaskrawo od zimnej obojętności Bony, bezwiednie czuje się dość pociągniętą. Że kochliwy królewicz na widok ślicznej a nieszczęśliwej młodej mężatki odrazu się w niej zakochuje, rozumie się samo przez się. Gdy Barbara odchodząc od Bony z boleścią mówi: „Jeden Bóg, Bóg tylko przy mnie!“ August odzywa się do opuszczonej: „Barbaro, i ja,“ a skinąwszy na Montia towarzyszy jej do domu, niby chcąc się o stanie Gasztołda dowiedzieć.

Tam, mimo wyraźnych już zalecań się królewicza, Barbara jeszcze niczego się nie domyśla, jedyną jej troską „życie mężowe.“ Bo ona istotnie przywiązana jest do niego, i w obawie postradania go szczerze mogła mówić:

Jak w ubogiej chacie
Biedno będzie Barbarze, bo najkosztowniejszy
Sprzęt mojego bogactwa, bo najszanowniejszy
Klejnot mojego domu, toć już grób zabierze.

Jej przywiązanie nie wynika zapewne z miłości serdecznej, ale z przyzwyczajenia i z poczucia obowiązku. Innego

uczucia ona nie zaznała dotąd, i to właśnie daje jej ów dziwny spokój rezygnacyi z jakim mówi:

Młodość moja — nie moja, mego męża, pana.
Barbara Gasztołdowi na życie oddana.
Kiedy rękoma, płaczem, modlitwą u łoża
Nie może go uzdrowić, więc opatrzność boża,
Inną jej zapisała powinność małżeńską,
Jej stać przy jego trumnie z koroną męczeńską,
I póty do niej pukać łzami i powieką,
Aże się jej otworzy to małżeńskie wieko.

Jednakże taki stan naprężony, w którym głos obowiązku zagłuszał poetyczne aspiracye młodej duszy, długo trwać nie mógł. Mógł trwać tylko dopóki to serce nie spotkało pokrewnego sobie serca. Widząc po raz pierwszy człowieka, który się jej uczuciami interesuje, który ją zrozumieć może, czuje Barbara skłonność do otwarcia mu swego serca, do wynurzenia mu się z swych myśli, i czyni to, ale z naiwnością i nieśmiałością osoby, która i sama po pierwszy raz się dowiaduje co w głębi jej duszy się kryło, czyni to pomimowolnie, jakby przymuszona:

Co zaboli tam w głębi, co przemknie jak dziwo,
Mamże trudzić małżonka albo kogo z ludzi?

pyta ona na wezwanie Augusta, przyzwyczajona dotąd zamykać się w sobie zawsze; ona, której do uspokojenia wystarczała myśl, że:

Tak nie kazały matki nasze.

Dziś już to nie wystarcza, wyrywa jej się westchnienie:

Przecież żywe,
I one czuły jako czasem myśl ponudzi
Zagra jakby organy w całem wnętrzu ducha,
Że nasza biedna dusza tej muzyki słucha
Aż do zbielenia włosów. O! ta myśl jak zacznie
Kręcić się krzywo w duszy, to na świat opacznie

Każe nam patrzyć, roić, co nigdy nie było;
O wtedy chce się jakoś miękiego ramienia...
Na którym wsparłszy głowę utuliwszy skronie
Możnaby cicho słuchać, co tak w duchu płonie.

I opowiada dalej swe marzenia o młodym pięknym rycerzu, któregoby mogła kochać całem sercem, i skarży się na twardość mężczyzn, których wszystkich ma za podobnych do Gasztołda. Według niej kobiecie tylko:

— O tak łzę otarłszy
Sieść do krosna i w kłębek pozwijać te nici
Z myślami... Wy pancerzem zszyci,
Nie wrobieni do bólów rzucicie nam słowo
Urągania czy żalu: „Biedna białogłowo!"
Lecz dognać nas w cierpieniu...

Biedna, nie wie, że jest przy niej ten, co ją chce dognać, nie domyśla się, że już oparła głowę na takiem miękiem ramieniu, o jakiem „ongi" marzyła. Z tego co się w tej chwili w jej sercu odbywa, ona sobie zupełnie sprawy nie zdaje — owszem, tak ma głęboko wdrożone zasady cnoty i powinności, że mimo tych wyznań oburza się na trochę śmielsze wyrazy Augusta, pyta: „kędyż poszedł wstyd?" na wyraźne zaś oświadczenie miłości Augusta powstaje, unosi się:

Jako! tutaj do zdobycia
Serce! — Gdzie? obok męża co bez życia
Tam jęczy w bólu, i nim zamknie oczy
Już na dziedzictwo jego inny ręką toczy!

„Gach choć królewicz" woła z zapałem, a gdy ten uspokaja ją, że Gasztołd jutra niedożyje, wzdryga się na tę myśl w niej uczucie ludzkie:

A ty chcesz jeszcze bym dziś dała szyję?
A on jutro by skończył?...
... Więc całe jutro mój Gasztołd by przeżył,
I bacząc na twarz moją mej żałobie wierzył,
I przeniewierczą żonę Bogu by polecał!

Powoli jednak wzniosła duma cnoty ustępuje miejsca prośbie, zamienia się w płacz, słabości oznakę. Opór mięknie, Barbara czuje że będzie zwyciężoną, bo nieprzyjaciel ma sprzymierzeńca w jej własnem sercu. Jeszcze raz ze zgrozą woła: „Bóg skarze," ale widocznie argumenta słabną, już nie oburza się na zbrodnię, ale obawia się tylko niestosowności — nie brzydzi się czynem nieszlachetnym, tylko boi się ściągnąć gniew Boga, boi się skutków.

Wtem z drugiej komnaty odezwał się Gasztołd grobowym głosem: „Barbaro! Barbaro, do mnie!" — Oboje zadrzeli, bo to był jakby „głos Boga" samego.

Łatwo pojąć co się za walka odbywa w sumieniu Barbary, bądź co bądź nie pozbawionej jeszcze całkiem szlachetnych uczuć, gdy nazajutrz jest świadkiem radości z jaką Gasztołd wita przychodzącego królewicza, łatwo zrozumieć, jak każde słowo umierającego w błędzie wojewody, musi ranić jej serce i zamieniać się w srogi wyrzut. Scena ta prawdziwie jest przejmująca. I tu przy łożu drzemiącego męża dokonywa się ostateczna przemiana Barbary. Zwykłemu mężczyźnie, pierwszemu lepszemu zalotnikowi pewnieby nie uległa, jej przyzwyczajenie do cnoty, kazałoby się odwrócić odeń ze wstrętem; ale spotkawszy kochanka, o którym dotąd tylko w marzeniach śniła, łączącego wszystkie wymarzone przez nią zalety; a do tego przyszłęgo króla, czy łatwo jej jest oprzeć się, czy wiele kobiet tak usposobionych jak ona wytrzymałoby tę próbę? Doprawdy nie wiele, wyjątki tylko. „Wy pierwsi tak słodko mówicie" odzywa się ona:

O wy mnie królewiczu mej woli zbawicie!
Wyście mnie już zbawili.

A jednak mimo upadku, znać jeszcze pewną naiwność, z jaką sama nad sobą robi spostrzeżenia:

Jam nie taka jak wczora!...
Dla tej Barbary męża ni choroby nie ma;
Ona w świat inakszemi przerzuca oczyma
I mam rzec? — Tak ciekawie na grób zapatrzała
Jakby tam kogoś szczerze widzieć już żądała.
O to źle dla niewiasty!

Ta spowiedź, lubo nie zbyt prawdopodobna, i nie ma za skutek poprawy, przecież pomaga do wzbudzenia spółczucia, bo pokazuje jak niechętnie Barbara leci w przepaść, jak ją przeraża pokusa, której przecież oprzeć się nie umie. Ona widzi nieprzyjaźń i wzgardę, jaka ją czeka, ani na chwilę nie łudzi się nadzieją korony. Mimo to, woli z Augustem „życie, co będzie jak na grobie kwiaty“ niż „pogrzeb, po którym kadzidło zostanie.“ Do spełnienia przemiany wystarcza groźba królewicza że:

... gdy się August z całą myślą spościeli,
To aż — Barbaro!...

„Aż Gasztołda zbudzi“ kończy Stańczyk zeszedłszy zakochaną parę. Nie wspomniałem bowiem, że Stańczyk reprezentuje w tej sztuce jedyny głos rozsądku na dworze królewskim. Gdy spełzły na niczem jego usiłowania wyprawienia królewicza na wojnę, widzi teraz ze zgrozą na co się zanosi, chce złemu przeszkodzić jakimbądź kosztem. Ostrzeżona przezeń stara królowa, także cofa swe dawne plany, przekonawszy się, że August dalej się posunął niż ona zamierzyła. Ale już jest zapóźno; ani groźby panów, ani łzy matki nie odwiodą Augusta od małżeństwa z poddanką, która stała się panią jego serca.

I z serca Barbary, on także wygnał wszystkie inne uczucia i obrazy. O niczem ona myśleć nie zdoła tylko o nim. W chwili snu Gasztołda, poprzedzającej śmierci jego, Barbara zostawszy sama, klęka w przyległej komnacie i zaczyna się modlić; lecz modlitwa się urywa, myśl odlatuje od Boga, a po głowie zaczynają się roić wszystkie doznane wrażenia, i plątać najrozmaitsze obrazy. Całkiem zaś świadomość siebie odbiera jej wspomnienie słów groźby, którą jej rzucił Stańczyk. Monolog ten, przypominający co do pomysłu trochę swą modlitwą Orcia nad grobem matki, przerywa przybyły niepostrzeżenie August. Barbara w pierwszej chwili jeszcze się waha i mięsza, lecz wkrótce jego pieszczoty ją rozbrajają, podaje się coraz bardziej zdrożnej miłości, zapomina o wszystkiem i „sunęła się w podane Augusta ramiona,“ gdy nagle ukazuje się we drzwiach blady Gasztołd wsparty na Stańczyku, który podsłuchał był całą rozmowę i ostrzegł konającego wojewodę.

Tego krzyk śmiertelny: Barbaro, Barbaro! i przekleństwo rzucone na żonę i kochanka, takie na nieszczęśliwej robi wrażenie, że mdleje. Równocześnie kona Gasztołd, a na to wszystko nadchodzi Bona z licznym dworem, sprowadzona zapewne dla większego wstydu przez Stańczyka. Zarazem nadbiega goniec z wiadomością, że król stary umarł, a gdy August pospieszył przerażony na zamek, Montio z rozkazu Bony ratuje zemdlałą Barbarę, podając jej wodę do której wlał krople z jakiejś flaszeczki. Bona po cichu sobie mówi: „Rok i sześć miesięcy.“

Wyrachowanie nie zawiodło. Z dodanego epilogu przekonamy się, że właśnie w półtora roku Barbara uczuła się słabą. Dla rozerwania jej, a raczej dla zajęcia dworzan i odwrócenia podejrzeń, urządza Montio przedstawienie dyalogowe, podczas którego Barbara mdleje — i kona.

Każden przyzna, że dramat ten przedstawia Barbarę zupełnie z nowego punktu widzenia. I czy mamy prawo gniewać się o to na autora, i oburzać się na Barbarę że upadła?

W żaden sposób. Takie przedstawienie daje naprzód sposobność do efektów dramatycznych daleko silniejszych niż we wszystkich innych pokrewnych utworach. Barbara w naszych oczach przechodzi całą skalę uczuć dzielących niewinność od upadku dobrowolnego, widzimy cały proces, który dokonywa taką zmianę w jej sercu, bierzemy udział w gwałtownej walce, której rezultat do końca nie jest pewny, a której teatrem dusza ludzka. I to nie jest widokiem wzbudzającym spółczucie i utrzymującym w nas najżywszy interes i obawę?

Zresztą jest jeszcze drugi wzgląd. Słabość Barbary, jej upadek jedynie ratuje moralną stronę jej losu. Wyobraźmy sobie osobę cnotliwą, bez plamy, świętą, którąby tak cierpiała jak ona, którąby tyle znieść musiała przez całe życie, a w końcu została otrutą i to bez powodu, bez winy, bez zarzutu słusznego — cóżby to za okropne wrażenie nam zostawiło, co za żal do tego, który kieruje losami ludzi, iż taką niesprawiedliwość dopuścił; co za gorycz i zwątpienie. Rozkosz poetyczna zamieniłaby się w torturę. Bywa i podobna niesprawiedliwość powodem zadowolnienia, ale tylko wtedy, jeśli charakter i niezłomność bohatera i dążności jego zwracają uwagę na świat wyższy, uczą, że ta pozorna niesprawiedliwość

jest tylko wyższą sprawiedliwością, lub drogą do niej. Ale przy naszym temacie o tem mowy nie ma.

Tak zaś, jak uczynił Magnuszewski, poczucie moralne, które w tym wypadku idzie zgodnie z estetycznem, nie ma nic do zarzucenia, sprawiedliwości czyni się zadosyć. Barbary wina jest tem karygodniejsza, ale i tem większe spółczucie rodzi, że idzie w parze z pięknym zresztą charakterem.

ZAKOŃCZENIE.

Przeszliśmy wszystkie poetyczne przedstawienia Barbary Radziwiłłównej. Jakiż jest rezultat tego przeglądu? Czy które zadowolniło całkowicie nasze wymagania? — Żadne. Niemówiąc już wcale o wartości ogólnej utworów, sama postać Barbary prawie wszędzie nie może być nazwaną charakterem poetycznym, a zwłaszcza dramatycznym.

Ależ o Barbarze Magnuszewskiego dopiero co dowodziliśmy, iż jest dramatyczną i jest charakterem. Prawda; jednakże prócz wad zewnętrznych, prócz formy nieznośnej, ma ona jeden niedostatek, który psuje cały efekt dobrego stosunkowo pomysłu dramatycznego. Barbara ta jest niepodobną do Barbary, jaką znamy z historyi, a jeszcze więcej z tradycyi. Nie takiej szukamy. Lecz to nie wszystko. Tyle jest bohaterów w poezyi niepodobnych do swych rzeczywistych typów. Wszakże Radziwiłłówna ma tę korzyść czy niekorzyść nad innemi, że obraz jej tradycyjny tak silnie się zrósł z naszą wyobraźnią, że nam jest tak bliską i tak sympatyczną. Wprawdzie i wszyscy inni poeci nie zostawili jej jaką była, tylko dodawali jej energię lub patryotyzm, co bez wątpienia sprzeczniejszem jest z jej prawdziwem usposobieniem, niż upadek moralny spowodowany miłością, boć wiemy, że była istotą słabego charakteru i sercem żyjącą; — mimo to tak przywiązaliśmy się oddawna do idealizowanej, cnotliwej a nieszczęśliwej Barbary, że ta żona umizgająca się do królewicza przy łożu męża, ta grzeszna

i wiarołomna, bądź co bądź, odrazą nas napełnia i wstręt budzi do całego dramatu. Albowiem to pewna, że cnota wdzięczniejszą jest niż występek, a zwłaszcza większy ma urok wtedy, jeśli jest historyczną, a występek fikcyjnym.

Czy jest zarazem i dramatyczniejszą? tem pytaniem zachodzimy na inne pole, mianowicie potrącamy o kwestyę, czy Barbara taka, jaką była, jest w ogóle charakterem dramatycznym i czy ma warunki bohaterki tragedyi.

Jakto, czy ma warunki? Któraż z postaci historyi polskiej tyle natchnęła dramatów i tragedyi, która rola tyle wsławiła artystek dramatycznych na naszej scenie, co rola Barbary? — Miłość jej do króla, i jego wzajemność nieznająca granic — opór narodu, zawiść Bony, wreszcie śmierć prawie nagła w chwili, gdy po długich burzach szczęście zdawało się być zapewnione — wszak to historya dość tragiczna.

Zapewne. Tak też musieli myśleć i Odyniec i Wężyk i Feliński — a przedewszystkiem Niezabitowski, który sądził, że podzieliwszy dzieje Barbary na 5 głównych punktów, z których ostatnim jest konanie, zrobił dramat. Tylko zapomniał na swoje nieszczęście, że nigdy prawie historya choćby nie wiem jak rozdzierająca, nie jest jeszcze gotową tragedyą, i że unija personalna w osobie jednego bohatera, nie wystarcza sama do połączenia w organizm dramatyczny faktów nie spojonych wewnętrznie ze sobą. Także i tamci pierwsi poeci, choć nieskończenie od niego wyżsi, choć wiele zadali sobie pracy, by postaci Barbary dodać interesu, i przez to istotnie osiągnęli większą jednolitość charakteru bohaterki, i nawet akcyi w swych utworach, — jednak wszyscy (prócz Magnuszewskiego) zapomnieli, że smutny koniec jakiejś osoby nie czyni jej zaraz bohaterką tragedyi.

Schiller w swych rozprawach, o sztuce tragicznej, o wzniosłem, a zwłaszcza w rozprawie: O tem, co nam w tragicznych przedmiotach sprawia zadowolnienie, dobitnie i pięknie wytłomaczył istotę tragiczności. Niepowtarzając już wywodów jego iż nią jest konflikt między dwoma stronami ludzkiej natury, dwoma pierwiastkami, zmysłowym i obyczajowym (Sinlichkeit und Sittlichkeit), że przyczyną zadowolenia jest poczucie wyższej wolności, nie powtarzając tego, jako rzeczy znanych, ograniczymy się na skonstatowaniu, co w praktyce jest tragicznem.

Otoż pojęcie tragiczności ma w zwykłem używaniu dwa spokrewnione, ale przecież różne między sobą znaczenia. Tragicznym nazywamy w szerszem znaczeniu każden zwrot smutny a nagły i nieprzewidziany. Ale to jeszcze nie wszystkie zawarunki. Musi on być konieczną konsekwencyą premis i zawierać gwałtowną sprzeczność wewnętrzną. To, że ktoś nagle staje się zdrajcą i gubi swój kraj i siebie jeszcze nie jest tragicznem. Lecz jeżeli ten nagły zwrot jest konsekwencyą jego charakteru, któryto charakter wszakże dozwolił mu poprzednio być patryotą, jeśli on zdradza mimo chęci, chociaż nie mimo wiedzy, jeśli to jest natura dumna, absolutna, nieugięta, która nie waha się podjąć najryzykowniejszego zadania i w swych zamiarach użyć najdwuznaczniejszych środków, a potem dopiero gdy już cofnąć się nie czas, widzi że jego siły nie dorosły przeciwnościom, że właśnie chcąc sam jeden być dobroczyńcą narodu, przez złe środki stał się nie tylko jego katem, ale zdrajcą, jeśli rozum jego nie pozwala mu niewidzieć złego co zrobił, a miłość własna nieuczuć ciężaru złorzeczeń powszechnych, wtedy zwrot ten nazywa się tragicznym, staje się momentem tragicznym tego człowieka. Nie to jest tragicznem, że Romeo zabija Tybalda, ale to, że wie, iż ten Tybald jest krewnym Julii i to, że on się bić z nim musi z powodu odwiecznej nienawiści dwóch rodów. Że Kromwell demagog staje się tyranem przyszedłszy do władzy, to jest tylko oburzającem; ale to, że ta nagła zmiana i zerwanie z jego przeszłością jest tylko następstwem jego własnych czynów, że takim stać się musiał albowiem stronnicze stanowisko, którem dorobił się władzy, i udział w śmierci króla oburzył przeciw niemu umiarkowanych w całym kraju, że ten bohater choć potężny nie ma mocy wydobyć się z przymusowego swego położenia, to robi tragiczność tego zwrotu.

W drugiem zaś ściślejszem znaczeniu nazywamy tragicznem ogółowe wrażenie, które odnosimy z dobrego poważnego utworu dramatycznego. Podniosłe uczucie budzące się w nas z połączenia przerażenia, współczucia i zadowolnienia wraz z silnem natężeniem rozumu i fantazyi, a wypływające z zaspokojenia naszych aspiracyj do wolności moralnej, wyobrażeń wyższych i wymagań rozumnego porządku w świecie jest specyalną właściwością dramatu, a raczej jednego jego rodzaju: tragedyi.

Wszystkie sztuki, piękno w ogóle podnosi ducha ludzkiego, ale tak żywego wrażenia tak gwałtownych uczuć patetycznych nie budzi żadna ze sztuk, bo żadna nie ma takich potężnych środków, by wywołać to dziwnie wspaniałe wrażenie, jakie rodzi smutny los człowieka walczącego, którego charakter żywo nas interesuje. Jeżeli już los ten spotykający charakter brzydki, wstrętny, takiem może być dla nas źródłem zadowolnienia i poczucia duchowej wolności i wielkości o ileż potężniejszym środkiem staje się; gdy spotyka postać nam sympatyczną, która na karę właściwie nie zasługuje, której musimy życzyć zwycięztwa a przecież widzimy, że los ten jest nieodzowną konsekwencyą założenia, jest nawet słuszny poniekąd.

Ta ostatnia wzniosłość działania nazwana przez Schillera czynną, pozytywną, jest źródłem najwyższego wrażenia tragicznego n. p. w Antygonie grzebiącej brata poległego mimo, iż przez to ściąga na się karę śmierci, spotykamy ją w arcydziele Corneilla zarówno w „Rodrygu, który poczucie honoru powinność synowska uzbrajają przeciw ojcu kochanki, a męztwo robi zwycięzcą jego, jak i w Chimenie córce zabitego zmuszonej także przez poczucie czci i powinności względem ojca stać się kochanka oskarżycielką i straszną prześladowczynią Oboje działają wbrew skłonności, za wyższym obowiązkiem, a oboje równocześnie drżą o siebie wzajemnie!“

Wzniosłości zaś działania biernej, negatywnej, mamy przykłady w Makbecie, w Otellu, w Balladynie, Karolu Moorze gdzie znów wzniosłe wrażenie wypływa z ukazania winowajców. Choć nawet taka Marya Stuart jest nam sympatyczną, choć każdy z tych postaci tragicznych proste ludzkie uczucie nie pozwala nam życzyć śmierci, owszem każe drżyć o ich życie (wyjąwszy gdy jest nią zbrodniarz bez czci i wiary) to przecież pojmujemy słuszność ich śmierci, czujemy iż tak być powinno.

I to poczucie wyrządzonej sprawiedliwości w jednym wypadku, poczucie zaś tryumfu duchowego, jeśli bohater niewinnie pada ofiarą losu wznosi naszego ducha po nad zwykłą miarę, Czujemy nasz rozum i naszą moralną istotę na chwilę wolną od więzów zmysłowych, zbliżoną do najwyższego rozumu, który rządzi światem, do loiki wyższej, której wszystko poddać się musi. Przeraża nas, wstrząsa nami do głębi los bohatera,

a przecież z zadowoleniem szlachetnem uznajemy, że był on koniecznym i potrzebnym do uwydatnienia owej wolności.

Otóż jasną jest rzeczą, że w jednem i drugiem z powyższych znaczeń tragiczność w najściślejszym jest związku z dramatycznością. Bo od tego pojęcia nieodłącznem jest pojęcie cierpienia i wzbudzonego niem żywego współczucia i zadowolenia. A więc z jednej strony współczuć możemy tylko z tym, który dotknięty jest w tem, co ma najdroższego i czuje sam w całej grozie swe nieszczęście, z drugiej zaś zadowolnia nas tylko ten co nie upada pod ciężarem przeciwności, ale opiera im się, protestuje, walczy do upadłego. Nędzarz najstraszniejszy jeszcze nie jest postacią tragiczną, ale w najwyższym stopniu tragiczne wrażenie zrobi Job, który uderzony wszystkiemi naraz nieszczęściami zachowuje niezawisłość duchową i niezłamany pyta Boga zuchwale. Czyś ty taki jak jeden z ludzi i przyjemność ci sprawia cierpienie drugich?

Z tego koniecznego stosunku między zmysłowością a duchowością wynika, że nie jest tragicznem ani cierpienie istoty wyższej nad poziom uczuć ludzkich, wspieranej łaską nadziemską, istoty wyjątkowej, a więc do pewnego stopnia n p. męczeństwo świętego, bo tam za mało się okazuje strona czysto ludzka, pełna czułość na zmysłowe cierpienia; zwycięztwo przy nierównych warunkach zbyt jest niewątpliwe i podziw tylko wzbudza, a nie przeraża, ani też upadek pod ciężarem nieszczęść, który upakarza poczucie wolności, napełnia nas pogardą dla ofiary, a w najlepszym razie politowaniem, jakie budzi bezsilność, nieudolność każda. Bo zbytecznem podobno jest dowodzić, że stanowisko moralne w sądzeniu postępków ludzkich bardzo jest różne od estetycznego, i samobójca n. p. lub zbrodniarz moralnie potępienia godny, może być bardzo pięknym na scenie, i wszczytny sposób budzić w nas estetyczne zadowolenie. To co w życiu jest tak naganne, zuchwałe opieranie się z rządzeniom Opatrzności, to w dramacie właśnie jest zaletą, podczas gdy chwalebne poddanie się, pokora; albo znów zaparcie siebie i zapanowanie nad ludzkiemi żądzami, staje się tam wadą, błędem.

W szerszem zwyklejszem znaczeniu jako moment tragiczny wprawdzie tragiczność nie tak ściśle łączy się z dramatem jak w drugiem, i częściej da się z dziedziny sztuki przenieść do

życia realnego. Mówimy n. p. że tragicznym jest koniec Napoleona, tragiczne położenie ojca, który nagle zmuszony jest zabić swe dzięcię, i t. d. Ale choć na pozór jestto inny zakres, to jeśli głębiej w rzecz wejrzymy, wszystkie takie zwroty i sytuacye choć z życia wzięte i wprost nie dające jeszcze dramatu, przecież tragicznemi są o tyle tylko, o ile są dramatyczne. Na to żeby koniec Napoleona stał się tragicznym, trzeba żeby on czuł całą okropność swego losu, żeby jeśli nie czynną, to wewnętrzną stoczył walkę z sobą samym, gdyż los ten to konsekwencya jego własnego postępowania i charakteru. Ojciec zabijający dziecię, staje się tragicznym dopiero, jeśli jest prawdziwie kochającym ojcem, gdy czuje grozę swego położenia, i zarazem wie, że sam spowodował swe nieszczęście. Więc zawsze walka, kolizya dwóch sprzecznych wpływów, bo rozdarcie człowieka na dwa walczące pierwiastki. Wprawdzie tu walka zwykle odbywa się wewnętrznie, nie objawia się tyle w działaniu co w myśli i uczuciu, i dla tego nie może wystarczyć do utworzenia prawdziwego dzieła scenicznego,, lecz dramatyczną jest.

Jednakowoż nam tu oczywiście o ten ostatni rodzaj tragiczności chodzić nie może; gdy mamy do czynienia z dramatem, to i ta tragiczność nas tylko zajmuje, która jest ściśle dramatyczną, a więc polega na przedstawieniu w mowie i działaniu walki. która się w duszy ludzkiej odbywa, uwidocznieniu wzajemnego oddziaływania zdarzeń na uczucia, a namiętności i uczuć na fakta.

Po tych uwagach, w których co do definicyi trzymałem się książki Gustawa Freytaga p. t. Technik des Dramas 1872, którą można uważać za rezultat dotychczasowych badań o naturze i budowie dramatu, wróćmy do naszego przedmiotu i zobaczmy czy Barbara historyczna ma warunki charakteru tragicznego, bohaterki tragedyi.

Jaki ona dramatyczny interes budzi? Wprawdzie nie można odmówić jej przywiązania do tego, co ją uszczęśliwia, miłości do Augusta, ale z drugiej strony, czy ona walczy by ratować swe dobro? czy ona przyczyniła się choć trochę do tej kolizyi? Nie, Barbara tylko kocha króla, a reszta dzieje się bez jej udziału ona jest bierną w tem wszystkiem. Feliński chcąc dodać jej interesu o tyle z modyfikował historyczną Bar-

barę, że u niego ona chciałaby dla króla siebie poświęcić, ale nie nadarza się okazya. Zresztą to wcale by nas na jej korzyść nieusposobiło. Jeżeli Julia w tragedyi Szekspira z ochotą wychyla flaszeczkę, która może ją o śmierć przyprawić, to nie czyni tego dla ocalenia życia Romea, lecz w interesie wspólnego związku dla siebie samej — ale gdyby z czystej abnegacyi chciała siebie zgubić, ratując tylko kochanka, o ileżby mniej wzbudzała interesu i współczucia! Jakiż dowód że Barbara tak bardzo przywiązana do tego związku, jeśli ma siłę sama go chcieć rozerwać? Zresztą niedorosła do walczenia z przeciwnościami. Drży i cierpi wobec wojny wydanej jej przez Bonę, i cały naród, ale walczyć z niemi gdzie środki? Ona nie przedsiębiorcza, naród do najwyższego stopnia rozzuchwalony; ona na wskróś uczciwa, a Bona niecna wszystkiego zdolna. Z rezygnacyą też czeka końca walki i z rezygnacyą umiera.

Ale nawet śmierć jej wcale nie wynika z jakichś przyczyn przez nią danych, nie jest bynajmniej aktem wyższej sprawiedliwości, ale czysto fizycznym skutkiem choroby. To że kilku posłów zużytkowało tu tradycyą o jej otruciu, aby przez włożenie sprężyn akcyi w ręce przeciwgraczy, zwiększyć interes i to nie zdołało uratować sztuki, dodać tragiczności, bo Barbara ani na taką karę nie zasłużyła, (prócz u Magnuszewskiego, gdzie śmierć występuje jako nemezis za zbrodniczą miłość) ani też swemu przeznaczeniu najmniejszego oporu nie stawia. Słowem jej rola jest tak w historyi jak i w dramacie zupełnie bierną, to też wcale nawet charakterem jej nazwać nie można, a cóż dopiero bohaterką tragedyi.

Czy nie daleko więcej tragicznego interesu budzi Zygmunt August? Naprzód już popełnia on czyn, który ściągnie na niego słuszną karę, a który przecie zjednywa mu najwyższą sympatyą. Miłość jego do pięknej i cnotliwej Barbary, która u człowieka całkiem do siebie należącego byłaby nader szanowną rzeczą, u niego jako u króla staje się niedozwoloną, tembardziej, że małżeństwo bez wiedzy stanów i bez wiedzy rodziców zostało zawarte. Królowi nie wolno dla dogodzenia sobie poświęcać interesów narodu. Cóż dopiero jeżeli zważymy jakimi środkami on swej prywatnej sprawy musi bronić naprzeciw życzeniom narodu, jak nie cofa się przed przekupstwem i różnemi równie szlachetnymi sposobami zjednania sobie opozycyi.

Gdyby to chodziło o utrzymanie powagi królewskiej, o ideę władzy i rządu naprzeciw wkradającej się anarchii i uroszczeniom narodu! Ale wiemy dobrze, że tego wzniosłego celu, który tyle mocy dodawałby jego usiłowaniom, nie miał wcale król, wiemy jak on wogóle zaniedbywał sprawy publiczne, i jak mu głównie chodziło o dogodzenie sobie. To wiele odejmuje ceny charakterowi jego, jako panującego. Choć z drugiej strony zajmuje nas widok króla, który nie zapomniał, że jest człowiekiem, dla rachuby nie zdołał wyprzeć się serca. To też w sercu musimy mu przyklasnąć, gdy w obronie tych praw serca podejmuje odważnie walkę z przeciwnikiem, a zwłaszcza, że tego przeciwnika wcale nie może uważać za słabszego od siebie. Jest nim bowiem naród cały i własna matka. A jednak rozum znów nie może zaprzeczyć, że i naród i matka są w swojem prawie Serce każe życzyć zwycięstwa Augustowi, rozum powiada, że należy mu się kara. I przeczuwamy że prawy charakter nie wyjdzie zwycięzko z tej walki z narodem rozzuchwalonym i matką przebiegłą a bez sumienia.

I przeciw gra, jako produkt rozumu, choć nie sympatyę, lecz budzi żywy interes.

Wreszcie rozstrzygnięcie, w którem walka podjęta z całą samowiedną przez charakter szlachetny lecz nie bez winy, przeciw sile mającej za sobą konsekwencyą wyższą, przechyla się na korzyść tej siły, a bohater czując swą wyższość moralną nad przeciwnikiem, ulega mu, nie mogąc nawet zaprzeczyć, że słusznie uledz musiał: to rozstrzygnięcie czy nie przejmuje nas najgłębszem współczuciem, czy nie wzrusza do głębi? Choć bohater sam zostaje przy życiu, to nie zmienia rzeczy; tem gorzej dlań, katastrofa tem jest smutniejszą, a tragiczność bohatera tem większa, że on przeżył swą klęskę, że on choć z walki wyszedł żywy, ale zwyciężony; że pozbawiony tej, dla której wszystko na kartę stawił, musi panować narodowi, co sprawcą jego nieszczęścia i nazywać dalej matką tę, której nienawidzi, którą nawet gardzi. A przecie jako charakter wyższy nie mści się ani na narodzie, którego przedewszystkiem jest królem, owszem dalej stara się o jego uszczęśliwienie — ani nie może walczyć z matką. To jest sytuacya tragiczna, to charakter stosowny do uwydatnienia wolności duchowej.

Choć jednak naszem zdaniem tylko Zygmunt August może być bohaterem tragedyi na tej historyi osnutej, żaden z poetów tego zrozumieć nie chciał, — prócz jednego, którego utworu niestety w rachubę brać nie można.

Barbara tak piękna, taka dobra, a wreszcie tak niewinnie umiera, więc ją zróbmy bohaterką! Tak sobie wszyscy musieli myśleć, bo jej imieniem zatytułowali swe utwory, ją na front wysuwają, jej każą mówić, lub innym mówić o niej zawsze. Tymczasem Barbara jeszcze może najprędzej mogłaby nadać się na bohaterkę tragedyi, w pojęciu starożytnych. Naprzód u Greków nie tyle chodzi w tragedyi o historyę charakteru bohatera, co o obraz jego w pewnej sytuacyi. Antygona za pierwszym razem już gotowa się pokazuje na scenie, i taką będzie do końca sztuki. Wogóle tragiczność miała więcej liryczny charakter, niż w dramacie nowożytnym. Powtóre fatum, konieczność tak wielka grała tam rolę. I bogowie sami jej się muszą poddać. Ciż bogowie z resztą mieszają się w sprawy ludzkie, i z największą samowolą pomagają lub przeszkadzają śmiertelnym. Wobec takich potęg oczywiście nic nie pozostaje jak ulegać przewadze, robić swoje, a los przyjąć z rezygnacyą. Bo nie są to bogowie miłości, jak Bóg chrześciański, tylko jakieś niezrozumiałe istoty, które mają swe żądze, ambicye i interesa, które w ludzkie interesa nie potrzebują wcale wchodzić.

Otóż Barbary losy odpowiadają temu ostatniemu warunkowi, jako na tle jakiejś fatalności osnute; przypuszczamy nawet, że i co do warunku pierwszego jej charakter odpowiada raczej tragedyi greckiej, niż nowożytnej. Jednak zawsze brakować jej będzie jeszcze jednego warunku. Nawet wobec ananke starożytnej, która nie przypuszczała możebności oporu skutecznego — jedynym środkiem poetów uwidocznienia duchowej wolności człowieka, było nadanie swym tak skrępowanym bohaterom pewnej energii w namiętności, a szorstkość i gwałtowność, z jaką działają, jest ich główną ozdobą. Tej siły i gotowości do czynu brakuje Barbarze zarówno w poezyi, jak brakowało i w życiu.

To jednak, że Barbara taką jaką była nie ma waruków bohaterki tragicznej, to nie może służyć za wymówkę owym poetom, którzy talentu swego doświadczali w tej materyi,

a nie wytrzymali próby. Kiedy postać historyczna nie nadaje się na bohatera tragedyi, to łatwa na to rada: albo tak charakter zmodyfikować i uzupełnić żeby się nadał, albo jeśli się tego nie chce lub nie umie, nie robić tej postaci bohaterem, albo wreszcie nie brać się do tego tematu wcale. Ale obrać sobie właśnie tego na bohatera, który najmniej wymogom dramatu odpowiada, nie zmienić nic, lub mało co w jego charakterze, albo co gorzej, zmienić niewłaściwie i wmawiać gwałtem, w siebie i drugich, że to jest bohater, na co się zda? Choćbyśmy nawet przypuścili, że od takich zmian i modyfikacyj wstrzymywało tego lub owego pewne uszanowanie dla historyi i powszechnych sympatyj narodu, który znał Barbarę i przywiązany był do takiej jaką znał, a przecie konieczny pociąg przykuwał ich do tego tematu, to i tak nic nie zmuszało do robienia z niego tragedyi.

Mało który temat historyczny, a zwłaszcza mało który, może żaden charakter historyczny nie da się żywcem włożyć w tragedyą; nawet Henryk VIII, który więcej robi wrażenie portretu niż którykolwiek z bohaterów Shakespearea, przecież w samych nawet głównych rysach mocno jest przekształcony według wymagań dramatu. Ale znów z drugiej strony mało jest przedmiotów i postaci historycznych, któreby prawie żywcem z nieznacznemi odmianami nie dały się zastosować do powieści historycznej à la Walter Scott. Zwłaszcza za taką uważamy Barbarę, która i sama przez swój stosunek z Zygmuntem Augustem i losy jakie przechodziła tak jest zajmującą i której epoka jest pod każdym względem jedną z najciekawszych i najważniejszych, a dość dokładnie rozświecona przez historyę, aby mogła dać materyał do plastycznego obrazu. O ile obraz epoki historycznej, obyczajów, życia społecznego, cywilizacyi, politycznego stanu, jako główny przedmiot razi w dramacie, o tyle powieści historycznej największą jest ozdobą i zaletą, największą ponętą dla czytelnika.

A zresztą — czyż poetyczniejszą postacią jest Marya Malczewskiego, która dała temat do takiej ślicznej powieści poetycznej? Pomiędzy temi dwoma bohaterkami poezyi zachodzi nawet wielkie podobieństwo, obie nie są charakterami energicznemi, obie w miłości znalazły cel życia, pokochane namiętnie przez mężów, choć obie nierówne im urodzeniem, znala-

zły najzaciętszych wrogów — ta w mężowskim ojcu, tamta w matce. Marya zdradzieckim sposobem pozbawiona życia i Barbary śmierć tradycya przypisuje otruciu.

Tylko o ileż Barbara jako postać historyczna, żona jednego z znakomitszych królów i żyjąca w najświetniejszym czasie polskiej historyi, przedstawia więcej interesu i więcej sposobności do urozmaicenia opowiadania najciekawszemi obrazami.

Więc choć wspomniane nieliczne próby zużytkowania naszego tematu w powieści, wcale nie mogą zachęcić do naśladownictwa, ani nawet okazać słuszności powyższego zdania, trudno wątpić, że znakomitszy jakiś talent potrafiłby z tego zdyskredytowanego przedmiotu zrobić powieść dobrą, i że nawet wcaleby nie potrzebował żałować pracy w tym celu podjętej, gdyż mogłaby stąd powstać powieść bardzo zajmująca i bardzo piękna.

Jednej tylko zalety brakowałoby jej i w najlepszym nawet razie: uroku nowości.

STUDYA
DO
NAJNOWSZEJ HISTORYI NIEMIEC.

(Ciąg dalszy).

III.

Moglibyśmy zamknąć oczy na to wszystko co dotychczas z historyi ostatniego zjednoczenia Niemiec starałem się przypomnieć i podnieść, a już sama sprawa szlezwicko-holsztyńska, nad którą nam się teraz zastanowić wypada, a właściwie już samo zachowanie się w niej „trzecich Niemiec“ i Austryi wytłumaczyłoby nam dostatecznie, czem sobie tak Austrya, jak owe Niemcy, zasłużyły na smutne przejścia z lat 1866—1867.

Nie możemy tu wchodzić w szczegóły tej zawikłanej a przykrej kwestyi szlezwicko-holszyńskiej, „*tedious question*“, jak ją nazwał jeden z dyplomatów angielskich; — wzbogaciła ona o pełne szafy woluminów dyplomatyczne archiwa gabinetów i oddała prawie nowe biblioteki do dawnych bibliotek niemieckich i europejskich stolic.

Nie ma w tem nic dziwnego, że wojna szlezwicko-holsztyńska tyle kosztowała papieru i atramentu, więcej może niż krwi i żelaza; bo nim się w nią wreszcie wdał Bismark,

była ona pierwej przeszło trzydziesto-letnią wojną profesorów i literatów niemieckich. Oni byli w tej wojnie głównie dowodzącymi i dali pierwszy w historyi bardzo nauczający przykład, jak za pomocą umiejętności historycznych, prawno-politycznych studyów archiwalnych, paleograficznych i filologicznych, można zdobywać prowincye. W Niemczech, w tej ojczyznie zasady: umiejętność dla umiejętności, sztuka dla sztuki — sztuka i umiejętność są sobie same celem, — dano pierwszy przykład jak umiejętnością i sztuką można utorować drogę armiom i armatom i zrobić dla nich zwycięztwo i zdobycz zabawką. — Jenerałowie Wrangel, Gablenz i książę Fryderyk Karol, przypuścili tylko ostatni szturm do pozycyi obleganych już od przeszło lat trzydziestu przez Dahlmana, Arndta, Falka Droysena, Waitza i mnóstwa innych wielkich i małych historyków, publicystów, poetów, romansopisarzy niemieckich, szturmujących tomowemi dziełami historycznemi lub drobnymi pamfletami, pieśniami, romansami, archeologią i statystyką; bo jak słusznie zauważał p. Klaczko „świeży podział monarchii Krystyna IX między innemi szczególnościami przedstawia „l'etrange spectacle d'une, une propagande litteraire abouitissant à une invasion armée.

Na Danii mamy najlepszy przykład, jak to bezwiednie czasem można dać powód do ruiny swego kraju i utraty najpiękniejszych prowincyj jeźli się ma „Niemcy“ za sąsiadów. — Jeszcze w XVIII wieku Fryderyk V król duński, polubił literaturę niemiecką i protegował ją w tych czasach, kiedy Fryderyk Wielki nią gardził. — Utrzymywało się to potem tradycyjnie na dworze duńskim i za następnych królów, że kultywowano tamże literatuę niemiecką i honorowano niemieckie talenta. Gdy później za pierwszych czasów Bundestagu po wszystkich prawie krajach niemieckich proskrybowano zbyt wolnomyślnych profesorów i zbyt patryotycznych burszów, Alma mater, w Kiel przyjmowała wszystkich tych wygnańców w swoje gościnne ramiona. — Król Fryeryk VI stawiał wszelką niezawisłość rozwojowi niemieckiej umiejętności na tej wielkiej wszechnicy: którą i jego następcy osłaniali protekcyą. I właśnie ten uniwersytet w Kiel, na którym wedle przepisu rządowogo, każdy kandydat na urzędnika duńskiego biennium wysłuchać był obowiązanym, stał się kolebką tej dla Danii tak fatalnej szlez-

wicko-holsztyńskiej doktryny, która jest tylko jedną z praktycznych konsekwencyj znanego nam już Gothaizmu. — W Kiel panował bezwzględnie profesor Dahlmann, pierwszorzędna znakomitość niemiecka, był on, jak wiemy, jednym z głównych reprezentantów Gothajczyków, w pierwszym rozdziale starałem się choć pobieżnie scharakteryzować tę kamaryllę w jej wewnętrznem działaniu i wpływie — na niemieckie umysły. Usposobienie tych przewódców narodowego ducha i dążności ich w zewnętrznej polityce Niemiec, najtrafniej określa p. Klaczko w tych krótkich słowach: „Jestto rodzaj umysłów gwałtownych i przykrych, posuwających czasem aż do szaleństwa, a zawsze do niesprawiedliwości patryotyzm zawistny i nienawistny, używających przytem niezmordowanej, drobnostkowej i nawet kłamliwej erudycyi na usługi każdej namiętności i każdej żądzy niemieckiego geniuszu narodowego; nie marzą i nie prawią oni tylko o aneksach, rewindykacyach, podbojach, zdobywają w wyobraźni świat cały dla majestatu germańskiej idei *professoria lingua regimen mundi ex postulans.*“ Otóż Dahlmann jeden z głównych reprezentantów tej rasy ludzi był nietylko profesorem, ale i sekretarzem płatnym stanu rycerskiego w Kiel i mając dużo do czynienia z krajowemi archiwami, wypracował był jeszcze w roku 1816 memoryał dla szlachty holsztyńskiej, w którym był już zaród tej i później przez niego głównie rozwiniętej doktryny szlezwicko-holsztyńskiej. — Dowiódł on, że istniała niegdyś wielka wspólność interesów, wspólność praw i ścisły nexsus socialis między szlachtą holsztyńską a szlachtą Szlezwigu i że te dwa księstwa są dawnemi konstytucyami związane ze sobą nie rozłącznym węzłem; z czego zakonkludował, że Szlezwig powinien mieć tesame instytucye i tensam język co i Holsztyn i dzielić w historyi przyszłe jego losy. — Wiadomo, że Holsztyn choć był pod panowaniem duńskiem, należał do związku niemieckiego, Szlezwig zaś był po prostu duńską prowincyą nie mającą z Niemcami innej styczności, prócz geograficznej. — W skutek tego bezpośredniego sąsiedztwa i przez nieostrożność królów duńskich wyrobił się w Szlezwigu ten stosunek, że trzecia część ludności była niemiecką. To było pobudką główną dla Dahlmanna do tych głębokich studyów historycznych i do ułożenia szlezwicko - holsztyńskiego credo (Szlezwig - Holstein Ewig Un-

getheilt bis zur Königs-Au), które później w licznych memoarach, kursach, książkach, pamfletach i dziennikach propagował, wygrzebawszy dawne zapleśniałe dokumenta i dyplomy z lat 1326, 1448 i 1461 na jego poparcie. Patryoci niemieccy zrozumieli wnet doniosłość tych paleograficznych studyów, zrozumieli, że przykuć Szlezwig do Holsztynu znaczy to samo co przykuć go do całych Niemiec, że tu chodzi o zabranie prowincyi, o zyskanie wybornego portu, o opanowanie morza, wreszcie jak to najładniej brzmiało: że tu chodzi o oswobodzenie braci szlezwickich z pod jarzma duńskiego. — W ten to sposób dawne przedwieczne stosunki feudalnej szlachty miały teraz usprawiedliwiać hasło demokratyczne, rewolucyjne i postępowe wielkiej Germanii. — Ciekawe odkrycia Dahlmanna znalazły odgłos po wszystkich prawie uniwersytetach niemieckich i najpierwsze imiona profesorów, jak Waitz, Droysen, Mommsen, Beseler, Sybel i t. d. próbowały swego talentu snując dalsze konsekwencye z teoryi Dahlmanna. — Duch czasu w Niemczech poczuł wielką attrakcyę po za rzekę Eider ku granicom Jüttlandyi, a znaleźli się i tacy genialni publicyści co poszli jeszcze dalej i pytali się czy też naturalnem przeznaczeniem całej Danii nie jest, żeby się stała admiralskiem państwem (Admiralstaat) przyszłej wielkiej Germanii i pieśń *„Schleswig - Holstein meerumschlungen!“* wnet zastąpiła w całych Niemczech dawną pieśń Beckera o niemieckim Renie.

Jak dalece ten popęd do rozszerzenia granic na północy złączył się z całym ruchem rewolucyjnym w Niemczech, wyszło na jaw w roku 1848. — Pierwszym wielkim czynem politycznym na zewnątrz, który chciało dokonać frankfurckie zgromadzenie narodowe, było zajęcie Szlezwig-Holsztynu. — Jeszcze gdy w roku 1846 król duński ogłosił patent 8 lipca, w którym obstawał przy bezwarunkowych prawach duńskiej korony w Szlezwigu, wielka ojczyzna niemiecka przyjęła go okrzykiem oburzenia. Pierwsi profesorowie heidelberscy podnieśli głos przeciw tej „obeldze zadanej honorowi i prawom niemieckiego narodu“ i wystosowali adres do Bundestagu i wszystkich rządów rzeszy w te gorące odzywając się słowa: (Gervinus był autorem adresu), „czyż prawa dopiero co z otchłani aktów z taką pilnością i skrzętnością wydobyte i od

zapomnienia ocalone mają być zniszczone jednem pociągiem pióra?! Nie możemy uwierzyć, żeby nasze gabinety i nasz Bundestag głuchym był na te tak dobrze uzasadnione prawa, w utrzymaniu których interesowane są nawet wprost niektóre domy niemieckie. Nie możemy uwierzyć, żeby niemieckie dwory ślepe były na te najwyższe interesa swoje, które tak szczęśliwie z dobrą sprawą są skojarzone, śmiała decyzya niemieckiego Związku w tej sprawie uratowałaby nas jednym rzutem z tych domowych nieporozumień, jakich teraz jesteśmy ofiarą, bo przecie najgłębszą przyczyną naszego niezadowolenia jest przedewszystkiem to poczucie jakie się w nas obudziło, że wielka zachodzi nieproporcya między siłami naszego wielkiego narodu, a jego znaczeniem na zewnątrz, jakoteż to coraz bardziej rozszerzające się przeświadczenie, że nie ma większego grzechu narodowego i politycznego jak opieszałość.“ Uniwersytety w Bonn, w Lipsku i Goetyndze poszły za przykładem Heidelbergu. — Izby sejmowe w Badenie, Wirtembergii i Bawaryi odgrażały się także, a w sejmie Frankfurckim Dahlmann stanął na czele ruchu przeciw Danii. — W tym samym czasie umarł niespodzianie Krystyn VIII król duński i zaraz bandy ochotników niemieckich, między którymi było dużo studentów z Kiel, wpadły do Szlezwigu, by oswobodzić uciśnionych braci. — Żądano wspólnej konstytucyi dla Szlezwigu i Holsztynu i włączenia Szlezwigu do Związku niemieckiego.

Jeżeli co usprawiedliwia twierdzenie moje na początku Igo rozdziału wypowiedziane: że ostatnia kilkoletnia kryzys niemiecka zakończona ogłoszeniem niemieckiego cesarstwa w Wersalu w roku 1871 jest niejako wznowieniem ery 1848 roku przerwanej tylko na lat kilkanaście reakcyą, to właśnie przebieg sprawy szlezwicko-holsztyńskiej po ponownem wejściu tejże na arenę dziejową w roku 1863. — Tak jak w r. 1846 patent z 8 lipca wywołał w Niemczech burzę i spowodował najazd na Danię, tak znowu w roku 1863 manifest króla Fryderyka VII z 30 marca także jak ów patent w granicach wszelkiej prawowitości traktatami zagwarantowanej wydany, wywołał uchwałę w niemieckim Bundestagu, aby mniemane prawa związkowe wobec Danii z bronią w ręku zaafirmować, wysyłając tamże egzekucyjny korpus związkowego wojska. Tylko

w głównie działającym personalu i w dalszym przebiegu rzeczy zaszły teraz ogromne zmiany, które nam obie te chwile historyczne najlepiej charakteryzują i dają najlepszą sposobność do porównania Niemiec i Europy z roku 1848 a 1863.

W burzliwych latach 1848 i 1849 gabinety europejskie stanęły odrazu po stronie słuszności wobec najazdu Danii przez Niemców. — Anglia porozumiała się z Rosyą i Francyą i broniła nietykalności granic duńskiego królestwa. — Wywarto presyę na Prusy, które także wtedy były do Danii wkroczyły tak, iż wnet musiały zawrzeć w Malmö zawieszenie broni. Frankfurckie zgromadzenie narodowe zaprotestowało wprawdzie przeciw temu zawieszeniu broni i chciało dalej wojnę prowadzić, ale ta „centralna władza niemiecka" nie była uznana przez żadne z europejskich mocarstw, i posłów zgromadzenia barona Adryana i Fryderyka Raumera wysłanych właśnie w tej sprawie do Francyi i Anglii spotkał ten afront, że na żadnym z dworów europejskich nie uzyskali oficyalnego przyjęcia. — Zawieszenie broni przyszło więc do skutku między Danią, a dawnym Bundestagiem. — O władzy centralnej we Frankfurcie nie było nawet wzmianki w dotyczącym akcie. — Gdy pomimo tego jednak w sejmie frankfurckim zawieszenie broni w Malmö 258 głosami przeciw 236 uznano za ważne, mniejszość ogłosiła za zdrajców owych 258 i w skutek tego to właśnie wybuchły owe pamiętne rozruchy frankfurckie z roku 1848, których ofiarą padli: książę Lichnowski i jenerał Auerswald, zamordowani przez motłoch pod bramami miasta. — Austrya i Prusy wnet przywróciły dawny porządek w Szlezwigu i Holsztynie, równocześnie zaś reprezentanci Angli, Francyi, Rosyi, Austryi, Szwecyi, Norwegii i Danii spisali tak zwany *protokół londyński* (8 maja 1852 roku), w którym te wszystkie mocarstwa zagwarantowały nietykalność granic duńskiego królestwa ze Szlezwigiem, Holsztynem i Lauenburgiem. Zarazem ułożono także w Londynie prawo sukcesyjne. — Ponieważ panujący król duński Fryderyk VII schodził bezpotomnie i dużo bocznych linii mogło sobie rościć prawa do sukcesyi, zgodzono się na to, aby po jego śmierci, księcia Glüksburg kuzyna królewskiego na tronie duńskim osadzić. Cesarz Mikołaj, landgraf Heski, Książę Heski Fryderyk, księżniczka Anhalcka itd. zrzekli się wszyscy spraw swoich na rzecz ks. de Glüksburg, zrzekł

się ich także książę Augustenburg, którego prawo dziedzictwa w Szlezwig-Holsztynie były także jednym z głównych dogmatów teoryi Dahlmanna. Sprzedał on swoje prawa i familii za 2 i pół miliona talarów, które mu dwór duński wypłacił. Prusy po niejakiem wahaniu się podpisały także ów *protokół londyński*, za nimi poszły Hanower, Saksonia, Wirtemberg, Hesya Elektoralna i Oldenburg, zaś Bawarya, Baden, Hessen, Darmsztadt, Meklemburg i Sachsen - Wajmar nieprzystąpiły do tego aktu, na co wówczas niezważano, bo większość państw związkowych z Prusami i Austryą zatwierdziły protokół.

Jak więc widzimy rewolucyjna idea niemiecka z ery 1848 roku, idea rozszerzenia granic na północy. wywołała wówczas silną reakcyę i w samych Niemczech i w całej Europie. Zobaczmy teraz jakim biegiem poszły rzeczy w roku 1863 i 1864, gdy znowu ten sam prąd w Niemczech zapanował. — Jeszcze w roku 1852 nim wojska związkowe po ogłoszeniu protokułu londyńskiego ustąpiły z Holsztynu, domagano się od króla duńskiego niektórych *wyjaśnień* (Erläuterungen) co do dalszego postępowania duńskiego rządu w Szlezwig-Holsztynie. Na drodze zupełnie prywatnej, dyplomatycznej korespondencyi między Kopenhagą, Berlinem i Wiedniem, udzielił gabinet duński niektórych objaśnień co do swoich intencyi względem nowo zapewnionych sobie krajów. W sposób bardzo nierozważny i fatalny dla przyszłych losów duńskiego królestwa obiecał Niemcom król Fryderyk VII nie wcielać Szlezwigu do monarchii, ale dać mu pewną autonomię z równouprawnieniem obydwóch narodowości, niemieckiej i duńskiej i zarazem obiecał dać konstytucyę wspólną dla całego państwa. — Król Fryderyk VII czuł się tak zapewnionym gwarancyą prawie wszystkich mocarstw europejskich podpisanych na protokóle londyńskim, że nie obawiał się złych konsekwencyj z tych przyrzeczeń, zwłaszcza, że takowe nie były wcale wciągnięte do londyńskiego traktatu, były to tylko osobiste królewskie *wyjaśnienia*. — Otwierały one jednak drogę wszelkim uroszczeniom niemieckim i ciągłemu mięszaniu się w sprawy duńskie, jak to się zaraz w następnych latach praktykować zaczęło. — Szczególniej ta obietnica królewska, że każe wyrobić konstytucyę wspólną dla całego obszaru duńskiego państwa, była fatalną w następstwach, bo była niepodobną do urzeczywistnienia. Niemcy bowiem protestowały quand même przeciwko każdej kon-

stytucyi, jaką tylko rząd duński ogłaszał, każdą odrzucano w Bundestagu jako nieodpowiednię dla Holsztynu związkowego księstwa i niezgodną z obiecaną autonomią Szlezwigu. — Niemcy same przeszkadzały wszelkiemu rozwiązaniu trudnej kwestyi ukonstytuowania się skomplikowanej monarchii duńskiej, a potem podnosiły głos oburzenia przeciwko „Skandynawskiej perfidyi, fałszywych psów duńskich,“ którzy nie dotrzymują dawnych przyrzeczeń z roku 1852. Bo trzeba wiedzieć, że w języku dyplomatycznym niemieckim *wyjaśnienia* króla duńskiego (Erläuterungen) zmieniły się wnet na „*Erklärungen (oświadczenia)* a później na „*Verpflichtungen (zobowiązania)*. Obiecaną zaś wspólność konstytucyi dla całego państwa duńskiego rozumiano ze stanowiska niemieckiego w ten sposób: że cała monarchia Duńska ma się stosować podług niemieckiego Holsztynu, gdzie Bundestag jako w księstwie związkowem miał swoje prawa, a nie ma się kierować podług interesu rządu w Kopenhadze. Tym sposobem spełzły na niczem wszelkie najszczersze usiłowania duńskie, aby się ukonstytuować w sposób Niemcy zadawalniający, a nierównający się samobójstwu politycznemu. Niemcy protestowały przeciw wyrobionej konstytucyi wspólnej dla wszystkich krajów duńskich z r. 1855 tak dobrze, jak i przeciw wydzieleniu Holsztynu z zupełną autonomią, a ściśnieniem węzłów Danii ze Szlezwigiem z roku 1858 i przeciw wspomnianemu już patentowi z dnia 30 marca 1863 roku, a nie określiły nigdy wyraźnie swoich wymagań, tylko żądały od Dauii nowych propozycyi, o których można było już z góry wiedzieć, że będą odrzucone. — Tak było aż do śmierci króla Fryderyka VII. — Właśnie na półtora miesiąca przed tym wypadkiem, Bundestag 1 października 1863 roku uchwalił był jak wiemy zbrojną egzekucyę przeciw Danii, teraz gdy zaszła ta śmierć niespodziana duch niemiecki w inną uderzył stronę. — Według londyńskiego traktatu wszystkie kraje duńskie jak wiemy odziedziczył książe de Glüksburg jako Krystyan IX. — Niektóre państwa średnich Niemiec przypomniały sobie teraz: że nie podpisały londyńskiego protokułu. Rządy więc tych państw z baronem Beustem na czele również jak i wszystkie lewice izb sejmowych całych Niemiec nawet w Prusiech i Austryi zgodziły się na to: że ten traktat był wprawdzie podpisany przez większość niemieckich państw związkowych, ale nie przez *związek* jako taki, nie jest więc dla niego obowiązu-

jącym co do praw sukcesyi księcia de Glüksburg. — W porozumieniu z całym tym ruchem wystąpił zaraz po śmierci króla Fryderyka VII, Fryderyk książę Augustenburg jako *„Fryderyk VIII książę na Szlezwigu, Holsztynie i Lauenburgu“* opierając się na tych prawach sukcesyjnych, za których zrzeczenie się jak wiemy *za siebie i swoją familią* ojciec księcia Fryderyka wziął był już dwa i pół miliona talarów. — Książę Fryderyk na razie nie zaprotestował przeciw temu krokowi ojca i nie zrzekł się nigdy z owych dwu i pół miliona talarów, pomimo tego jednak wystąpił teraz jako pretendent popierany przez całe trzecie Niemcy i całą niemiecką partyę ruchu, która zrobiła sobie z niego konia trojańskiego żeby na nim wjechać do Szlezwigu. — Prawdziwie pocieszną stronę miał ten ruch cały; ci sami ludzie, dla których bańką mydlaną był wszelki legitymizm, którzy naprzykład tak się odzywali jako raz zrobił von Vincke w pruskiej Izbie przerywając mowę przeciwnika wykrzykiem: *„bleiben sie mir mit ihre Legitimität von Halse!* ci sami ludzie puszczali teraz w świat książki i broszury gorąco się ujmujące za świętemi prawami sukcesyjnemi księcia Augustenburga jedynego prawowitego następcy Fryderyka VII w Szlezwig-Holsztynie, popierając je odwiecznymi pergaminami i studyami genealogicznemi!

W moc uchwalonej egzekucyi w Bundestagu 1 października wojska związkowe, a mianowicie korpusy saski i hanowerski pod dowództwem saskiego jenerała Hacke (razem 6000 ludzi) wkroczyły do Holsztynu dnia 23 grudnia. Niektóre rządy średnich i mniejszych państw Niemieckich wystósowały równocześnie notę identyczną do wszystkich innych Niemieckich Rządów, w której proponowano żeby z powodu wątpliwych praw sukcesyjnych egzekucyę wyraźnie i formalnie zmienić w *okupacyę* kraju. Książę Fryderyk Augustenburg przeniósł się był już wtedy z dotychczasowej rezydencyi swojej z Gotha do Kiel, a książę Gotha picrwszy uznał w nim prawowitego następcę. Gdzie tylko wkroczyły wojska związkowe, Duńczycy ustępowali i wszędzie zatykano chorągwie Augustenburga. Prócz tego w tym samym czasie 31 grudnia zebrało się w Frankfurcie 491 deputowanych z różnych sejmów Niemieckich, którzy sformowali coś na kształt zgromadzenia Narodowego z 1848 roku. Wybrano z pomiędzy siebie wydział 36 jako reprezentantów 36 ciał związkowych, i ten

wydział miał popierać jak najsilniej sprawę Szlezwicko-Holsztyńską w powyżej wskazanym duchu, National-Verein zasilił go swymi pieniędzmi rozwiązawszy utworzony przez siebie poprzednio na ten cel komitet Szlezwicko-Holsztyński. W taki sposób organizował się po roku 1848 pierwszy raz znowu w takich rozmiarach z rewolucyonizowany duch niemiecki, który pchał wszystkie Rządy do energicznej akcyi na zewnątrz, czyli po prostu do zdobywczej wojny.

Sprawa Szlezwicko-Holsztyńska przez to niezmiernie jest ważną w historyi Niemieckiej, że ona to właściwie zdemoralizowała ostatecznie polityczne sumienie Niemieckie. Pomimo reakcyi 1852 roku myśl zaboru Szlezwigu była w całych Niemczech jedną z najpopularniejszych idei. Szlezwig-Holstein meerumschlungen coraz bardziej tętniało w sercach Niemieckich, i zakradło się powoli nawet i do uczciwszych. Niesumienna polityka Niemiecka względem Danii przez kilkanaście lat praktykowania obniżyła powszechne niveau uczciwości politycznej, a tendencyjna literatura i prasa przygłuszyła resztę sumienia. To też gdy przyszło wreszcie do wybuchu w roku 1863 już nie było w Niemczech tego dodatniego żywiołu, który w 1848 roku nawet w Sejmie Frankfurckim jeszcze był przegłosował rewolucyę. W 1863 r. wszystko już mniej więcej jednakowym tchnęło duchem, i nawet w takim uczciwym zresztą organie jak Historisch Politische Blätter, które gdzieindziej wyznają całą niesłuszność ówczesnego postępowania Niemiec w obec Danii czytamy przecież takie ustępy: „Jeżeli całe Niemcy zjednoczonemi siłami zdecydują się w zdobywczej wojnie europejskiej rozbić dawną Duńską monarchię, i zabrać nie tylko Holsztyn ale i Szlezwig dawną Duńską prowincyę to dobrze! *sprawiedliwego* powodu do odwołania się do prawa miecza nie zabraknie, kiedy pod panowaniem Duńskiego i Niemieckiego liberalizmu kwestya konstytucyi stała się niemożebną do rozwiązania.“ Albo na innym miejscu gdzie jeszcze dalej idzie to pismo: „Było to od początku naszem przekonaniem że jeżeli mamy zdobywać, to byłoby najlepiej zdobyć całą Danię dla związku Niemieckiego.“ Te ustępy w artykułach takiego pisma jak: H. P. Bl. otwierają nam daleką perspektywę w bezdeń Niemieckiego ducha i pokazują nam jakiemi on umie chodzić drogami. Bismark który w roku 1849 otwarcie w Izbie Berlińskiej ówczesną wojnę Szlezwicko-Holsztyńską nazwał: *„bar-*

dzo niesprawiedliwą, lekkomyślną i zgubną walką podniesioną dla poparcia niczem nieumotywowanych rewolucyjnych zachcianek [1]), a który w roku 1863 i 1864 sam losy tejże samej wojny w ręce chwyta, i ten sam przez siebie napiętnowany prąd rewolucyjny doprowadza do zwycięztwa, może śmiało o sobie powiedzieć, „nazywam się milion!“ bo jest on przedstawicielem powszechnego wówczas przewrotu opinii w Niemczech, który spowodował iż sprawa Szlezwicko-Holsztyńska połączyła ludzi najsprzeczniejszych przekonań, konserwatystów i liberałów, wyznawców wielko i mało Niemieckiej idei, rządu i postępowców, Reform-Verein i National-Verein do wspólnej akcyi politycznej. Taki to cel nareszcie sprowadził Niemcy do niewidzianej od dawna jedności. Słowa z któremi wszędzie w publicystyce niemieckiej spotkać się można: *kein Fussbreit deutschen Landes wo ein Tropfen deutschen Blutes vergossen ward. soll verloren gehen keine Position weggegeben werden, wo deutscher Arm den deutschen Namen vertheidigt!*“ to są dogmata wobec których każdy Niemiec jest Orthodox; na tem polu niemasz u nich protestantów. Ależ gdzież są granice „*der deutschen Lande!*“ na to pytanie ta sama jest odpowiedź co i na pytanie Arnadta: *Wo ist des Deutschen Vaterland?*

Lecz czyż i Prusy i Austrya dały się tym razem porwać ogólnemu prądowi? pozornie nie; wprawdzie Izba niższa pruska i większość Niemców w Reichsracie wiedeńskim popierała także Augustenburga i wszelkiemi sposobami usiłowała popchnąć rządy na tę samą drogę jaką poszły trzecie Niemcy, ale rząd pruski i austryacki prowadził z niemi walkę parlamentarną jako z opozycyą. Rząd pruski co do ostatecznego celu i natury polityki swojej w sprawie Szlezwicko-Holsztyńskiej nie różnił się wiele od swojej opozycyi. Że Szlezwig-Holsztyn i Lauenburg trzeba Danii zabrać, i że to jest słuszne wymaganie Niemieckiego geniuszu, o tem pan Bismark był tak dobrze przekonany jak i każdy inny patryota Niemiecki; tylko co do sposobu przeprowadzenia tej szczytnej idei różnił on się w zapatrywaniach z ogólną opinią trzecich Niemiec i swojej Izby niższej. Miał on bowiem

[1]) „Ein höchst ungerechtes, frivoles, und verderbliches Unternehmen zur Unterstützung einer ganz unmotivirten Rovolution.“

głęboko w sercu wyrytą tę pruską przypowieść: „*Was Preussens Schwert errungen, das kommt dem ganzen Deutschland zu Gute.*“ Nie uważał on ani za potrzebne ani za stosowne żeby osadzać w Niemczech jeszcze jedną dynastyę na tronie i tworzyć sobie tuż pod bokiem znowu nowe średnie państwo niby drugi Hanower — i tak ten jeden był już dla Prus dosyć ambarasującym. Chciał więc Bismark zabrać cały Szlezwig-Holsztyn ale zabrać go dla Prus i przez Prusy, pruską siłą i pruskiem kierownictwem całej polityki.

Jest to główną cechą polityki Bismarka, że on w głównych celach swoich idzie prawie zawsze za instynktem rewolucyi tak niemieckiej jak powszechnej, ale mało kiedy idzie razem z rewolucyonistami; używa on ich za narzędzie gdzie mu tego koniecznie potrzeba, ale najbardziej lubi samodzielnie, na własną rękę ich dążności przeprowadzać. Rewolucyoniści nie umją się brać do rzeczy, lubią działać *en masse*, to też działanie ich nie ma jednolitości, przez co często im się nie udaje osiągnąć to do czego dążą, lub choć osiągną na chwilę to wkrótce potem bierze znowu górę reakcya. Pani Bismark sam był nie raz świadkiem takiego obrotu rzeczy. Ci ludzie dobrze chcą, ale nie umieją się brać do rzeczy myślał sobie Bismark walcząc w Izbie ze swą opozycyą, powiedział on im to nawet nieraz sam otwarcie. Bismark usiłuje zawsze przeprowadzić wielkie dążności Niemieckie z całym rozmysłem; bez z góry ułożonego planu działania, któregoby się niewolniczo trzymał, ale z całą przytomnością i zdolnością do wyzyskania każdego awantażu chwili. Przytem dba on nie tylko o to, by się to co zamierza udało, lecz by zarazem przeciw temu co raz dokonał wszelką reakcyę zrobić niemożliwą, a że często rewolucyjne miewa cele, jest on więc rewolucyonistą „*par excelance*,“ najniebezpieczniejszym ze wszystkich, bo ma *savoir faire* tak, jak żaden ze współczesnych.

To też dotychczas wszystko mu się wiodło w polityce, gdzie szło tylko o grę z ludzkiemi namiętnościami lub z ludzką słabością zawsze tryumfował; dopiero teraz w tej ostatniej walce, jaką p. Bismark rozpoczął z potęgą, która nigdy nie da się tak zgnieść, żeby się stała niezdolną do wywołania reakcyi, której reakcyjna siła owszem w miarę ucisku się wzmaga, dopiero teraz zawiedzie on się na swojem *savoir faire*. Ale

w 1863 i 1864 r. nie można mu odwówić mistrzowstwa, bo istotnie grę miał trudną, a na wszystkich punktach był zwycięzcą, bo umiał nawet i przeciwne sobie siły tak zużyć, że pracowały dla niego. — Chodziło mu jak wiemy o to, żeby przyłączyć Szleswig-Holsztyn i Lauenburg do monarchii pruskiej wbrew ogólnemu prądowi za Augustenburgiem, jaki wówczas w całych Niemczech a nawet i w Prusiech zapanował, wbrew rywalizującej potędze austryackiej, która nie mogła zezwolić dobrowolnie na takie rozszerzenie się Prus na Północy. Wreszcie chodziło o to, żeby przeprowadzić to wszystko także wbrew całej prawie Europie podpisanej na londyńskich traktatach z 1852 r., które koniecznie trzeba było złamać, żeby dojść do celu. Otóż złamać je tak, żeby pomimo tego uniknąć europejskiej wojny, to było najtrudniejsze zadanie dla p. Bismarka. Trzeba jednak przyznać, że i okoliczności same o wiele mu je ułatwiły, chociaż i to prawda, że nie każdy by je tak umiał wyzyskać jak Bismark.

Ze śmiałością i odwagą cywilną godną lepszej sprawy, prowadził on walkę z opozycyjną większością berlińskiej Izby niższej, gdy ztamtąd chciano z góry program zewnętrznej polityki narzucić rządowi i 9. listopada następującą podano petycyę: „Honor i interes Niemiec wymagają, żeby wszystkie niemieckie państwa strzegły praw do księstw Nadelbańskich, uznały księcia Fryderyka jako księcia Szleswicko-Holsztyńskiego, i pomogły mu do wejścia w swoje prawa.“ Gdy 1 grudnia ten wniosek przyszedł pod obrady, skorzystał z tej sposobności Bismark, żeby stanowisko i zamiary rządu jak można w danych okolicznościach jak najwyraźniej określic, przytoczę tu większą część tej mowy, bo widzieć można z niej najlepiej jak rząd pruski pojmował kwestyę Szleswicko-Holsztyńską, w czem się schodziły, a w czem się rozchodziły ówczesne dążności pruskie a niemieckie — a przytem jest to program, wedle którego wówczas jak najściślej rząd pruski postępował. „Nasze stanowisko, mówił Bismark, jest zależne od przeszłości, od której następstw samowolnie nie możemy się oswobodzić, a która nam nakłada obowiązki względem księstw, względem Niemiec i względem mocarstw europejskich. Zadaniem naszej polityki będzie odpowiedzieć tym zobowiązaniom się w ten sposób, w jaki nam nasz najwyższy polityczny obowiązek, to jest dbałość o honor i bez-

pieczeństwo naszej własnej ojczyzny rozkaże. Dla stanowiska Prus jest przedewszystkiem ważny traktat londyński z 1852 r. można się skarżyć, żeśmy go podpisali, ale stało się, a teraz i honor i roztropność nakazuje nam *nikomu nie dać powodu do powątpiewania o naszej wierności traktatom*. Ponieważ jednak uznajemy je za ważne dla siebie, to obstajemy także przytem, żeby i Dania je za ważne uznawała. Londyński traktat był zakończeniem długich rokowań, jakie w roku 1851 i 1852 między Danią i Niemcami robione były, z tego wypływające późniejsze przyrzeczenia Danii i ten traktat, które Prusy i Austrya na mocy tychże w Londynie podpisały, zależą tak od siebie, że razem albo stoją, albo upadają. Utrzymanie się na tem stanowisku jest szczególniej ważne dla Szleswigu, daje nam prawo, żądać od Danii wypełnienia przyrzeczeń względem tego księstwa. Jeźliby wraz z londyńskim traktatem i nasze umowy z 1851—1852 r. upadły, to nie mamy wtedy żadnej podstawy uznanej przez mocarstwa europejskie do praw względem Szleswigu. Uwolnienie się od traktatu odebrałoby niemieckim żądaniom co do stanowiska Szleswigu, traktatową podstawę, a stworzenie nowej byłoby zależne od nowych rokowań albo od losów europejskiej wojny. Żeby jednak te traktaty miały dla nas siłę obowiązującą, potrzeba także, żeby i ze strony Danii sumiennie były wykonane. — Że to się jednak dotąd nie stało, myślę, że o tem nikt nie powątpiewa, i uważam za zbyteczne wdawać się tu w wyliczanie szczegółów. *Ale decyzyę w tej kwestyi czy i kiedy my przez niespełnienie duńskich zobowiązań mamy uważać się za uwolnionych od traktatu londyńskiego, tę decyzyę musi rzad zastrzedz dla siebie, nie może on tego zostawiać ani Związkowi do rozstrzygnięcia, ani panom się z tego tłumaczyć.* Umówiliśmy się z rządem austryackim w skutek czego zgodne zachowanie się obu mocarstw co do londyńskiego traktatu i jego konsekwencyi jest tymczasowo zapewnione. Jak długo londyńskiego traktatu nie uważamy za upadły, widzimy w królu Krystynie spadkobiercę słuszności i niesłuszności jego poprzedników. Tym sposobem powody, dla których uchwała egzekucyi z 1 października zapadła trwają ciągle, a okoliczności każą ją prędko wykonywać. W tym celu postawiliśmy wspólnie z Austryą potrzebne wnioski, a jakakolwiek o nich uchwała we Frankfurcie zapadnie, Prusy w każdym razie i na każdy sposób

będą obstawać przy niemieckich prawach w księstwach, i będą działać odpowiednio znaczeniu swemu jako europejskiej potęgi i związkowego państwa niemieckiego.“

Jak widzimy więc, różnica zapatrywań w tej kwestyi między rządem pruskim a ogółem niemieckim była w tem głównie, że Prusy biorą za punkt wyjścia swego przyszłego działania traktat londyński i owe *wyjaśnienia* króla duńskiego, które później w Niemczech uważano za najściślejsze zobowiązania, ogół Niemiec zaś, doktrynę Szleswicko-Holsztyńską o nierozdzielności księstw obu z prawami sukcessyjnemi domu Augustenburgskiego brał za podstawę. — Widzimy jednak i z tej mowy Bismarka, że on już i wtedy właściwie traktatu londyńskiego nie uważał za obowiązujący bo przyrzeczenia Danii wedle niego były niedotrzymane, zastrzegł więc rządowi: „*rozstrzygnięcie kwestyi czy i kiedy Prusy przez niedotrzymanie duńskich zobowiązań się będą w możności uchylenia się z pod londyńskich traktatów.*“ [1]) Że jednak w każdym czasie Danię najechać można, „*aby upomnieć się o niemieckie prawa w księstwach i poprzeć tamże powagę Niemiec*,“ w tej głównej rzeczy otwarcie wypowiedział zgodne przekonania z opinią ogółu i swojej izby niższej. Co się zaś tyczy Augustenburga to pominąwszy, że już dla tego Bismark nie mógł go popierać, iż myślał sam o zaborze księstw Nadelbiańskich dla pruskiej monarchii, to prócz tego przyznać trzeba, że i ze stanowiska nie tylko pruskiej ale i *ogólnej niemieckiej* polityki sam rozum polityczny wskazywał, że na tej drodze, na jaką wtedy Niemcy Prusy popchnąć chciały, nie można było dojść do zamierzonego przez nich celu t. j. do oderwania tych krajów od Danii. Owszem w ten sposób działając, jak tego chciała wówczas cała partya ruchu, mogły były Niemcy łatwo obrócić miecz przeciwko sobie; politycy średnich Niemiec i tej partyi zakrywali oczy na tę więcej niż pewną ewentualność; że gdyby zamierzona przez nich wojna zdobywcza pod sztandarem Augustenburga i z naczelnym dowództwem Prus była istotnie wybuchła, to Europa nie mogłaby była patrzeć

---

[1]) „Die Entscheidung über die Frage, *ob und wann* wir durch Nichterfüllung der dänischen Verpflichtungen in den Fall gesetzt sind, uns vom Londoner Vertrag loszusagen.“

na to obojętnie. Niemcy prowadząc rzecz tak manifestacyjnie, mogły były łatwo znaleść się wobec skoalizowanych mocarstw europejskich, tak jak Francya w roku 1792. Na to niebezpieczeństwo już sam rozum polityczny bez względu na pruskie żądze zaborcze nie pozwalał Bismarkowi ani Niemiec ani Prus narażać, już więc dla tego samego nie mógł być za Augustenburgiem. Z drugiej strony było mu to bardzo nawet na rękę, że się mógł obejść w tej całej sprawie bez pomocy owej partyi ruchu, rozchodząc się z nią w zapatrywaniach, bo jak już mówiłem, nie lubi on przeprowadzać rewolucyjnych idei rewolucyonistami, jeżli tylko można, woli używać do tego sił zorganizowanych. W Niemczech nie chciano jednak tego zrozumieć, że jedyną dobrze obmyślaną drogą do zamierzonego celu jest ta, jaką Bismark wskazywał; że tylko przez Prusy a nie *bezpośrednio*, Szleswig-Holsztyn do Niemiec w danych okolicznościach przyłączyć można bez wywołania europejskiej wojny. — Nie chciano zrozumieć, iż przez to jedynie, że Bismark pozornie uznawał traktat londyński, utrzymywał on podpisane na nim państwa w bezczynności, do której wprawdzie i same z siebie wielką miały skłonność, ale z której jednak łatwoby się były mogły obudzić.

W Niemczech całych agitacya za złamaniem orzeczeń traktatu londyńskiego co do praw sukcessyjnych w Szleswig-Holsztynie coraz szersze przybierała rozmiary, po wszystkich krajach tworzyły się tak zwane Szleswig-Holstein-Vereine, a rządy odbierały ze wszech stron najgorętsze odezwy i adresy. Zgromadzenie ludowe w Augsburgu tak naprzykład odzywało się do bawarskiego króla. „Poszlij wojska swoje na wybrzeże morza północnego, pójdą one ochoczo za Twoim głosem i z uniesieniem będą tam przyjęci na widowni walk zwycięzkich. Osadź księcia Fryderyka na jego dziedzictwie a naród niemiecki będzie czcił w Tobie swego zbawcę.“ (!?)

W Badenie i wyższa nawet izba żywo popierała sprawę Augustenburga a wirtemberskie izby także na rząd swój nacierały. Rządy zaś wszystkie wprawdzie uznawały także prawa księcia Fryderyka, ale nieśmiały zbyt energicznie występować wbrew Prusom i Austryj. — Największe powszechne oburzenie było przeciw Prusom, powyżej cytowana mowa Bismarka nie uspokoiła umysłów. Gdy rząd pruski 9 grudnia przedłożył żą-

danie uchwalenia pożyczki dwunastu milionów na wydatki mogące wyniknąć ze sprawy Szleswicko-Holsztyńskiej, dano wotum nieufności ministeryum, a 18 grudnia uchwalono adres do króla, w którym wyraża izba głęboką boleść z powodu, że rząd królewski działa w kierunku nie usuwającym, ale wzmacniającym traktaty z 1851 i 1852 r udaje się więc do Jego królewskiej Mości, aby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, że nie próbowała wszystkiego, aby zmienić politykę, która krajowi wielką szkodę przynieść może.

Adres ten jak i wszystkie tym podobne manifestacye w całych Niemczech, wywołały to powszechne mniemanie: że Prusy z Austryą myślą całkiem dosłownie trzymać sie traktatów londyńskich, gotowe są oddać Szleswig-Holsztyn Danii i zapewnić tamże jej panowanie. Tak to oburzyło się sumienie wielkiej Germanii na samą myśl, że Prusy i Austrya gotowe sobie jeszcze z Danią uczciwie postąpić — byłaby to najczarniejsza zbrodnia przeciw niemieckiej idei. Bismark na to wszystko odpowiedział znowu w pamiętnej mowie z 18 grudnia w berlińskiej izbie niższej. Pozwolę sobie znowu choć w głównych punktach ją przytoczyć, bo jest ze wszech miar bardzo pouczającą:

„Zdaje mi się moi panowie, że i wy to mniemanie, iż król nie zna naszej sytuacyi politycznej i że jest źle poinformowany, a przez was mógłby być lepiej, w głębi serca tak jak ja macie za fikcyę. My zaś możemy uważać wasz adres tylko jako przygotowanie do uchwały odrzucającej pożyczkę, którą w ten sposób umotywować chcecie, że nam podsuwacie politykę, jakiej my wcale nie prowadzimy. — Jużem to w komisyi powiedział, że gdybyśmy taką jak wy myślicie politykę prowadzili, toby naszem zadaniem było od początku postawić się całkowicie na podstawie londyńskiego traktatu, i powiedzieć traktat jest traktatem i tego się trzymamy, nie zostawiając sobie żadnej furtki otworem, aby się go w danym razie pozbyć można. (Czyż można było być szczerszym?). Nasza polityka jest inną, polega ona właśnie na tem przez was w projekcie adresu cytowanem słowie Jego królewskiej mości: „Dass kein Fussbreit deutscher Erde verloren gehen solle, und dass eben kein Titel deutschen Rechtes geopfert werde.“ Droga, jaką do tego celu dążymy, nie wydaje się nam być stósowną. Jednakże obrać stó-

sowną drogę i w ogóle obrać drogę jakąkolwiek, to jest już rzeczą egzekutywy. Jeźli to w ogóle możliwem jest przewidywać przyszłość w ludzkich sprawach, to jeszcze *rząd* przecie najprędzej jest w stanie to zrobić, bo rząd bliższy jest tych wszystkich interesów i lepiej z nimi jak wy zaznajomiony. Zgromadzenie 350 członków nie może chcieć kierować w ostatniej instancyi polityką mocarstwa narzucając rządowi program, podług jakiego w dalszych stadiach rozwoju rzeczy postępować mamy, wszak to jest niemożliwe! Rzeczy tak stoją, że w każdej chwili jeźli zechcemy wojny, albo zechcemy być do niej zmuszeni, wojnę mieć będziemy. — *Wojna jak wiadomo znosi wszystkie traktaty*, więc będziecie mogli wtedy, jeźli będziecie mieli rząd za sobą, program przyszłych warunków pokoju postawić, i osiągnąć wszystko, co tylko bagnetem przeprowadzić można. Ta szansa zupełnie nam nie ucieka, choć tymczasowo uchwalicie pożyczkę. Jeżeli najnowsze wiadomości, na które nie mam jeszcze wprawdzie urzędowego potwierdzenia, są prawdziwe, to będziemy wnet w położeniu zmuszającem nas do żądania od was większego jeszcze kredytu i będziemy musieli prędzej niż myślałem Związkowi wniosek przedłożyć, żeby wzmocnić gotowość do wojny. Dałem panom do zrozumienia, że nie możemy oznaczyć czasu, kiedy wojenne starcia zajść mogą, ale w każdej chwili możemy się znaleźć w tem położeniu *dobrowolnie*, potrzebujemy tylko struny nieco mocniej naciągnąć. Już same punkta sporne granic Holsztynu, a więc granic związkowych mogłyby się stać przedmiotem wojny, jeźli zechcemy. Czyż chcecie przeszkodzić Prusom w wypełnieniu obowiązków związkowych i traktatowych odmawiając nam środków? Chcecież zmusić nas do tego, aby najpotrzebniejsze środki obronne ochraniając nasz handel morski i naszą żeglugę zaniedbać? chcecież do tego doprowadzić, żebyśmy w razie wojny z małą Danią wystąpili w roli słabszego?! W takim razie moi panowie bierzecie na siebie ciężką odpowiedzialność przed całym krajem i przed waszymi wyborcami.“

Król także odpowiedział na ów adres izby niższej, w podobny sposób wykazując niekonsekwencye jej postępowania „nie mogę tego zrozumieć powiedział król między innemi, że ci sami co tak żywo rząd mój pchają do akcyi, odmawiają mi

środków właśnie w tej chwili, i na tem polu gdzie do niej łatwo przyjść może, a nawet przyjść musi.“

Jednakże wszystkie te mądre słowa nie przejednały opozycyi, Bismark na to niezważał, tylko począł działać. Na zgromadzeniu związkowem 28 grudnia 1863 r. Postawiły Prusy wraz z Austryą wniosek, by do rządu duńskiego wysłać wezwanie, aby konstytucyę z 18 listopada wcielającą Szleswig bezpośrednio do monarchii odwołano; bo inaczej Związek będzie musiał Szleswik wojskiem wziąść w zakład, dopóki jego słusznym żądaniom nie stanie się zadość. Zarazem przedłożyły oba mocarstwa drugi wniosek w Bundestagu, żeby wezwać księcia Fryderyka do opuszczenia Szleswigu. Wniosek ten upadł sześcioma głosami przeciwko dziesięciu (2 stycznia 1864 r.). Równocześnie oba rządy pruski i austryacki wystąpiły bardzo energicznie przeciw wszelkim agitacyom całej partyi ruchu w Niemczech za Augustenburgiem. W okólniku z 31 grudnia do niemieckich rządów tak się o tem wszystkiem wyrażały obydwa mocarstwa dając temsamem prawdziwy i rzeczywisty obraz ówczesnego stanu Niemiec: „To co zaszło we Frankfurcie 21 b. m. (to jest ukonstytuowanie się 500 posłów różnych Izb niemieckich w rodzaj sejmu i władzy centralnej) jest niejako ostatniem słowem wielokrotnych usiłowań, które już od dłuższego czasu Niemcy niepokoją, a teraz z okazyi kwestyi Szleswicko-Holsztyńskiej na wszystkie sposoby agitują, aby odebrać rządom kierownictwo całej tej sprawy.“ Szczególniej potępia ten okólnik utworzenie wydziału 36ciu „który ogłosił się za urzędowy organ woli niemieckiego narodu, i jest ogniskiem wszystkich klubów, utrzymuje między nimi związek, i rozporządza wszystkimi środkami. Powstawanie klubów politycznych dążących do tych samych celów rozszerza się coraz bardziej, kierunek jaki przyjmują teraz stowarzyszenia gimnastyczne i strzeleckie, formowanie się korpusów ochotniczych, wszystko to do tego zmierza, żeby mieć w pogotowiu zorganizowane siły materyalne, by takowe w danym razie do rewolucyjnych celów użyć można. Tym sposobem na całe Niemcy zarzucona jest sieć rewolucyjnych agitacyj, które tymczasowo moralną presyę na rządy wywrzeć usiłują i istniejący porządek obalić się starają, a w przyszłości jeszcze większem grożą niebezpieczeństwem, jeśli rządy nie przeciwstawią im energicznego oporu.“ Rzeczywiście prócz w Austryi i Prusiech, gdzie

stósowne wyszły rozporządzenia, nigdzie przeciw temu nie występowano.

Jak widzimy oba mocarstwa niemieckie szły ręka w rękę w sprawie Szleswicko-Holsztyńskiej. Nie zastanowiliśmy się jeszcze nad tem co spowodowało Austryę do wspólnego działania z Prusami w tej sprawie, a było to najmniej spodziewanym a w następstwach swoich najważniejszym obrotem rzeczy. Obydwa mocarstwa rywalizujące w aliansie, i to jeszcze w kwestyi Niemiec dotyczącej. na właściwem polu ich rywalizacyi, ten fakt koniecznie bliżej nam rozważyć trzeba wraz z jego antecedencyami. Naturalną rolą Austryi jako podpisanej na traktacie londyńskim było: występować jak najenergiczniej przeciw zaborczym tendencyom państw i ludów związku niemieckiego wymierzonym przeciw Danii. W ostatecznym razie wypadało nawet stanąć z Francyą, Anglią i innemi mocarstwami uznającemi traktat londyński przeciw zrewoltowanym częściom związku niemieckiego. Tego obrotu rzeczy Bismark najbardziej się obawiał, i cała jego polityka zmierzała ku temu, by temu zapobiedz i Austryę sobie pozyskać. Pomogły mu do tego wiele najbliższe okoliczności i współczesne wypadki. Najprzód wszystko wówczas złożyło się na to, by Austryę do „trzecich Niemiec“ zniechęcić. Znany nam już jest rezultat zjazdu frankfurckiego; wiemy, że cesarz Franciszek Józef wywiózł z niego wielkie rozczarowanie; przekonawszy się, że ze średniemi państwami niczego dokazać nie można. Do tego jeszcze teraz ten cały ruch za Augustenburgiem, którego sukcessyjnych praw austryacki gabinet wcale nie uznawał, do reszty Austryę od trzecich Niemiec odsunął. Wiedziano także w Austryi, że i Prusy choć pozornie przy traktacie londyńskim obstają, w gruncie rzeczy o czem innem myślą, jak tylko o zaborze dla siebie. Tem bardziej więc zdawałoby się, że nie pozostawało Austryi nic innego, jak wraz z koalicyą europejską utrzymać atakowane przez resztę Niemiec londyńskie traktaty, i w ten sposób i dążnościom trzecich Niemiec tamę położyć, i groźnemu dla Austryi wzbogacaniu się Prus na północy przeszkodzić. Jednakże zbyt świeżo jeszcze stało w pamięci gabinetowi austryackiemu całe zachowanie się rywalizujących nieustannie mocarstw zachodnich Francyi i Anglii w kwestyi polskiej, kiedy to z Austryą były w aliansie. Austrya straciła wszelkie zaufanie do tych mocarstw, i miała do tego niestety

jak wiemy słuszne powody. Napoleon ostatecznie zraził Austryę do Francyi swoją pamiętną mową z 5 listopada 1863 r. w której wydał wojnę wszystkim traktatom, a szczególniej traktatom wiedeńskim z 1815 r. i w której to pogrzebał sprawę polską, proponując nowy kongres, który jednak nie przyszedł do skutku. Również i w sprawie Szleswicko-Holsztyńskiej ani Francya ani Anglia nie dawały żadnej gwarancyi postępowaniem swojem, że będą stać silnie przy traktatach z 1852 r. Anglia jeszcze w r. 1862 wyjawiła swoje zapatrywania na kwestyę Szleswicko-Holsztyńską, w pamiętnej nocie Russela datowanej z Gotha d. 24 września, a godnej miejsca zkąd wyszła, bo czuć w niej było *parfum de Gotha*. Za komentarz do niej może i to posłużyć, że Bismark wówczas właśnie był także w Gotha w przejeździe z Francyi, tuż przed objęciem swej teki ministeryalnej w Berlinie, i że tam wiele z Russelem konferował. Russel w nocie tej ogłosił owe „*wyjaśnienia*“ króla duńskiego, które stały się powodem późniejszej egzekucyi wojskowej w Danii także jako „*bounds of honour*“ jako zobowiązania honorowe, które Dania dotrzymać powinna nie wchodząc w to wcale, że Niemcy i Prusy same królowi duńskiemu wywiązanie się z tych zobowiązań robiły niepodobnem. Anglia więc pomimo, że traktat 1852 r. był spisany w Londynie, sprzyjała zamiarom pruskim. Napoleon zaś znowu objawiał pewną sympatyę dla Augustenburga i dla niemieckiego ruchu narodowego, i takie było wzajemne kokietowanie się z jednej i z drugiej strony, że niektórych polityków niemieckich nadchodziła obawa mary nowego związku reńskiego. Książę Fryderyk Augustenburg napisał nawet do Napoleona list otwarty oddając się pod jego protekcyę. Napoleon dosyć łaskawie, chociaż właściwym sobie stylem delfickim odpowiedział mu, „on który walczył o niepodległość włoską i podnosił głos za Polską, nie może mieć innych uczuć i dla Niemiec i innemi względem nich kierować się zasadami. Dania w istocie mogła przeciw Niemcom zawinić;“ dodał jednak na końcu, że gdyby ten kraj znalazł się pod uciskiem przemocy potężnych sąsiadów, toby znowu sympatya Francyi była za Danią. Znane nam są już także porozumienia się Napoleona z Bismarkiem co do granic Renu, wskutek których Napoleon uznawał pruską „*Mission Piemontaise*“ w Niemczech w nadziei okupienia sobie tem wolności rozszerzenia nieco wschodnich granic Francyi, tak jak się to

już raz było udało ze Sabaudyą i Nizzą. I to też głównie nie pozwalało gabinetowi tujleryskiemu, być w obec Niemiec bezstronnym w kwestyi Szleswicko-Holsztyńskiej. Pan Drouyn de Lhuys był też wobec coraz bardziej grożącej wojny duńsko-niemieckiej bardzo skąpym w odpowiedziach na wszystkie kroki gabinetu angielskiego, który przecież zaczął sobie trochę przypominać londyńskie traktaty. Wreszcie w jednym cyrkularzu z 10 stycznia 1864 r. pisanym do niemieckich rządów względem proponowanego przez Napoleona kongresu europejskiego, nazwał P. Drouyn de Lhuys traktat londyński „une oeuvre impuissante.“ Na Francyę więc Austrya rachować nie mogła w sprawie Szleswicko-Holsztyńskiej, bez Francyi zaś wiedziano, że i Anglia nie zdecyduje się na wojnę z Niemcami, i to jeszcze na wojnę w aliansie z Austryą, przeciw dzielnicom Niemiec, z któremi łączyły ją oddawna sympatye dynastyczne, koligacye i niejako wspólność religijna. Anglia przedewszystkiem zawsze zazdrości i boi się Francyi, co do Niemiec zaś angielscy mężowie stanu widzą w nich niejako opatrznościową zaporę przeciw zbytniemu wzrostowi potęgi Francyi, przeciw bezpośredniemu zetknięciu się tejże z Rosyą, uważając Niemcy zarazem za główny punkt oparcia dla swego wpływu na kontynencie. Wiedziano zapewne w Austryi, ze Anglia wszelkiemi sposobami wojny z Niemcami będzie unikać, znowu więc Austrya w tej kwestyi Szleswicko-Holsztyńskiej znalazła się w trudnem bardzo położeniu. Z kim tu iść? nakim się oprzeć? aby niedopuścić do wzbogacenia się Prus na północy, o co przedewszystkiem Austryi chodzić musiało, a czemu tak trudno było zapobiedz, bo i Rosya zostawiała tu Prusom zupełnie wolne ręce. Sumienna polityka i interes nakazywał Austryi, utrzymać Danię siłą mocą w prawnem posiadaniu Nadelbiańskich prowincyj. Austrya jednakże zrażona świeżemi niepowodzeniami w kwestyi Polskiej nie miała wiary żeby to było możliwem, prócz Danii nikogo szczerze za sobą nie widząc. Chociaż gdyby była wtedy Austrya ufna w dobrą sprawę stanowczo oświadczyła się za traktatem londyńskim, bez żadnych restrykcyi i związała silnie i otwarcie swój interes z interesem Danii, kto wie czyby była niepociągnęła za sobą mocarstw zachodnich i północnej Szwecyi i Norwegii. Verba movent exempla trahunt! Hr. Rechberg nieodważył się jednak na tę wspaniałomyślną wprawdzie ale wedle ludzkich obra-

chowań niebezpieczną wówczas politykę i chwycił się półśrodka. Wiemy że w kwestyi Polskiej Austrya z końcem 1863 r., już się była zbliżała do Prus i Rosyi. Otóż i w sprawie Szleswicko-Holsztyńskiej nastąpiło to samo zbliżenie. Do połowy i tak już, drogi Austryi i Prus schodziły się zupełnie, bo jak Prusy tak też i Austrya stanowczo była przeciwną polityce średnich państw niemieckich i pretendenturze Augurtenburga. Tu więc mogły działać razem te mocarstwa i Bismark skorzystał z tego, żeby tą drogą do Austryi się zbliżyć, wzywając ją do wspólnego bronienia konserwatywnych interesów w Niemczech.

Powyżej przytoczone wspólne noty prusko-austryackie przeciw ruchowi trzecich Niemiec i rewolucyjnym agitacyom były nie tyle z przekonania, ile umyślnie dla tego przez Gabinet pruski tak zgodnie z duchem przekonań austryackich redagowane, by sobie tem Austryę zupełnie pozyskać. Pan Rechberg mógł wtedy jeszcze święcie wierzyć w stałość konserwatywnych zasad Rządu pruskiego i p. Bismarka, który z liberalną lewicą Izby berlińskiej tak dzielne właśnie wtedy staczał walki, mógł wierzyć także i w wierność Prus sztandarowi świętego aliansu trzech mocarstw, który to alians właśnie wtedy jakby odżywiać się zaczynał. Tylko pruskie zamiary anexyi na północy nie pokoiły p. Rechberga i otóż aby sparaliżować, skrzyżować te pruskie zamysły, osądził on że najlepiej będzie związać się z Prusami aliansem, uwiesić się im u nóg, by zdobywać razem z niemi te duńskie prowincye, i tym sposobem nie dopuścić do tęgo by je *Prusy same* zabrały. Dał więc p. Rechberg niebacznie wszystkiemu co Prusy zechcą zrobić na północy także i austryacką firmę, i zamknąwszy oczy na krzywdę Danii to jedno tylko miał na celu, by *wyłącznemu* zapanowaniu Prus tamże zapobiedz.

Do wytłumaczenia tego prusko-austryackiego aliansu nie mało także służy i ta okoliczność, że Austrya obawiała się właśnie nowego wybuchu wojny włoskiej o Wenecyę. Po mowie Napoleona, 5 listopada 1863 roku wszystkiego się można było spodziewać. Otóż według pogłosek powszechnie wówczas krążących w świecie dyplomatycznym, Prusy na wypadek wojny włoskiej miały obiecać Austryi swą pomoc (jak się to z jednej depeszy Buchanana do hr. Russela z 12 marca 1864 dowiadujemy) byle tylko Austrya w sprawie Szleswicko-Holsztyńskiej

Prus się trzymała. O tem tajemnym aliansie wspomniał także Rouher (w mowie swojej z 18 marca 1867 roku), gdzie tak się o całej tej sprawie wyraził: „Spór z Danią powstał wskutek zupełnego zaślepienia Niemiec, i wskutek pruskich ambicyi, nie mogę pojąć, że Austrya mogła się do nich przyłączyć, à moin qu'il n'y ait eu la je ne sais quelle arrière pensée d'alliance entre la Prusse et l'Autriche *comme on l'a dit* pour reprendre sur Italie les provinces rendues. Ta myśl uboczna o której tu wspomniał Rouher jest bardzo prawdopodobną, bo wiemy, że Bismark umiał robić przyrzeczenia, których nigdy dotrzymać nie myślał. Wiele rzeczy więc jak widzimy złożyło się na to, żeby przyszedł do skutku ten nienaturalny alians, który dla Bismarka był największym sukcesem ówczesnej chwili, bo mu najlepiej rozwiązywał kwestyę. Przeciw razem idącym obydwom mocarstwom niemieckim, nie bał on się koalicyi europejskiej, nie bał się on Francyi ani Angli, nie bardzo skorych do tak wielkiej wojny o Danię, a Rosyę jak wiemy miał za sobą, wewnątrz zaś w obrębie krajów niemieckich, trzecie Niemcy nie znaczyły nic prawie jako polityczna potęga, były one zerem, które tylko między dwoma wielkiemi cyframi Prus i Austryi, albo przynajmniej z jedną z nich coś znaczyły. I to także było Bismarkowi na rękę, że przez alians z Prusami Austrya traciła coraz bardziej w trzecich niemczech te oddawna tamże tradycyjnie utrzymujące się sympatye, które zawsze Prusom bruździły w ich niemieckiej missyi. Dość, że pod każdym względem ten alians z Austryą był dla Prus nieoceniony. Ale i tego wówczas nie uznawała opinia publiczna w Niemczech: owszem poczytywano Bismarkowi ten alians ze wsteczną Austryą za największą zbrodnię polityczną. Jeszcze w roku 1865 w mowie z 24 stycznia tłumaczył się z niego Bismark w Izbie Panów, podnosząc jego właściwą doniosłość. Mówił on: „Ze strony liberalnej partyi, często zarzucano nam, krytykując naszą zewnętrzną politykę, żeśmy sobie tem utrudnili kwestyę przyszłego ustroju księstw Nadelbiańskich, zawierając alians z Austryą. Mam nadzieję, że korzyści z tego aliansu, jakieśmy w ostatnich czasach odnieśli, przyszłość jaśniej okaże, niż dotychczasowe wypadki, i niż ja bym to panom dziś mógł wytłumaczyć, tymczasem robię tylko tę uwagę, że gdybyśmy nie byli poszli tą drogą, nie zostawało nam nic innego jak wojna

związkowa. Ja myślę, że dla tego robią mi zarzuty z tego powodu, bo nikt nie ciągnie ostatnich konsekwencyi ze swoich przekonań, i nikt jasno nie widzi, coby było koniecznem następstwem tego, gdybym był poszedł za jego radą. Ta myśl, że ta wojna przez same Prusy bez aliansu z Austryą powinna była być prowadzona, rzuca nas na pole *konjekturalnej polityki*, której mnie na mojem urzędowem stanowisku pozwolić sobie nie wolno.“ Ale wróćmy do opowiadania dalszego przebiegu rzeczy.

Prusy i Austrya, upadłszy ze swymi wnioskami w Bundestagu 28 grudnia 1863 roku, wznowiły je 14 stycznia 1864 roku, żądając uchwały, aby wkroczeniem wojsk związkowych do Szlezwigu, wyegzekwować na Danii odwołanie konstytucyi. I ten wniosek odrzucono w Bundestagu 11 głosami przeciw 5-ciu, tylko Hesya Elektoralna, Meklemburg i szesnasta kurya głosowały z Prusami i z Austryą; większość zaś domagała się zajęcia prowincyi dla księcia Fryderyka. Na to oświadczyły obydwa mocarstwa, wyrażając najprzód żal, że między niemi a Bundestagiem nie przyszło do porozumienia, że „pozycya ich i naglące okoliczności w jakich się cała kwestya znajduje, nie pozwalają im uchylać się od obowiązku podjęcia samoistnie obrony praw związkowych, dla tego więc muszą na *własną rękę* przystąpić do zajęcia Szlezwig-Holsztynu. Było to coup d'état, — zupełne złamanie konstytucyi związkowej.

Tak jak Prusy poprzednio zawsze same robiły, tak teraz Austrya razem z Prusami nie dała się „zmajoryzować“ uchwałą związkową. Od tego czasu Związek niemiecki właściwie przestał istnieć; ten związek, którego prawa miano właśnie teraz egzekwować na Danii zajęciem Szleswigu. Dyplomacyi europejskiej wytłumaczył Bismark, że to zajęcie Szlezwigu jest zupełnie pokojowe *(une ocupation pacifique, une prise de gage)* że jest ono właśnie uznaniem w księstwach przez Prusy i Austryę praw króla Duńskiego przeciw niesłusznej pretendenturze księcia Augustenburskiego i rewolucyjnemu ruchowi trzecich Niemiec, który go tamże popiera, nakoniec, że to zajęcie Szlezwigu jest zarazem uznaniem obowiązującej mocy traktatu Londyńskiego. „Ale jeżeli Duńczycy będą się opierać tej pokojowej okupacyi Szlezwigu?“ Zapytał Russel Bismarka. „Ha jeśli się będą opierać, to będzie wielkie nieszczęście, bo z tego bę-

dzie wojna, a wojna może łatwo zmienić teraźniejsze korzystne usposobienie Prus i Austryi dla Danii.“

Tymczasem przygotowano w Berlinie całe wystąpienie przeciw Danii w taki sposób, że równało się ono zupełnie wypowiedzeniu tej wojny, której sobie kanclerz pruski niby tak nie życzył i za wielkie nieszczęście uważał. Poczynił on owszem wszelkie kroki, aby wojna z Danią koniecznie wybuchnąć musiała, *bo wojna niszczy traktaty,* a o to właśnie chodziło Bismarkowi. Uznawał on krola Duńskiego w prawnem posiadaniu księstw Nadelbiańskich, bo komużby je mógł zabrać? Od kogóż mógłby uzyskać legalną cesyę praw swoich na rzecz pruskiej monarchii? Po owem oświadczeniu obu mocarstw w Bundestagu z 14 stycznia, ambasadorowie pruski i austryacki, już 16 stycznia oddali prezydentowi ministeryum w Kopenhadze identyczną notę, wzywającą króla do odwołania w ciągu dwóch dni listopadowej konstytucyi; oświadczając zarazem, że jeżeliby konstytucya do tego czasu odwołaną nie została, mają rozkaz od swych monarchów stolicę Danii opuścić. Rząd Duński prosił przynajmniej o zwłokę 6 tygodni, żeby mógł zwołać Rigsraad, w którymby mógł obalenie konstytucyi przeprowadzić, ale i na to Prusy i Austrya nie pozwoliły, bo wedle rozumowania pana Bismarka ten Rigsraad nie mógłby być zwołany, tylko na mocy tej konstytucyi, która od Nowego roku już w Danii weszła w życie, a której odwołania Prusy i Austrya właśnie już zażądały. Wstawienie się Angli za Danią w tej sprawie nic nie pomogło. Anglia tym ostatnim krokiem Prus i Austryi była na seryo zaniepokojona i udawała się do gabinetu francuzkiego, wzywając Francyę do zgodnego współdziałania w celu utrzymania całości i niepodległości duńskiej monarchii. Równocześnie wysłała także w tym samym duchu notę do wszystkich mocarstw podpisanych na protokule londyńskim z 1852 roku. Ale Francya odpowiedziała na to: „że cesarz Napoleon III był zawsze tak usposobiony, iż miał wiele względów dla uczuć i aspiracyi narodowych, i że dla tego ma wstręt od wszystkiego coby go zmuszało z bronią w ręku sprzeciwiać się życzeniom niemieckiego narodu; — nie może więc brać żadnych zobowiązań na siebie względem Danii. Bez porównania łatwiej byłoby Anglii tę wojnę prowadzić, bo dla niej ograniczałaby się ona tylko na morskie wyprawy, blokowanie por-

tów i chwytanie okrętów. Francuzkie ziemie zaś graniczą z niemieckiemi, i wojna Francyi z Niemcami byłaby najnieszczęśliwszą i najbardziej ryzykowaną ze wszystkich, na jakieby się cesarstwo zdecydować mogło.“ Po takiej odpowiedzi gabinet londyński nie robił już więcej żadnych kroków na rzecz Danii, tylko próbował uspokoić swoje sumienie oświadczeniami Prus i Austryi w nocie z 31 stycznia, gdzie te mocarstwa zapewniały o szczerej intencyi nie opuszczenia granic londyńskich taktatów; chociaż był tam także w tej nocie dodatek, że Prusy i Austrya przewidują ten wypadek, iż będą zmuszone porzucić politykę, którąby im nie obiecywała rezultatów odpowiednich ofiarom, do ponoszenia których są zmuszeni wypadkami!“ Lord Palmerston wysondowawszy całą kwestyą, znalazł, że właściwie tylko trzecie Niemcy złe zamiary mają przeciw Danii, narzucając Augustenburga na księcia Szlezwig-Holsztynu, zaś Prusy i Austrya dały dowód prawdziwej życzliwości dla Danii, występując przeciw tym zamiarom drugorzędnych państw niemieckich.

Tymczasem jeszcze z końcem Stycznia 60.000czna armia wkroczyła do Holsztynu: 39.000 Prusaków ze 110 działami pod dowództwem księcia Fryderyka Karola, i 20.800 austryackiego żołnierza z 48 armatami. Najwyższe dowództwo nad obydwoma korpusami zostało oddane 80-letniemu pruskiemu jenerałowi Wranglowi. Wojska szybko posuwały się naprzód, 1 lutego już zajęły Kiel i przeszły rzekę Eider, Rubikon przyszłej niemieckiej wojny domowej. Dania napadnięta taką przemocą, ujrzała się naraz opuszczoną, przez wszystkich pomimo poprzednich zapewnień ze strony gabinetów europejskich, a szczególnie ze strony Anglii, że gdy przyjdzie do ostateczności „D a n i a   s a m a   w a l c z y ć   n i e   b ę d z i e.“ I tu właśnie zaszła wielka różnica między tą chwilą historyczną a podobną ubiegłą z 1848 roku. Wówczas cała Europa i większa część Niemiec z Austryą, a w końcu z Prusami ujęła się za Danią i zatwierdziła nietykalność jej granic, dziś zaś słaba Dania opuszczona od wszystkich. Stała się ona tym sposobem niejako barometrem wskazującym najwyraźniej zmianę temperatury poczucia słuszności w Europie.

Więc czyż nigdzie nie było opozycyi przeciw krokom Prus i Austryi w Danii? owszem była nawet żywa i krzykliwa i to w samych Niemczech. Wiemy przecie, że wniosek Prus

i Austryi proponujący zajęcie Szlezwigu 11 głosami przeciw 5 upadł w Bundestagu. Decyzya obu mocarstw, aby samowolnie chwycić w ręce tę całą sprawę, wywołała w całych Niemczech powszechne oburzenie, wszystkie prawie rządy i wszystkie izby sejmowe, nie wyłączając nawet austryackiej o ile była niemiecką, wszystkie kluby polityczne w tysiącznych adresach okazywaly najwyższe niezadowolenie i niechęć przeciw pruskiej i austryackiej polityce. Wiemy jednak jakiego rodzaju była ta cała opozycya, że poległa ona tylko na nieporozumieniu, jak to znów adres izby berlińskiej najlepiej pokazuje; czytamy w nim bowiem między innymi punktami: „Zważywszy, że Prusko-Austryacka polityka, nie może mieć innego celu, jak ponowne oddanie księstw Duńskiej Monarchii . . . Oświadcza izba, że wszystkimi dozwolonymi środkami tej polityce sprzeciwiać się będzie.“ W całych Niemczech także nieustawało natarczywe parcie na wszystkie rządy by niezawiśle od Prus i Austryi własną siłą wystąpiły do walki o księstwa. Najenergiczniej przemawiał wydział 36, w odezwie z dnia 24 stycznia, w której otwarcie wzywał do wojny z Austryą i Prusami, kończąc w te słowa: „Niemcy ze wszystkich krajów! nie pozwalajcie na to, żeby zła wola jednych a słabość drugich, sprowadzała na ojczyznę niezmierne nieszczęście, nie ustawajcie we wspieraniu dobrych rządów, w pobudzaniu słabych, a w bezwzględnej walce ze złymi, porzućcie te podszepty małoduszne, co mówię, że to wszystko nadaremnie, boście nie wszystko jeszcze zrobili, zamiast *mówić* rewolucyjnie *działajcie*, wedle praw waszych, zróbcie z polityki wasze codzienne zajęcie, poruszajcie miasta i kraje i wszystkie warstwy społeczeństwa, odnawiajcie bezustannie wasze żądania, *bestürmt die saumseligen Fürsten! erdrückt mit Euren Anklagen die pflichtvergesenen Minister!*“

Najpierwej opamiętały się w tej opozycyi rządy trzecich Niemiec, widząc energiczne kroki w Szlezwig-Holsztynie, spostrzegły się, że tu nie może chodzić wcale o oddanie tych krajów Danii, to też gdy Prusy i Austrya zażądały, aby wojska państw średnich pod jenerałem Hacke stojące w Holsztynie poddały się pod dowództwa armii prusko-austryackiej, wniosek ten nie znalazł już takiej opozycyi w Bundestagu jak ów z 14 stycznia. Pytano się teraz, czy też to roztropnie dać tylko Prusom

i Austryi zbierać laury w duńskiej wojnie czy nie lepiejby było pójść z niemi razem, by mieć także swój udział w tej wyprawie i swój głos przy zawieraniu pokoju. Saksonia, która pierwej stała na czele opozycyi, przeciw prusko-austryackiej polityce, postawiła teraz zapytanie w Bundestagu „czy w danych okolicznościach honor i obowiązek nie nakazuje iść razem z Prusami i Austryą?" i wnet Sasko-Hanowerskie korpusy w Holsztynie poddały się rozkazom Prusko-Austryackiej komendy.

Tak to Niemcy przedstawiały wówczas ciekawy i jedyny w swoim rodzaju widok. Jedna i ta sama namiętna żądza zaboru rozkiełzanego ducha niemieckiego na dwa sposoby równocześnie usiłuje dojść do swojego zaspokojenia, jedni chcą dojść do celu drogą chaotycznego i chałaśliwego ruchu na przełaj! choćby w hurmie ochotników! inni znowu zmierzają do niego drogą wskazaną i torowaną przez wyrafinowanego dyplomatę silnie zorganizowanego państwa, za pomocą regularnej armii. Obie te potęgi, choć do jednego zmierzają celu, uderzają przecież na siebie chwilowo, lecz ta druga rozumniejsza, nie zważając na nie idzie naprzód i zwycięża, znajdując później coraz większe u pierwszej uznanie. Tak się rozpoczęła w Niemczech rewolucya, która dotąd przeważnie terytoryalnej i politycznej była natury. Bismark ujął ją w żelazne karby bezwzględnej państwowości, wspierając ją całym zasobem materyalnych sił państwowych. — I do takiego to dzieła Austrya w 1863 i 64 r. niebacznie przyłożyła rękę. *„Elle marchait à contre coeur, avec maintes rétinences et retours, et trahissant de temps en temps la violente envie de rentrer au plus vite dans le giron de l'orthodoxie internationale“* jak mówi p. Klaczko opierając się na sumiennej znajomości dotyczących dokumentów dyplomatycznych. Szła ona jednak przecież z Prusami w tej zdobywczej i tak przykrej wojnie, myśląc, że udziałem swoim zdoła odwrócić jej konsekwencye, tymczasem nie tylko, że nie zapobiegła złemu, ale zgotowała sobie rok 1866. Lecz nie wyprzedzajmy biegu wypadków.

Nie myślę tu opowiadać świetnych zwycięztw 60,000 armii prusko-austryackiej nad 30,000 Duńczyków; postępowała ona coraz bardziej na północ, Duńczycy musieli bez obrony zostawić ogromny jedenastomilowy wał Danewirke, gdyż niemiano sił dostatecznych by go obsadzić, sypany on był w tem jeszcze prze-

konaniu, że gdy przyjdzie do wojny z Niemcami *„Duńczycy nie sami tylko walczyć będą“* jak to była zapewniała dyplomacya angielska. Znalazłszy się jednak niespodzianie ograniczonymi tylko na własne siły, musieli się Duńczycy schronić za mniejsze szańce Düppel-Alsen w północnym Szleswigu. Tymczasem Anglia robiła wszelkie kroki, żeby te same mocarstwa, które podpisały protokół londyński, zwołać na nową do Londynu konferencyę. Prusy i Austrya odpowiedziały na wezwanie gabinetu angielskiego notą identyczną z 7 marca, którą także i do wszystkich innych państw rozesłano. Zawiadamiają w niej, iż ważne względy strategiczne spowodowały ich do wydania rozkazu komendantowi armii prusko-austryackiej, aby *wkroczył do Jutlandyi* dodając przytem, że to nic nie wpływa na ich poprzednią deklaracyę, i że aby dowieść szczerości pokojowego usposobienia, gotowe są wziąść udział w konferencyach londyńskich“. — Równocześnie Prusacy wkroczyli do Jutlandyi i osadzili wyspę Fehrmann, a pruska marynarka stoczyła pierwszą morską potyczkę 17 marca. Teraz i Dania oświadczyła się z gotowością do konferencyi na podstawie londyńskich traktatów z 1852 r. Na to jednak odpowiedział Bismark, że rząd duński powinien przecież to uznać, że te traktaty przez wojnę upadły. — *„Der Krieg hebt bekanntlich alle Verträge auf“*. To jest właśnie jedna z kardynalnych zasad Bismarka w zewnętrznej polityce, tak jak znowu maksyma: *„Konflikte sind Machtfragen, und derjenige der Macht hat schreitet vor in seinem Sinne“* całą wewnętrzną jego polityką kieruje. — Na tych zasadach polega Bismarków kodeks prawa państwowego i system prawa międzynarodowego. Są to zresztą bardzo praktyczne zasady, tylko wyznając je, trzeba mieć tę pewność, że się będzie zawsze najsilniejszym.

Tak jak Dania tak i Anglia chciała, żeby w nowych konferencyach londyńskich wziąść za punkt wyjścia londyńskie traktaty, żeby one były podstawą nowych układów, i na czas tychże proponowała zawieszenie broni. Prusy odpowiedziały, że przystają wprawdzie na konferencye, ale bez żadnych podstaw dawnych traktatów, i bez zawieszenia broni. Nim porobiono przygotowania do tych konferencyj, wojna w Danii tymczasem nie ustawała, 7 kwietnia zaczęto bombardować Düppel, a 18 wojska pruskie zdobyły ten ostatni duński szaniec. Teraz dopiero p. Bismark mógł mieć czyste sumienie względem londyńskich traktatów;

zdobyty Düppel czyż nie dość silny przeciw nim argument! teraz już nowe konferencye w Londynie mogły się rozpocząć zwłaszcza, że i cała Jutlandya była obsadzona i twierdza Frydrycia oblężona wkrótce się poddała.

Konferencya w Londynie istotnie przyszła do skutku i zaczęto obradować 25 kwietnia. Prócz reprezentantów Francyi i Anglii, Rosyi, Prus, Austryi, Szwecyi, Norwegii i Danii, przypuszczony był także do niej i delegat Bundestagu, na którego baron Beust obrany został. — Ponieważ nie miano żadnego programu i żadnego punktu wyjścia w tych obradach, więc cała ta konferencya była tylko rodzajem meetingu dyplomatycznego, każdy stawiał swoje propozycye a nie można było dojść do żadnego rezultatu. — Na czwartem posiedzeniu 17 maja reprezentant Prus hr. Bernstorf oświadczył, że państwa niemieckie uważają cały terrain dyskusyi jako wolny od wszelkich restrykcyj wyniknąć mogących z poprzednich zobowiązań między Danią a Niemcami. „Więc macie zapewno już jaki plan ułożony, by nim zastąpić traktat 1852 r.?“ zapytał reprezentant Francyi La Tour d'Auvergne, „tak jest mamy, ale nim go przedłożymy, musimy pierwej zadecydować, że terrain dyskusyi jest wolny.“ Na następnej sesyi Prusy i Austrya przedłożyły wreszcie swój plan mający zapewnić „trwały i pewny pokój;“ treść jego była: „zupełna niezawisłość polityczna i administracyjna księstw Nadelbiańskich, jednakże pod berłem króla duńskiego w formie personalnej unii.“ Prusy z góry rachowały na to, że Dania nie przystanie na Unię personalną, na taki połowiczny stosunek, któryby był gorszy od zupełnej utraty prowincyi, co się też i stało. — Także i baron Beust w imieniu Bundestagu zaprotestował przecim Unii personalnej. — Teraz Anglia wystąpiła ze swoim projektem, aby Szleswig, o który właśnie chodziło podzielić na południową niemiecką i północną duńską połowę. Był to znowu plan, który ani Danii, ani Prus, ani Niemiec nie mógł zadowolnić. — To też Niemcy wystąpiły zaraz z nowym contreprojektem 28 maja, w którym już nie było mowy o Unii personalnej tylko żądano zupełnego odłączenia od Danii Szleswigu, Holsztynu i Lauenburga, by utworzyć z nich osobne państwo pod berłem księcia Frydryka Augustenburga. I Prusy i Austrya były tym razem za owym projektem. Austrya za Augu-

stenburgiem! tonący brzytwy się chwyta. Austrya widząc, że Prusy stanowczo są zdecydowane całą zdobycz zabrać dla siebie, przystała na ten wstrętny sobie projekt trzecich Niemiec, bo wolała już w księztwach mieć Augustenburga aniżeli Prusaków. Prusy zaś dla tego tylko chwilowo na ten plan przystały, by raz na konferencyi londyńskiej całkowite odłączenie od Danii przeprowadzić. Z Augustenburgiem zaś postanowił p. Bismark później się rozmówić, co niebawem nastąpiło. P. Beust i książę Frydryk już tryumfowali, że ich sprawa górą i książę Frydryk pojechał do Berlina w celu bliższych układów z Bismarkiem, który mu jednak takie warunki postawił, że książę w żaden sposób na nie przystać nie mógł. Żądał on od nowego księcia zupełnej zależności wojskowej i administracyjnej na lądzie i na morzu od pruskiej monarchii. Książę Frydryk odpowiedział, że w innych warunkach był wprawdzie zdecydowany prowadzić politykę pruską, ale z takiemi nie mógłby się nawet przed sejmem szleswigsko-holsztyńskim pokazać. Na uwagę księcia, że Austryaby mu pewnie tak ciężkich nie stawiała warunków, Bismark odpowiedział, że być może, dodał jednak, że Prusy będą się starały na każdy sposób przy swoich żądaniach się utrzymać i że mają nadzieję w końcu pod tym względem z Austryą dojść do porozumienia. I ten więc projekt niemiecki był tylko jednym nieporozumieniem więcej na konferencyi londyńskiej, i rzucił zaród ostatecznej pobudki do przyszłej wojny prusko-austryackiej. Angielski plan podziału Szleswigu pomimo długich debatów także nie miał szczęścia, bo i o granice podziału trudna była zgoda i Dania w żaden sposób na podział przystać nie chciała. Wreszcie uznano, że niepodobna tej całej kwestyi na pokojowej drodze rozwiązać i konferencya 25 maja została zamkniętą.

Dania jeszcze miała nadzieję interwencyi Anglii: ministeryum angielskie rzeczywiście wówczas wzywało raz jeszcze Francyę do wspólnej na korzyść Danii demonstracyi na morzu, ale Napoleon nie mając zapewnienia nieograniczonej pomocy angielskiej w razie gdyby na seryo przyszło do wojny z Niemcami, nie chciał się wdawać w takie niebezpieczne demonstracye, poczem już Anglia zupełnie całą kwestyę z ręki wypuściła, zostawiając Danię jej losowi.

Zaraz po rozejściu się konferencyi londyńskiej, Prusy wznowiły w Danii nieprzyjacielskie kroki, 29 czerwca zajął książę

Frydryk Karol wyspę Alsen, 3000 Duńczyków wzięto w niewolę, austryacka marynarka zajęła wyspy Föhr i Sylt, Duńczycy schronili się na wyspę Fühnen i król Krystyn IX prosił o pokój. 1 sierpnia już ułożono preliminarya w Wiedniu a 30 października został zawarty tak zwany *pokój wiedeński*, mocą którego król duński wszystkie swoje prawa w Szleswigu-Holsztynie i Lauenburgu przeniósł na obydwóch monarchów pruskiego i austryackiego i zobowiązał się uznać wszystko cokolwiek Prusy i Austrya o tych krajach nadal zadecydują.

Obydwa więc zdobywcze mocarstwa objęły we współposiadanie księztwa Nadelbiańskie. Austrya tym sposobem chwilowo swój cel osiągnęła, nie dawszy samym Prusom zagarnąć tych krajów, ale nie można było zrobić fatalniejszej zdobyczy jak to wnet pokazały najbliższe wypadki. Tak więc podział Danii już był faktem dokonanym wobec całej Europy, która przyjęła go bez żadnej żywszej senzacyi. „Ponieważ ostatnie tygodnie przeszły w śpiącym spokoju, i żadna chmurka nie zasępiała politycznego horyzontu“ piszą z tego powodu hist. pol. Blätter w artykule z 24 września 1864 r. p. t. „Die brennenden Punkte in der europäischen Lage“ — „to już myślą powszechnie, że rozbicie Danii nadspodziewanie gładko się udało, i że położenie Europy jest znowu takie jak przedtem, że się nic w niem nie zmieniło. W rzeczywistości jednak wyjdzie powoli na jaw co ten podział Danii Europę kosztuje, opłaciła ona go ni mniej ni więcej tylko zupełnem rozbiciem swego systemu państwowego. To czego nawet włoskie burze nie zdołały sprowadzić, to już jest teraz faktem dokonanym. Wszystkie wielkie mocarstwa oświadczyły po kolei, że nie ma dla nich żadnych europejskich obowiązków i między nimi żadnych wspólności, że każde dba tylko o siebie, a żadne prawa drugich nic go nie obchodzą. Tym sposobem w Europie prawo pięści jest już ogłoszone.“ Jak widzimy *Furor teutonicus*, którym i ten organ był trochę zarażony w kwestyi szleswigsko-holsztyńskiej już go teraz opuścił i znowu trafnie jest tu osądzoną cała doniosłość ówczesnej chwili, która była zarazem uwerturą do wielkiej wojny domowej i wielkiego przewrotu politycznego w Niemczech.

Rewolucya francuzka wszczęła się wewnętrznym przewrotem społecznym i religijnym a przeszła później we wielką wojnę zdobywczą, rujnującą ówczesny europejski system państwowy

i terytoryalny; znalazłszy wreszcie swoją apoteozę w cesarstwie Napoleona Wielkiego. Niemiecka zaś rewolucya prowadzona przez Prusy, rozpoczęła swoje dzieło od zdobyczy terytoryalnych, od wojny na zewnątrz i wewnątrz, i dopiero wdziawszy koronę cesarską w Wersalu, wprowadza teraz powoli Niemcy w epokę wewnętrznej, religijnej i społecznej walki.

IV.

Jeszcze w r. 1865, prawie na rok przed wybuchem prusko-austryackiej wojny, przemawiał p. Bismark w ten sposób w Berlinie do niesfornej izby niższej, wyłuszczając przed nią już teraz otwarciej pobudki do polityki swojej z ubiegłych dwóch lat ostatnich, i reasumując wreszcie w kilku punktach, zdobyte nią korzyści i sukcesa: „Twierdziliście“ mówił Bismark (13 czerwca 1865) „że kierunek naszej polityki prusko-austryackiej nie może doprowadzić do czego innego jak do oddania po raz drugi Szlezwig-Holsztynu Duńskiej monarchii — nie ziściły się te wasze obawy; twierdziliście, że rząd królewski, traktując *czysto niemiecką* kwestyę Szlezwicko-Holsztyńską jako sprawę *europejską* spowoduje nieochybnie wmięszanie się w nią zagranicy i sprowadzi na Niemcy europejską wojnę, i to się nie sprawdziło; mówiliście, że polityka nasza wywoła niezawodnie *wojnę domową* w Niemczech, — takie były wasze obawy, to były szkopuły, których unikanie zalecaliście rządowi, a które tenże sam wyminąć potrafił.“ — O ile w dwóch pierwszych punktach tryumfujący kanclerz zupełną wypowiedział prawdę, bo w istocie oderwał on Szlezwig-Holsztyn od Danii bez europejskiej wojny, o tyle fałszem był już wtedy punkt trzeci, a wobec najbliższej przyszłości był on więcej niż fałszem, bo wyrazem największej hipokryzyi politycznej. — P. Bismark nietylko, że nie uniknął *niemieckiej wojny domowej*, ale prawdę mówiąc i zważywszy rzecz do gruntu, wrzała ona w Niemczech już od roku, bo równocześnie z wojną duńską wybuchła. Nieraz już w ciągu tej

6

akcyi wojska niemieckie stały przeciw sobie. — Wojna domowa nie była wcale tym szkopułem, który p. Bismark wyminąć pragnął, przeciwnie on dawno już pragnął zetknięcia, i oddawna go przygotowywał.

Nadawał on wrzącej już walce do czasu ile możności jeszcze pozór trwającego pokoju, by odwrócić powszechną uwagę od tego, że tam w Niemczech na wielkie i całkiem nowe rzeczy się zanosi, a tymczasem wikłał sam węzeł kwestyi niemieckiej w ten sposób, by go wreszcie koniecznie rozciąć wypadło, ociągając tylko jeszcze wybuch ostatecznego krwi rozlewu do sposobniejszej dla Prus chwili.

W poprzednim rozdziale patrzyliśmy na wojnę duńską i sprawę szlezwicko-holsztyńską jako na powszechno-niemiecki ruch rewolucyjny, obserwowaliśmy ją jako nowy objaw pierwszy raz skutecznie przez Prusy prowadzonej rewolucyjnej polityki niemieckiej na zewnątrz, uwzględniając przedewszystkiem zewnętrzny przebieg rzeczy i Europejskie znaczenie, tej niby sukcesyjnej, niby egzekucyjnej i gabinetowej, a w rzeczy samej po prostu zdobywczej wojny, — dziś wypada nam jeszcze inną dotychczas zaledwie przez nas dotkniętą stronę tychże wypadków roku 1864 odsłonić, a mianowicie wypada nam przypatrzyć się bliżej postępowaniu i stosunkowi Prus, a z nimi chwilowo i Austryi z resztą rządów niemieckiej Rzeszy w czasie duńskiej wojny, z czego wyjdzie na jaw, że w tej wojnie i to od samego jej początku tkwiła już także i *wewnętrzna niemiecka wojna domowa.* — Toczyła się ona wprawdzie bez krwi rozlewu, nie mniej przeto bogatą była w klęski i zwycięztwa, które Prusy na kartach swych dziejów, śmiało obok Düpplu i Alsen zapisać mogą; Königrätz była to już tylko ostatnia walna bitwa tejże samej wojny. Chcąc przypomnieć sobie wielką kryzys niemiecką z 1866—67 roku, we właściwym jej przebiegu, potrzeba koniecznie raz jeszcze cofnąć się po rok 1864, i zaczepić przedstawienie rzeczy o ten nieprzerwalny szereg wypadków, który choć ją poprzedza, do niej już ściśle należy, i z nią razem traktowany być musi.

Właściwem Coup d'etât otwierającem ten szereg wypadków, było owo wspólne wystąpienie Prus i Austryi (14 stycznia 1864 r.), kiedy te oba mocarstwa jawnie i dobitnie wypowiedziały posłuszeństwo uchwale większości Bundestagowej, i sa-

mowolnie, na własną rękę w imieniu całych Niemiec sprawę Szlezwicko-Holsztyńską prowadzić zaczęły.

Konstytucya Niemiecka z r. 1815 wedle formuły swojej zawartej w tak zwanej „Wiener Schlussakte" z 1820 r. nie pozwala w podobnych wypadkach pojedynczym członkom Rzeszy uchylać się od uchwały większości Bundestagu. Ta więc od 50ciu lat prawomocna konstytucya została zgwałconą przez oba mocarstwa, z których do tego jeszcze jedno dzierżyło związkową prezydyalną władzę, a więc głównie na straży ustaw związkowych stać miało. Od tego czasu więc, dwuletnie jeszcze przeszło istnienie Bundestagu jako najwyższej prawomocnej władzy związkowej, było już tylko illuzyjne, i zupełną racyę miało n. p. Bawarskie stowarzyszenie Szlezw. Holszt. gdy w miesiąc później w adresie do króla te umieściło słowa: „Jedna rzecz już jest pewną: Związek Rzeszy niemieckiej przestał już istnieć, Austrya i Prusy to są teraz Niemcy *„Oesterreich und Preussen das ist fortan Deutschland"*. Niemcy straciły już były wtedy swoją całość polityczną, zachowawszy już tylko jedność szczepową i geograficzną, pod politycznym względem zaś stały się one haotycznym aglomeratem, z którego najbliższa przyszłość dopiero coś nowego wytworzyć miała.

Najlepiej wprowadza nas w ówczesne stadjum kwestyi niemieckiej, nota gabinetu wiedeńskiego (z 10 stycznia 1864 r.) adresowana do rządu Bawarskiego, depesza ta mówi: „Prawa związkowe nie dozwalają żadnemu z członków Rzeszy zakładać veto przeciw wspólnym uchwałom, Najjaśniejszy Pan nasz oświadczył to sam osobiście (na pamiętnym zjeździe książąt we Frankfurcie w roku 1863) że nie będzie zastrzegał sobie tego veto, i podda się uchwałom większości, nawet w kwestyach wojny lub pokoju, ale uczyni to tylko w *Związku zreformowanym*. Naj. Pan nasz nie zmienia nic wcale z tego oświadczenia, ale w takim razie tylko, jeśli się znajdzie wobec takiego Związku, jak go poprzednie cesarskie projekta reformy ukonstytuować chciały; na taki zaś związek, który wedle konweniencyi politycznej stawia dowolne uchwały, Jego Cesarska Mość nie może się oglądać!" Austrya więc, ignorując zupełnie istniejący związek, uznawała ten tylko, którego nie było. „Nikt lepiej jak król i rząd bawarski" mówi dalej nota, „nie byłby w stanie nas zrozumieć, gdyby się w podobnem jak my znalazł położeniu. Przypuśćmy

n. p. że w sprawie Bawaryą z bliska obchodzącej, związek w ten sposób nadużyłby swojej władzy, że uchwałą swoją wkroczyłby w zakres wewnętrznej konstytucyjnej niezawisłości bawarskiej, czyżby król, czyżby rząd czuł się obowiązanym uznać tę uchwałę i bez żadnego oporu dać się majoryzować? — Trzeba raz to uznać, że owe prawo związkowe *majoryzowania* powinno mieć swoje prawne granice, w których obrębie związek powinien się trzymać, używając go z niejaką rozwagą, zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o majoryzowanie takich potęg jak Austrya i Prusy, i to na to, by je krępować w zobowiązaniach, w które weszły jako członkowie nie Niemieckiej Rzeszy, ale familii Państw Europejskich“..... Któż nie przyzna, że Prusy i Austrya krokiem z 14 Stycznia złamały formalnie konstytucyę związkową, ale zarazem kogóż nie uderzy oczywista słuszność tych słów ostatnich austryackiej noty. Bo w istocie gdzie racya, żeby mocarstwa europejskie mogły się powodować kierownictwem wychodzącem z poza ich centrum i peryferyi, zwłaszcza jeszcze w zagranicznej polityce swojej. Jedynie bowiem tylko moralne i religijne względy stoją po nad rezonem państwowym, w kwestyach zaś czysto politycznych państwo musi być u siebie jedyną i najwyższą instancyą. Któż więc nosi winę tej sprzeczności w jakiej się tu oba mocarstwa znalazły?....

Tu wychodzi na jaw najwyraźniej grzech pierworodny dzieła konstytucyi niemieckiej z 1815 r., „*Wiener Schlussakte*“ nosi na sobie we wielkiej części tragiczną winę całej poźniejszej historyi zjednoczenia Niemiec. Tak jak wszelką niemoralność, tak i wszelką nieloiczność instytucyj ludzkich, czas prędzej czy później zawsze wykryje. Ma on najlepsze argumenta przeciw wszelkim fałszywym teoryom, które każdego prędzej czy później przekonać muszą, bo zbija on wszelką nieloiczność, swoją nieubłaganą loiką faktów dokonanych.

Konstytucya wedle „*Wiener Schlussakte*“ była sama w sobie sprzecznością. Wedle pierwszych zasadniczych artykułów tejże konstytucyi, Rzesza niemiecka, miała być: „Związkiem międzynarodowym równouprawnionych niepodległych książąt (*Völkerrechtlicher Verein gleichberechtigter Souvoeräner Fürsten)* w celach defensywnych zawiązanym“. Przewodnictwo związku przypadło Austryi, ale decyzya co do używania egzekutywy, stanowienia o wojnie lub pokoju etc. etc., przypadała absolutnej

większości każdorazowego głosowania. Tylko w sprawach religijnych i w rzeczach tyczących się zmiany zasadniczych artykułów konstytucyi, zastrzeżona była jednomyślność głosów. Najwyższe więc kierownictwo tego związku niezawisłych, monarchicznie ukonstytuowanych, i osobiście się rządzących jednostek państwowych, przypadało bezosobistnej, nieorganicznej ale czysto mechanicznej i liczebnej sile wypadkowej ewentualnego głosowania. Stowarzyszenie więc sprzymierzonych głów koronowanych, ukonstytuowane na zasadzie najzwyczajniejszego parlamentu, w którym głosy się poprostu liczą a nie ważą! czy kto widział kiedy „Stany Zjednoczone“ tego rodzaju! Prawdziwe to nieodrodne dziecię — monstrum 19go wieku, dla którego „izba niższa“ jest najwyższym ideałem wszelkich form społecznych i politycznych, którą wszędzie zaaplikować i pod którą wszystko podciągnąć można. — Nic nad parlament i parlamentaryzm! nawet i sobór Rzymski to tylko parlament a dogmat to uchwała większości, bo parlament jest alfą i omegą wszystkiego, jest receptą na wszystko złe na świecie, nawet przepowiednia, „jeden pasterz i jedna owczarnia“ nie znaczy nic innego tylko, że kiedyś na kuli ziemskiej będzie jeden parlament z jednym prezesem — maszyną, pełniącym najskrupulatniej uchwały większości, ciemiężącej mniejszość. Oto ideał do jakiego dążymy! i bylibyśmy już może dalej na tej drodze, gdyby nie natura ludzka, która prawdopodobnie do czego innego stworzona. buntuje się nieustannie przeciw tej jedynie zbawczej teoryi. Właściwe rzeczywiste życie ludzkości, to co tętni w historyi, co zapuściwszy w ziemię korzenie rozrasta się po niej częścią w zdrowych, częścią w schorzałych i schnących konarach, to życie nie daje się wtłoczyć, zamknąć choćby i w najpiękniejszy Treibhaus parlamentarny, lecz rozrastając się, rozsadza jego mury, szkła i żelaza, by dalej rosnąć swobodniej pod gołem niebem, bo doprawdy lepsze mu są i bardziej ożywcze tego nieba, wichry, burze, pioruny i nawałnice niżeli sztuczna i martwa treibhauzowa pogoda. W zacofanych Niemczech 19ty wiek nadto wiele jeszcze zastał średniowiecznych pozostałości a mianowicie feudalizm — niezasługujący wprawdzie na to miano, spaczony i zdegenerowany, zasadzający się już tylko na wygórowanych ambicyach kilkudziesięciu domów książęcych bez spójni ze sobą w jedną organiczną całość lenniczą, ale zawsze jeszcze trudny do złamania i usunię-

cia, nie można więc było odrazu zastąpić to wszystko jednolitym parlamentarno-militarnym absolutyzmem. Wytworzyła się więc ta najdziwaczniejsza mięszanina wszystkiego jaką był Związek Niemiecki ze swoim Bundestagiem, w którym zostało jeszcze zawsze rusztowanie dawnego budynku, a z niem i nadzieja restauracyi dawnej monarchii, ale któremu zarazem dostateczne piętno naszego wieku wtłoczono, by się dalej w tymże duchu mógł rozkładać i przetwarzać zacierając w sobie coraz bardziej reminiscencye dawnego porządku rzeczy. Toteż nic dziwnego, że i cała późniejsza historya niemieckiej rzeszy od 1815go r. była niczem innem jak ciągłą walką najsprzeczniejszych żywiołów. Wprawdzie po nad wszystkiemi usiłowaniami najprzeciwniejszych sobie partyj, górowało nieraz chwilowo to ogólne przeświadczenie, że koniecznie potrzebną jest reforma konstytucyi związkowej, inaczej przewrót w Niemczech jest nieunikniony, ale z żadnej strony nie działo się skutecznie zadość tej potrzebie, a tymczasem tylko ci naprzód postępowali co właśnie do tego przewrotu dążyli, by jak starożytne fatum zapanować nad losami Niemiec. Wszelka reforma w Niemczech jeśli miała być prawdziwą i skuteczną, musiałaby się była zacząć: od ustalenia i rozszerzenia egzekutywnej władzy w ręku *prawowitej zwierzchności związkowej*, od nadania *tejże władzy* bardziej jednolitego, więcej osobistego charakteru, jednem słowem od zmazania grzechu pierworodnego konstytucyi z 1815go r. Temu jednak stała na zawadzie nietyle rywalizacya Prus z Austryą, bo ta owszem mogła była w danym razie tak samo być pomocną Austryi do zreformowania Niemiec siłą, mocą, jak pomogła Prusom do zdobycia ich i uzurpowania sobie wyłącznej nad niemi władzy; ile bruździła tu zawsze polityka „trzecich Niemiec“. Średnie i małe państwa niemieckie, zamiast stanąć silnie przy prawowitej konstytucyą związkową wskazanej przewodniczce swojej by pomódz jej zawczasu zepchnąć Prusy na przynależne im drugorzędne w Niemczech stanowisko, i tym sposobem najnaturalniej reformę Związku przeprowadzić; na czem innem zupełnie zasadzały szczęście i przyszłość swej drugiej, większej niemieckiej ojczyzny. Wedle teoryi zwanej „ideą Niemiec troistych“, to właśnie ten antagonizm między Austryą a Prusami, był najlepszą asekuracyą niemieckiego związku od wszelkiego złego i jedyną najpewniejszą gwarancyą wielkiego znaczenia politycznego tych miniaturowych potęg europejskich. Utrzy-

mywać więc obydwa mocarstwa w nieustannym równoważącym się prawie antagonizmie, tak, żeby żadnej szali nie dać się przechylić, to uważano za największy sekret panowania w gabinetach prowadzących politykę trzecich Niemiec, mianowicie w Bawaryi i w Saksonii, gdzie jawnie jako szczytną misyę swoją wypowiadano: *„Das Zünglein an der Wage zu halten“* między Prusami i Austryą. Im bardziej któremu ze średnich państw chodziło o to, by swój wpływ w trzecich Niemczech ile możności rozszerzyć, i zapanować nad mniejszymi sąsiadami, tem z większą zazdrością spoglądano to na Austryę, to na Prusy, by żadnej z tych potęg nie dać przewagi nad drugą, a tem samem i nad sobą. To też nie było w oczach tych polityków straszniejszej klęski jak wszelki aljans prusko-austryacki, i ztąd to powstał taki niepokój w gabinetach trzecich Niemiec w czasie Duńskiej wojny; za najszczęśliwsze zaś dla niemieckiej Rzeszy uważano te czasy, w których Prusy i Austrya najmocniej się ze sobą ścierały. Genialni ministrowie i politycy niemieckiej Rzeszy, zeszli się tu przypadkowo z teoryą polityczną starego klucznika Gerwazego z „Pana Tadeusza,“ wypowiedzianą przez niego na sejmiku w Dobrzyńskim zaścianku:

. . . . Gdy wielki wielkiego
Będzie dusić: my duśmy mniejszych, każdy swego
Z góry i z dołu, wielcy wielkich, małych mali.
Jak będziem ciąć, tak całe szelmostwo się zwali.
I tak zakwitnie szczęście i Rzeczpospolita!

Obracając się w podobnem kole wyobrażeń, średnie państwa niemieckie stały na przeszkodzie wszelkiej zdrowej reformie Związku, pomimo swoich rozlicznych projektów reformy, a tymczasem rzeczy nie mogły stać na miejscu. Konstytucya z 1815go r. musiała albo być dobrowolnie zmienioną albo upaść gwałtem, bo taki kolos jak całe wielogłówne Niemcy nie może spoczywać przez wieki oparty na nonsensie, nie mogła tu poradzić nawet i najsztuczniejsza teorya ekwilibrystyczna; i tak już cudem prawie stało to wszystko lat 50. W takim składzie rzeczy musiało koniecznie przyjść do tego prędzej czy później, żeby albo Austrya albo Prusy wbrew całej Rzeszy z całą jej konstytucyą same postawiły się na czele Niemiec. Dziwnym zbiegiem okoli-

czności pierwszy krok ku temu zrobiły oba mocarstwa wspólnie przed wojną Duńską w r. 1864.

W poprzednim rozdziale mówiłem już obszerniej o pobudkach Austryi do zawarcia tego nienaturalnego aljansu z Prusami. Obie strony uważały się za oszukujące drugą, ale w rzeczy samej jedna tylko została oszukaną i to najzupełniej. Austryi zdawało się, że wkraczając z Prusami do Szlezwigu przeszkadza im w zdobywaniu duńskich prowincyj, a że Prusy pomagają jej tem samem w poskramianiu rewolucyjnego ducha całej partyi ruchu w Niemczech, a tymczasem dopiero w ciągu wspólnej akcyi Austrya przekonywała się powoli, że to ona pomaga Prusom nie tylko w Danii ale i w całych Niemczech najświetniejsze robić zdobycze, gdyż wszelka przez Prusy pisana zawsze na sztandarze *wspólność konserwatywnych interesów* obu mocarstw jest po prostu zdradą, bo Prusy dążą do takiego radykalnego w Niemczech przewrotu, wobec którego blednie nawet chorągiew Augustenburga i jeszczeby się mogła zwać konserwatywną. Dużo jednak potrzeba było czasu nim przyszło w Austryi do zupełnego pod tym względem rozczarowania. Jeszcze przed dwoma laty wprawdzie polecił był p. Bismark p. Karolyemu (jak to potem ogłosił w cytowanym powyżej cyrkularzu z 24go stycznia 1862 r.) wyprowadzić gabinet austryacki z tej „niebezpiecznej dla niego iluzyi,“ że pomimo wszelkich chwilowych nieporozumień, Prusy i Austrya w decydujących chwilach przecież zawsze pójdą ręka w rękę. Mówił on już wtedy, że w Prusiech łatwo przyjść może do przymierza z otwartym nieprzyjacielem Austryi. Pomimo tego jednak Austrya zupełnie w szczerość tych słów nie wierzyła, zwłaszcza, że i najbliższe wypadki znowu ją utwierdziły w jej dawniejszych przekonaniach, bo i w 63cim i w 64ym r. oba mocarstwa znalazły się w końcu razem a nie przeciw sobie. P. Karoly, który to przewidywał przed dwoma laty, miał więc racyę, a p. Bismark straszył tylko niepotrzebnie. W ogóle we Wiedniu zanadto zawsze oddzielano politykę Kanclerza pruskiego od osoby króla Wilhelma, na którego niezachwianej stałości zasad konserwatywnych i silnem poczuciu legitymizmu zawsze budowano, nie przywiązując zresztą zbyt wielkiej wagi do niektórych excentrycznych i niepokojących planów i zapatrywań szorstkiego dyplomaty Junkra, który dziś jest, jutro go może nie być, a który zresztą obok tych swoich widzimisię n. p. że Austrya musi ko-

niecznie być wypartą z Niemiec i swój punkt ciężkości przenieść do Pesztu etc.... miał ultra konserwatywne zasady, które przecie nieraz głośno wypowiadał, tak w sejmach w Berlinie, jak i na różnych radach ministeryalnych. Dopiero więc rok 1866 miał odsłonić Austryi w całej nagości jej stosunek z Prusami, i daj Boże żeby przynajmniej już choć ten rok 1866 wyleczył Austryę raz na zawsze i zachował na przyszłość od recydywy pruskiego przymierza!

Przymierze to miało swój punkt kulminacyjny gdy austryackie wojska wspólnie z pruskiemi miały wkraczać do Holsztynu i Szlezwigu *„um sich nicht von der in Deutschland herrschenden Bewegung überfluthen zu lassen“* jak to tłumaczyła później nota austryacka, wystosowana do europejskich mocarstw sprawą Szlezwicko-Holsztyńską interesowanych. Ale już zaraz w pierwszych krokach swoich poniosła Austrya klęskę, dającą niejako wróżbę na całą tę wyprawę. Gdy zaczęto zamawiać kwaterunki w Bawaryi, dla austryackiej armii, która tamtędy do Szlezwigu maszerować miała, powstało w całym kraju wielkie wzburzenie umysłów i grożono formalnym zakazem broniącym wolnego przechodu wojskom cesarskim. Austrya uwzględniając nieprzyjazne dla siebie usposobienie „trzecich Niemiec“ zmieniła więc marszrutę i prowadziła swe wojska na Wrocław i Berlin, by uniknąć prawdopodobnych zajść krwawych i różnych excessów, na jakieby gdzieindziej były wystawione. Prusy zaś posłały swoje hufce na Hamburg, Lubekę, Oldenburg nie spytawszy się pierwej dotyczących rządów czy na to zezwolą. Zaniosły one o to skargę do Bundestagu, który odpowiedział, żeby dla nagłości sprawy *„wegen Dringlichkeit der Sache“* nie stawiać żadnych przeszkód pochodowi wojsk prusko-austryackich do Szlezwigu. Do Szlezwigu jednak była droga koniecznie na Holsztyn, który jak wiemy już od Grudnia nie był wolny, bo był obsadzony korpusami związkowymi wojsk Sasko-Hanowerskich pod dowództwem jenerała Hacke, wysłanymi tamże w moc uchwały Bundestagu, aby egzekwować zmianę konstytucyi duńskiej. Wiemy już także, że wojska te przekroczyły już były o tyle swoją kompetencyę, że zająwszy Holsztyn obaliły tamtejszy rząd prawowity, a osadziły w Kiel Augustenburga jako udzielnego księcia. Otóż ciekawą i bardzo ważną dla dalszych losów Niemiec było teraz kwestyą, jaki też się ułoży stosunek między tym dawnym kor-

pusem *egzekucyjnym*, rozgospodarowanym już na dobre w Holsztynie, a nowo wkraczającą *okupacyjną* armiją prusko-austryacką.

Obydwa mocarstwa oświadczyły wspólnie w Bundestagu (19go Stycznia): „że przystępując bezzwłocznie do wykonania na własną rękę tego wszystkiego, co uznały za konieczne do zabezpieczenia praw niemieckich i związkowych, t. j, do okupacyi Szlezwigu, nie mają przytem żadnego zamiaru niweczyć poprzednich uchwał Bundestagu (z 7go Grudnia), mocą których wojsko związkowe wzięło Holsztyn i Lauenburg w administracyę. Muszą one wprawdzie teraz swe armije prowadzić przez te terytorya, nie mając jednak żadnych nieprzyjaznych zamiarów, spodziewają się nie natrafić tamże na żadne przeszkody, ale owszem znaleźć we wszystkiem przychylne poparcie.“

Tego samego dnia wystosował także Bismark okólnik do wszystkich niemieckich rządów, w którym daje dalsze wyjaśnienia zwracając na to uwagę, że Szlezwig jest właściwym celem wyprawy prusko-austryackiej, a Szlezwig nie jest krajem związkowym; że związkowi jako takiemu nie wolno prowadzić wojny zdobywczej przeciw Danii, szczególniej na mocy praw sukcesyjnych ks. Fryderyka, które nie są jeszcze roztrzygnięte ani przez Europę zatwierdzone. „Związkowy korpus,“ mówi okólnik, „jest ściśle *egzekucyjny* i niewolno muj tej granicy przekraczać, wojska zaś prusko-austryackie, wysłane przez niezawisłe mocarstwa europejskie są *okupacyjne*, i mogą tem samem dla sprawy niemieckiej lepiej się zasłużyć, i zdobyć większe dla niej rezultaty, niż skazany na bezczynność związkowy korpus egzekucyjny.“

Równocześnie zaś także jeszcze w tym samym dniu zażądały Prusy od jen. Hacke, aby dla uniknienia wszelkich możliwych kolizyi poddał się komendzie Wrangla, czemu tenże wręcz się sprzeciwił, wydawszy zarazem rozkaz, żeby wojska saskie opuściły Kiel i skoncentrowały się w zachodniej stronie Holsztynu, by wojskom austryackim wolny zostawić przechód. Bundestag pochwalił zachowanie się jen. Hacke, gdy jednak Prusy i Austrya ponowiły znowu swoje zaspokajające wyjaśnienia, że nie mają zamiaru naruszania zakresu praw Bundestagu w Holsztynie, zezwolono w końcu we Frankfurcie na połączenie się prusko-austryackich rezerw, które były przydane poprzednio jeszcze do Sasko-Hanowerskiego korpusu egzekucyjnego, z wkra-

czającą do Szlezwigu armią, i zarazem udzieliło komisarzom związkowym w Holsztynie następującą instrukcyę:

„Wysoki Bundestag nie może sprzeciwić się temu, co rządy: austryacki i pruski w swoim charakterze jako mocarstwa europejskie, w nienależącym do związku Szlezwigu przedsięwezmą, ale zastrzega sobie, by nie naruszono żadnych praw związkowych w Holsztynie i Lauenburgu, i by nie sprzeciwiano się tamże przeprowadzeniu żadnych jego uchwał. Ponieważ wojska obu mocarstw muszą przez Holsztyn przemaszerować, mówi dalej ten dokument, więc tamtejsze władze związkowe nie będą temu przeszkadzać, ale w tej nadziei, że i przechodzące wojsko nie będzie naruszać ani ich rządowej powagi, ani też wykraczać przeciw prawnemu stanowisku komenderującego jenerała Hacke, co wszystko zresztą przez oba rządy najwyższe w ich oświadczeniu z 19go b. m. jest zagwarantowane. Także rozumie się samo przez się, kończy instrukcya, że tylko wojska związkowe mają formować stałą załogę na *Holsztyńskiem terrytoryum.*“

Po tych wzajemnych wyjaśnieniach zdawało się już, że stosunki w Holsztynie między siłami obu mocarstw, a wojskiem Bundestagowej większości, zaczną się układać w dość przyjazny sposób, marszowi świeżo przybyłych korpusów prusko-austryackich żadnych nie stawiono przeszkód, owszem robiono nawet wszelkie ułatwienia. Prusy jednak na wstępie uzyskawszy tyle, zaraz szły dalej w żądaniach, tak, że wkrótce kroki nieprzyjacielskie nie tylko w Szlezwigu i w Danii, ale i w Holsztynie i to ze strony *niemieckich* mocarstw przeciw *niemieckim* pułkom się rozpoczęły. Ta była tylko różnica tych dwóch tak bliskich siebie teatrów walki, że podczas gdy w Danii wszędzie pomimo wielkiej przemocy wojska prusko-austryackie napotykały na rozpaczliwy opór nieprzyjaciela!, to znów w Holsztynie uległość nie miała granic, nie przychodziło więc do krwi rozlewu.

Pomimo oświadczeń z 19go Stycznia, pruskie wojska zajęły Kiel i usunąwszy tamże zewsząd związkowe chorągwie, zatknęły na ich miejscu swoje. Tu jeszcze Prusy miały to na swoje wytłomaczenie, że Kiel to była rezydencya ks. Fryderyka, którego rządów nieuznawano za prawowite; ale równocześnie także i z wielu innych jeszcze punktów w Holsztynie nie ruszały się wojska pruskie raz je zająwszy, i nie chciały ustępować się jenerałowi Hacke. Co więcej jeszcze, Wrangel oświadczył

Hackemu, że musi koniecznie zająć także i Altonę i Neumünster i dodać jeszcze 4 pułki do załogi w Kiel „bo to jest niezbędnie potrzebne do precyzyi i swobody jego ruchów wojennych, spodziewa się więc, że znana mu już grzeczność (Willfährigkeit) jenerała, pozwoli mu zarządzić ku temu odpowiednie kroki.“ Hacke odrzucił stanowczo to przypuszczenie, i Bundestag znowu uznał jego zachowanie się za odpowiednie, pomimo tego jednak pruskie pułki wkroczyły do Altony. Wszystko to działo się w lutym, 13go przyszedł nareszcie cały ten konflikt Wrangla z Hackem pod obradę w Bundestagu. Prusy z Austryą obstawały przy wymaganiach postawionych związkowemu jenerałowi jako koniecznych do uregulowania wojennych operacyi.

Saksonia zaprotestowała przeciwko tym wszystkim krokom prusko austryackim łamiącym dane przyrzeczenia, i wniosła zarazem, żeby dać wszelkie potrzebne rozporządzenie do ubezpieczenia się w Holsztynie, mianowicie, żeby posłać tamże rezerwy na pomoc korpusom związkowym. Gdy prusy pomimo tego wszystkiego obsadziły Neumünster i wkroczyły do Kiel większą siłą, jenerał Hacke począł formować się na stopę wojenną i koncentrować koło Altony. W całych trzecich Niemczech począł się ruch wielki i wielki niepokój, zaczęto mobilizować wojska w średnich i mniejszych państwach, a równocześnie pruskie dzienniki urzędowe rozgłosiły, że Prusy myślą wysłać do Luzacyi korpus obserwacyjny przeciw Saksonii. Do Würzburgu zaś zjechała konferencya ministeryalna złożona z reprezentantów Bawaryi, Würtembergii, Saksonii, Badenu, Hessendarmstadt, Nassau, Brunswigu, Weimaru i nawet Koburg-Gotha, na której postanowiono przyspieszyć ile możności uchwałę związku o sukcesyjnych prawach w księstwach nadelbiańskich, zwołać sejm holsztyński, a nadewszystko *posłać większe korpusy by wzmocnić siły związkowe w Holsztynie.* Wszystko to więc zaczynało przybierać charakter na seryo dosyć wojenny, wojna domowa z placem boju w Holsztynie tuż pod bokiem wspólnego nieprzyjaciela zdawała się być już w powietrzu. zwłaszcza, że parły do niej także wszystkie rewolucyjne żywioły niemieckie, i w tysiącznych proklamacyach i adresach po całych Niemczech roznosiły jej zarzewie. W poprzednim rozdziale cytowałem niektóre próbki stylu tych dokumentów.

Równocześnie jednak pruski jenerał Mannteufel jeździł w tajnych misyach to do Drezna, to do Hanoweru, to do Wiednia by się poufnie ułożyć, obmyśleć środki przeciw działające powszechnemu wzburzeniu, i okiełzać na rozdrożu już stojące niektóre rządy państw średnich. Nie było to znowu tak bardzo trudno, bo wiemy, że „trzecie Niemcy" nie były wcale pochopne do heroicznych czynów, misya więc Mannteufla nie była bezowocną. Wyjednała ona naprzód w Austryi dalsze energiczne kroki przeciw Danii, mianowicie to, żeby wkroczyć do Jütlandyi, a zarazem ułożono nowy wspólny wniosek prusko-austryacki, który 25go Lutego przedłożono w Bundestagu. Zmierzał on pozornie do tego, żeby wojska związkowe wciągnąć do w spółudziału w duńskiej kampanii, a więc żądano nieodzownego w takim razie wspólnego dowództwa, proponując zarazem wzmocnienie związkowych korpusów 5ma tysiącami austryackiego i 5ma tysiącami pruskiego wojska i motywując to wszystko w następujący sposób:

„Zaszłe w Danii wypadki wojenne, zagrażają tak dobrze egzekucyjnym korpusom związkowym w Holsztynie jak i naszemu wojsku w Szlezwigu, i już dotąd nieraz wydażyło się, że wojsko prusko-austryackie zasłaniało Holsztyn od napaści z północy. Potrzebne są więc posiłki w Holsztynie, jak to i wniosek saski z 13go Lutego przyznaje, ale przed wszystkimi innymi są *Austrya i Prusy* w obecnych okolicznościach do tego powołane, żeby korpus jen. Hacke postawić na odpowiednią stopę wojenną, dodając mu po 5000 ludzi," dalej przychodzą motywa koniecznej potrzeby jednolitego dowództwa nad temi wszystkiemi siłami, by raz na zawsze stosunki w Holsztynie uregulować, i zapobiedz nadal takim nieporozumieniom, do jakich niedawno przyszło w Altonie. W końcu jest wyrażone także życzenie, żeby Austrya i Prusy mogły także dodać i dwóch cywilnych komisarzy swoich, którzyby razem ze związkowymi Holsztyn administrowali."

Wniosek ten wywarł w Bundestagu i w całych trzecich Niemczech skutek chemicznego rozkładnika; nie znalazł on już takiej zwartej opozycyi, jak poprzednie wystąpienia prusko-austryackie, owszem rządy państw średnich pod wrażeniem coraz świetniejszych sukcesów obu mocarstw w Danii, poczęły się wahać, czy nie korzystniej by było połączyć się z niemi do wspólnego działania, to też tylko trzy głosy oświadczyło się bez-

względnie za odrzuceniem wniosku. Ale i za przyjęciem go bezwzględnem była tylko mniejszość 6ciu głosów, większość zaś uchwaliła odesłanie wniosku pod bliższy rozbiór do komisyi. W Bundestagu rzadko kiedy krótkość czasu stała na zawadzie, że się nie miało stać zadość Buchmanowej radzie, a tymczasem w Danii rzeczy szybko zmierzały do końca, i już zdobyto Düppel i twierdza Frydrycya się poddała, a gabinety państw średnich i mniejszych jeszcze nie obrały stanowczej drogi, pomimo ponownych zawezwań prusko-austryackich; aż wreszcie przyszła na trzecie Niemcy klęska zupełna, największa jaka je wtedy spotkać mogła, nierównie donioślejsza w następstwach dla Niemiec, niźli był upadek Düpplu dla duńskiej monarchii. Z jednej strony przewódzcy partyi ruchu takie w czasie tej długiej niedecyzyi piekące słowa rzucali królowi Bawarskiemu, jako naturalnej głowie trzecich Niemiec, jakie czytamy n. p. w jednym adresie Szlezwicko-Holsztyńskiego klubu: „I cóż działa związek wobec grożącego mu niebezpieczeństwa? cóż robią sprzymierzone państwa związkowe? co robią książęta?! od miesiąca żadnego czynu! na nic był przykład szybkiego działania jaki dały świeżo Austrya i Prusy, na nic wszystkie prośby ludu i przedstawienia, aby z siłą stanąć do walki z Danią, na nic te piękne wojska pałające rządzą przysłużenia się raz przecie w godny sposób swej ojczyźnie, na nic to doświadczenie, że Austrya i Prusy zawsze uległy tam, gdzie na energiczniejszy natrafiły opór, na nic ta nauka jaką dają dzieje aż do najnowszych czasów, że domy książęce co się od swych ludów odstręczyły ginęły bez śladu..... Nie! nic nie było w stanie niemieckiej Rzeszy i sprzymierzonym książętom wlać tyle ducha, tyle odwagi, by choć część swoich wojsk posłano do Holsztynu, by stanąć tamże wobec Prus i Austryi w odpowiedniej sile, i wbrew nadużyciom obu mocarstw spełnić swe zadanie!“ Z jednej więc strony takie gromy spadały na trzecie Niemcy, a tymczasem Bismark wymierzył przeciw nim cios dużo dotkliwszy, rozesłał cyrkularz do wszystkich rządów niemieckich, w którym oświadcza, że Prusy i Austrya odstępują od swych poprzednich propozycyi wspólnego z nimi działania i rezygnują z całego dotychczasowego z nimi stosunku w sprawie duńskiej wojny. Dokument ten ze wszech miar zasługuje na szczególną uwagę, choć on niby za porozumieniem z Austryą wydany, jest on jednak spe-

cyficznie pruskim, Bismarkowskiem dziełem, jest on nietylko wyrokiem śmierci dla znaczenia politycznego trzecich Niemiec, ale i zarazem mową pogrzebową nad grobem ich politycznego znaczenia; naznacza on najwyraźniej nową epokę w historyi Niemiec. Cyrkularz ten datowany jest z 8go Maja, podaję go w głównych jego ustępach:

„Z prawdziwym żalem przyjęliśmy uchwałę Bundestagu z 14go Stycznia, przez którą znaleźliśmy się tak opuszczeni, że musieliśmy z Austryą sami stanąć na straży niemieckich interesów. Nasze kroki zostały uwieńczone niespodzianie prędkim skutkiem, ale i po tych pierwszych sukcesyach groziła nam zawsze jeszcze wojenna rozprawa, a tu zdawało nam się postrzegać u niemieckich rządów tę bardzo naturalną i całkiem usprawiedliwioną chęć, żeby wziąść udział w tej akcyi. — Byliśmy gotowi uczynić zadość tym życzeniom, bo pojmowaliśmy jakto bolesnem być musiało mianowicie dla niemieckich pułków stojących w Holsztynie, być tylko bezczynnym spektatorem czynów naszej armii. Przez wzgląd na to postawiliśmy wspólny z Austryą wniosek najodpowiedniejszy tym okolicznościom, który dawał rządom niemieckim najlepszą sposobność, by szybką decyzyą wziąść udział w dalszych wojennych wypadkach, i zarazem usunąć te wszystkie niedogodności, jakie z obecnych stosunków i dla zaopatrywania w żywność i dla pokrycia odwrotu naszej armii wypływały, nareszcie by nie dawać dłużej całej zagranicy smutnego widowiska niemieckiej niezgody, i to jeszcze w tak ważnej chwili. Myśleliśmy, że zabranie okrętów niemieckich przez Duńczyków wpłynie na szybszą i łatwiejszą decyzyę. Tymczasem wniosek nasz napotkał ze wszech stron na niespodziane trudności. Jedni żądali poprzedniej somacyi Danii, drudzy chcieli sprowadzać do Holsztynu korpusy najbardziej odległych krajów związkowych, także i co do kosztów robiono trudności etc. etc.... Chociaż wszystkie te poprawki i żądania uważaliśmy za zupełnie nieuzasadnione, to przecież pomimo tego chcieliśmy się ile możności zastosować do życzeń niemieckich rządów; z tą samą gotowością i Austrya podawała rękę do zgody. Tylko przy wspólnym jednem dowództwie musieliśmy koniecznie obstawać, bo jest ono przecie pierwszym najgłówniejszym warunkiem każdej wygranej. Gdy pomimo tego wszystkiego przeciągały się narady w komisyach, zdawało nam się, że zaproponowane przez nas

obsadzenie wyspy Fehrmann wojskiem związkowem, da najlepszą okazyę do spełnienia przynajmniej w części życzeń naszych współsprzymierzeńców związkowych, żeby wzięły udział w kampanii. Ale i w tem napotkaliśmy znowu na nieufność, ociąganie się i tysiączne kwestye sporne. Jenerał Hacke tygodniami czeka na pełnomocnictwo, ale nie może się go doczekać, i prawdopodobnie niedoczeka się go nigdy. Wobec tego w istocie niespodzianego dla nas obrotu rzeczy, naszym obowiązkiem jest całą sprawę rzucić i cofnąć bezpowrotnie nasze propozycye.“

„Z tego przebiegu rzeczy wynieśliśmy raz na zawsze jedno smutne doświadczenie: z jakiemiż to trudnościami przyszłoby nam walczyć, gdybyśmy w jakiej wielkiej akcyi politycznej chcieli się oprzeć na związku! albo jak tego zewsząd od nas się domagano: iść za jego impulsem!... Gdybyśmy po uchwale Bundestagu z 14go Stycznia nie byli z Austryą zrobili użytku z naszego prawa do samoistnego działania, to by cała sprawa dotąd jeszcze prawdopodobnie nie była wyszła po za stadyum teoretycznych dyskusyi. A gdyby wśród tego przyszło do takiej n. p. konferencyi jaka teraz w Londynie się zebrała, jakież stanowisko byłby tam mógł zająć Związek i pełnomocnik związku, gdyby w Szlezwigu nie stały zwycięzkie wojska prusko-austryackie. Gdy teraz jeszcze zważymy te względy i obawy, które nawet do tej już rozpoczętej akcyi przyłączyć się nie dozwoliły, jakże w nas może obudzić się to zaufanie do Związku niezbędnie potrzebne do tego, byśmy naszą politykę z jego dążnościami mogli zespolić? Uznajemy to z wdzięcznością, że niektóre rządy idąc za zdrowym patryotyzmem chciały się złączyć z nami do wspólnego działania, ale cóż, kiedy trudno było zjednać sobie większość, i musieliśmy zrobić to smutne doświadczenie, że nietylko w strzeżeniu naszych własnych, ale i powszechnie uznanych niemieckich interesów, n. p. w opiece nad niemiecką flotą, jesteśmy li tylko na własną pomoc i austryackie siły ograniczeni, i że w skutek nieufności i doktrynerskich nieporozumień nie doznaliśmy najmniejszego poparcia ze strony naszych związkowych sprzymierzeńców. Na szczęście sprawa o jaką teraz z Austryą walczymy nic na tem nie straciła i poszła szczęśliwie pomimo tej nienaturalnej i pożałowania godnej dyferencyi między większością Bundestagową, a obydwoma większemi mocarstwami Niemiec. Ale przez wzgląd na przyszłość Niemiec musimy wy-

razić to gorące życzenie, żeby niemieckie rządy przyszły raz do poznania tego stanu rzeczy i zważyły jego niekorzystny wpływ na wszystkie niemieckie stosunki i materyalne interesa.

Czyż można komu nie wychodząc już całkiem z form dyplomatycznych dotkliwiej i dotykalniej dać uczuć i pokazać jego nikczemnośći słabość wobec własnej siły?! Komu się raz już taką lekcyę dało z tym już nie można potem na seryo gadać i iść ręka w rękę jak równy z równym, tylko chyba jak pan ze swym poddanym. Bo też wszelka władza i powaga rządu związkowego jako takiego, była już oddawna tylko naiwnem złudzeniem trzecich Niemiec, w rzeczy samej były one już gotowym materyałem dla absolutnej władzy tego, który ją pierwszy chwyci silnem ramieniem. Bismark zdarł tu zasłonę z tej nagiej rzezywistości by się sama sobie nieco przypatrzyła, a co nam dopiero pozwala należycie ocenić całą moralną wartość tego rozdarcia szat i tego świętego gniewu nad nikczemnością związku jaki tu w tym cyrkularzu szuka dla siebie wyrazu, to ta okoliczność, która nie jest już wcale tajemnicą, że p. Bismark sam wprzódy tajnemi ścieżkami postarał się o to, żeby przypadkiem pod presyą nadzwyczajnych wypadków nie przyszło w Bundestagu wyjątkowo do jednomyślności w uchwale nad owym wnioskiem prusko-austryackim, który w rzeczy samej nie wciągnięcie, ale stanowcze usunięcie średnich i mniejszych państw od współudziału w duńskiej wojnie miał na celu. Cały ten wniosek był tylko komedyą dla zyskania czasu, a przytoczony cyrkularz nie był niczem mniej jak wypływem, niespodzianego obrotu rzeczy, nagłą decyzyą obu mocarstw „*angesichts dieser von uns in der That nicht erwarteten Wendung!*“ Ten obrót rzeczy był więcej niż oczekiwany, bo zręcznie przygotowany przez samego Bismarka, na to właściwie by módz wystąpić potem z cyrkularzem i zapewnić mu pożądany efekt. Dopiero skruszywszy w powyżej opisany sposób swoich mniejszych braci niemieckiej Rzeszy, mogły Prusy teraz już i wobec Austryi nieco swobodniej się ruszać. To też już od niejakiego czasu widzimy ze strony Prus coraz mniej względów dla swojej aliantki. Wprawdzie wobec Europy i wobec reszty Niemiec oba mocarstwa długo jeszcze wspólnie występowały; ale już od wiosny 1864 roku, chociaż równocześnie w Jütlandyi jeszcze razem walczono, poczyna się cały szereg coraz śmielszych kroków pruskiego rządu, na które Austrya oczu

zamykać nie mogła, a które wprost zmierzały do przejścia z nienaturalnego aljansu do otwartej wojny. I tak n. p. już pierwszych dni Maja propagowano w obydwóch księstwach nadelbiańskich, adres do pruskiego króla zredagowany w Berlinie, który takim kończył się ustępem: „Jego króleska Mości! niechaj wspólny węzeł zaczepno odpornego przymierza, przeciw wspólnym nieprzyjaciołom złączy nasz kraj z Tobą aż po Königsau. Synowie Szlezwigu gotowi są dać dowody swej waleczności na morzu w służbie prusko-niemieckiej marynarki i wraz z Prusami i Niemcami przeciw całej Europie bronić do upadłego granic prusko-niemieckiego państwa aż po Königsau!..... Oby Bóg wojska i wojny *(der Gott der Heerschaaren und Schlachten)* który jest zarazem Bogiem szczęścia narodów i powodzenia jednostek, tak prowadził serce Jego królewskiej Mości, żeby w tej dla przyszłości Prus i Niemiec od wieków najważniejszej chwili, Jego królewska Mość nie oglądając się na to co powie Anglia, Rosya, Francya taką obrała drogę, jakąby jego wielki przodek król Fryderyk niechybnie był obrał w równem położeniu!“

Ciekawy ten adres niebył unikatem, równocześnie i w Prusiech samych wystosowała także partya Junkrów za przewodnictwem Arnima-Boytzenburga adres do króla trochę różnej formy lecz tej samej treści, a było na nim podpisów 30,000. Król przyjął go łaskawie, i zakończył odpowiedź swoją słowami, że nie wątpi, iż te ofiary jakie Prusy w Danii poniosły dla niemieckiej sprawy, opłacą się i tej mniejszej ich *pruskiej* ojczyznie! także i po dziennikach niemieckich pod wpływem berlińskiego bióra centralnego stojących, coraz częściej pokazywały się artykuły za anexyą nowych zdobyczy za Elbą do pruskiej monarchii, jako za najnaturalniejszym rozwiązaniem całej sprawy. Wszystko to było złowrogie dla Austryi, która dla tego tylko poszła do Szlezwigu by do tej anexyi nigdy nie dopuścić.

Ale nierównie dotkliwsze było dla Austryi zachowanie się Prus w innej jeszcze kwestyi znanego nam już traktatu handlowego między Francyą a niemieckim związkiem cłowym, któryto traktat Prusy jeszcze w r. 1862 samowolnie zawarły, a który dla opozycyi niektórych państw średnich i Austryi dotychczas jeszcze prawomocnie zatwierdzonym nie był.

Otóż i z tą, od paru lat wlekącą się sprawą uznały Prusy za stosowne teraz z wiosną 1864 r. wystąpić, by ją ostatecznie

rozstrzygnąć, i z końcem marca zaczęły się konferencye w Pradze między pełnomocnikami obu mocarstw w celu porozumienia się wzajemnego. Jak już wiemy traktat ten, a szczególniej jego art. 31, wykluczał Austryę raz na zawsze z Niemiec pod ekonomicznym względem, tak, że się stawała dla Niemiec bardziej obcym krajem, bardziej obcym handlowo-przemysłowym terenem niż Francya. Prusy rozpoczęły na nowo swoje rokowania o ten traktat z Austryą i oponującymi członkami Zollvereinu oświadczeniem, iż gotowe są zmodyfikować niektóre punkta sporne. Na konferencyach pragskich robiono jednak Austryi tylko takie propozycye, na które ona w żaden sposób przystać nie mogła. W końcu obiecano dopiero wtedy lepszy rezultat swoich z Austryą układów, jeśli poprzednio wszystkie inne państwa niemieckie traktat zatwierdzą, na co znowu ani Austrya ani tamte rządy przystać nie chciały. — To też konferencye pragskie nie doprowadziły do żadnego rezultatu i skończyły się stanowczem oświadczeniem Austryi, że nie może abdykować ze swoich praw dawnymi traktatami (z r. 1853) zagwarantowanych. Na ostateczną zaś konferencyę na 2 maja przez Prusy naznaczoną nie przybyli do Berlina pełnomocnicy: Bawaryi, Würtembergii, Hessen-Darmstadtu, Nassau, Hessyi elektoralnej i Hanoweru. Nie skłoniło to jednak Prus do żadnych ustępstw, tylko przeszły one na inną taktykę, widząc, że się nie da rzeczy przeprowadzić zbiorowo, zaczęły próbować karczocha obrywać po listku, rozpoczynając układy to ze Saksonią, to z Hanowerem etc. etc.... po kolei z każdym opozycyjnym członkiem związku cłowego z osobna. Austrya zaś znowu tymczasem z Bawaryą *osobny związek cłowy* poczęły formować, próbując także i inne mniejsze państwa sobie pozyskać. Tak więc obydwa mocarstwa właśnie gdy w najlepsze zdobywały Danię, rozpoczęły równocześnie i to na dużo większy rozmiar walkę ze sobą o Niemcy, o ekonomiczne w nich panowanie, Prusy na północy, Austrya na południu próbując zdobyczy. Później będziemy mówić o rezultacie tej walki, tu wystarczy tyle, żeby widzieć w jakiem stadyum mógł być już w maju 1864 roku, alijans prusko-austryacki, — gdy właśnie po najświetniejszej wspólnej kampanii rozpoczynały się londyńskie konferencye. Ta nieugięta pruska polityka handlowa wymierzona przeciw Austryi, również jak i te adresy ignorujące Austryę, w swoich anexyjnych dążnościach, to najlepsze illustra-

cye do tego alijansu. To też już na konferencyach londyńskich daje się spostrzegać także pewien zwrot i w austryackiej polityce, traktowana od niejakiego czasu przez Prusy w sprawach niemieckich mało co lepiej od niektórych państw średnich, wchodziła Austrya przez to samo w coraz większą z nimi wspólność interesów, co sprowadziło między nią a trzeciemi Niemcami coraz wyraźniejsze zbliżenie, tak, że i w polityce zaczęła spotykać się z niemi na jednej drodze. Dziwnym zbiegiem okoliczności, trzecie Niemcy tyle razy upokorzone, i tak wreszcie haniebnie odepchnięte od wszelkiego udziału w duńskich tryumfach, miały przecież swego rzecznika na konferencyach w Londynie w osobie bar. Beusta. Zawdzięczały one ten honor Napoleonowi, któremu wedle jego ekwilibrystycznych teoryi ten głos zdawał się być potrzebnym w Londynie do skompletowania sztucznego akordu, trzecie Niemcy były zawsze trochę *un enfant gaté* polityki Napoleońskiej dla obudzenia tradycyi pamiętnego związku reńskiego. Zrobiły Napoleonowi tę koncesyę Prusy, bo wiedziały z góry, że i tak konferencye londyńskie do żadnego nie doprowadzą rezultatu. Dość, że p. Beust zasiadał w londyńskim meetingu i to jak wiemy z niemałym sukcesem, bo przecie oba mocarstwa (na konferencyi z 28 maja) jego program postawiły jako swoje ultimatum: „Zupełne odłączenie Szlezwigu, Holsztynu i Lauenburga od Duńskiej monarchii i połączenie ich w jedno państwo pod panowaniem ks. Fryderyka Augustenburga, który nietylko w oczach Niemiec najwięcej ma praw do sukcesyi w księstwach, ale który także i ze strony Związku niemieckiego ma zapewnione uznanie, i który prócz tego i w samychże księstwach bezsprzecznie łączy za sobą głosy niezmiernej większości.“ Tak brzmiało dosłownie oświadczenie obu mocarstw. Dla Prus był to tylko chwilowy manewr dyplomatyczny, że przystały na ten wniosek i wspólnie go z Austryą postawiły, sam Bismark wyznał to potem otwarcie. Ale w polityce austryackiej nieuznającej dotąd nigdy praw Augustenburga był to zwrot całkiem seryo ku polityce trzecich Niemiec, ze zaparciem się własnych przekonań, było to pierwsze intime zbliżenie się z p. Beustem, które później sprowadziło na Austryę klęskę większą od Sadowy — bo jego pięcioletnie kanclerstwo.

Po konferencyach londyńskich gdy cała Europa umyła ręce od wszystkiego, co się miało dziać z Danią i zostawiła losowi

dalszy bieg rzeczy w Niemczech, Prusy nie czuły się już niczem krępowane w przeprowadzeniu dalszych swoich improwizacyj politycznych, to też coraz samowolniej zaczęły postępować tak z Austryą jak i z resztą Niemiec. Podjąwszy na nowo wojnę w Danii, w czem już Austrya prawie żadnego udziału nie brała, musiały jednak przy zawieraniu pokoju przyjąć z Austryą wspólnictwo, bo król duński na rzecz obydwóch mocarstw zrzekł się swoich praw w księstwach nadelbiańskich, ale trzecie Niemcy wykluczone już były tym razem zupełnie od wszelkiego współudziału we Wiedniu przy zawarciu preliminaryów i dalszych układów pokojowych, *„die schönen Tage von London“* p. Beusta już były minęły. Co więcej jeszcze ks. Fryderyk Karol, który po Wranglu objął teraz dowództwo nad pruską armią, oświadczył jenerałowi Hacke nagle i niespodzianie, że ma rozkaz zająć Rendsburg (główną holsztyńską twierdzę i kwaterę związkowego wojska), żeby mu się więc natychmiast ustąpił. Jen. Hacke miał tam tylko 4 kompanie, musiał więc co żywo ustępować z miasta, gdzie natychmiast 6000 wojska pruskiego wkroczyło. Doniósł ten fakt jen. Hacke natychmiast do Bundestagu i zaprotestował przeciw gwałtowi pruskiemu. Prusy przysłały w kilka dni do Frankfurtu wytłomaczenie swego kroku, podając jako motyw obsadzenia Rendsburga, że był to jedyny sposób, aby wszelkim ekscesom i zajściom między związkowem a prusko-austryackiem wojskiem, które w nie najlepszej ze sobą komitywie, z góry zapobiedz. Bundestag swoim zwyczajem odesłał tę całą rzecz do komisyi, nie pozostawiwszy nawet żadnego odpowiedniego wniosku, bo jak oświadczył pełnomocnik saski: poprzednie podobne zajście w Altonie jeszcze przed rozpoczęciem wojny nauczyło nas, że wszelkie zażalenia przeciw Prusom w podobnych razach na nic się nie przydają. Było to więc znowu jedno więcej niekrwawe zwycięztwo pruskie nad Niemcami.

Równocześnie także i Austrya podzieliła los trzecich Niemiec, choć właśnie wtedy z Prusami w Wiedniu świeżą, wspólną zdobycz dzieliła. Sprawa prusko-francuzkiego traktatu handlowego coraz gorszy dla Austryi brała obrót, Prusy pozyskały sobie po kolei Saksonię, Baden, Hessyę elektor., Thuryngskie, Brunswik i Frankfurt i 28 czerwca mogły już z nimi zbiorowo zawrzeć nowy związek cłowy na podstawach nowego z Francyą traktatu,

a 11 lipca już i Hannower i Oldenburg oświadczyły swoje przystąpienie do nowego Zollvereinu.

Zostały więc jeszcze tylko Bawarya, Würtemberg, Hessya, Darmstadt i Nassau, które po dłuższych układach między Monachium a Wiedniem w osobny Zollverein z Austryą się związały. Otóż wobec tak ogólnej dezercyi państw średnich i mniejszych w ramiona pruskiego związku cłowego przedłożył znowu ten austryacki „*Sonderzollverein*“ Prusom swoje artykuły żądając z nimi układów. Do tego dołączył gabinet austryacki notę z oświadczeniem: „że jeśli rząd pruski usunie się od układów, to ces. król. rząd austryacki będzie miał w tem dowód zupełnego zapoznania swoich praw traktatami zagwarantowanych i nie będzie miał już pod tym względem żadnych illuzyj, że postępowanie Prus z Austryą nie jest zupełnie zgodne z przymierzem, w jakiem oba mocarstwa zostają.“ Austrya więc apelowała tu już po raz pierwszy otwarcie do uczciwości międzynarodowej, jaką winny sobie nawzajem państwa sprzymierzone, przeciwko której zaś Prusy raz wraz ciężko wykraczały, bo równocześnie i w Szlezwig-Holsztynie nie ustawała owszem wzmagała się pruska propaganda. Stosunek więc między Austryą i Prusami zaczynał być na seryo naprężony, potrzeba było już koniecznie dać Austryi jakąś satysfakcyę, jeśli rzeczy nie miały dojść do ostateczności. Król Wilhelm wybrał się więc z Bismarkiem do Wiednia z rewizytą, bo go cesarz poprzednio odwiedził był w Karlsbadzie. Ten zjazd obu monarchów złagodził atmosferę, tem bardziej, że król Wilhelm z Wiednia pojechał także i do Hohenschwangau w odwiedziny do młodego króla bawarskiego.

Po tych wizytach jednak polityka pruska szła niezmieniona dalej raz obraną drogą; 12go września pozyskały sobie znowu Prusy Hessen-Darmstadt do nowego Zollvereinu i położyły ostatni termin przystąpienia dla reszty państw niemieckich (oczywiście bez Austryi) na dzień 1 października, grożąc, że później obostrzą jeszcze warunki. I rzeczywiście przed tym terminem wszystkie już państwa Rzeszy opuściły Austryę, ostatnia Bawarya 30 września podpisała traktat prusko-francuzki i skompletowała nowy Zollverein z wykluczeniem Austryi. Wprawdzie toczyły się jeszcze z Austryą w tej sprawie osobne konferencye w Pradze, ale jak wszystkie poprzednie, tak i te nie doprowadziły do żadnego rezultatu, bo były one tylko pruskim mane-

wrem; i to było właśnie ich celem, żeby zapełniwszy czas i obałamuciwszy opinię państw średnich, spełzły na niczem.

Niedługo po tej nowej klęsce austryackiej polityki w Niemczech zaszła wielka zmiana w gabinecie wiedeńskim; minister hr. Rechberg podał się do dymisyi (21 paźdź.), która dnia 27 przyjętą została. Trudno dojść na pewne, co było tej dymissyi właściwą przyczyną. Jedni mówią, że była ona w związku z bezpośrednio ją poprzedzającem fiaskiem z Zollvereinem; drudzy utrzymują, że hr. Rechberg padł ofiarą pruskiego aliansu, który był jego dziełem, a którego smutne konsekwencye zaczęły się odsłaniać. Inni znowu przypisują upadek jego łatwowierności, z jaką się dał podejść Prusom mianowicie w kwestyi włoskiej. Hr. Rechberg otrzymał był za pośrednictwem Manteufla od gabinetu pruskiego tajemne przyrzeczenie pomocy w razie nowego wybuchu włoskiej wojny o Wenecyę, a tymczasem teraz, gdy nowa konwencya francuzko-włoska, groźna dla Austryi, przyszła do skutku 15 września, i gdy hr. Rechberg owe zobowiązania się Prus przypominał w Berlinie, p. Bismark odpowiedział, że te umowy chwilową tylko, na czas trwania duńskiej wojny, miały ważność, teraz zaś, gdy wojna skończona, nic nie znaczą; i tak, zamiast przymierza z Prusami przeciw Włochom, p. Rechberg doczekał się pierwszych zawiązków prusko-włoskiego aliansu. — Otóż czy to go zgubiło, że był „niedość przezornym politykiem,“ jak to mówił żegnający go powszechny głos opinii publicznej we Wiedniu, czy ta dymisya przyszła z góry, czy on sam ustąpił widząc, że polityka austryacka od czasu konferencyj londyńskich nie szła już całkiem po jego myśli, i na odmienne nieco weszła tory, czy wreszcie padł on ofiarą jakiego manewru Schmerlinga, który ciągle pod nim minował, tego wszystkiego nie mogłem sprawdzić z pomocą przystępnych mi źródeł, najprawdopodobniej jednak wszystko to razem złożyło się na jego dymisyę. Łączy się z nią jeszcze i ta ciekawa okoliczność, że była ona poniejako odwetem p. Bismarka na wielką skalę za niektóre upokorzenia, jakich był doznał przed laty we Frankfurcie od hr. Rechberga. Kolegowali oni we Frakfucie jako ambasadorowie nim zostali obydwa szefami gabinetów tych państw właśnie, które tamże reprezentowali. Choć pozornie dobre tam między nimi były stosunki, jednakże reprezentant Austryi, jako prezydyalnej władzy w Bundestagu, dawał czasem uczuć swoję wyższość p.

Bismarkowi i z lekceważeniem wykwintnego dyplomaty patrzył nieraz na niezgrabnego Naturbursch'a, jak wówczas nazywał Bismarka; w kilka lat później Naturbursch tryumfował nad dyplomatą starej szkoły.

W parę dni po owej dymisyi Rechberga został ogłoszony traktat pokojowy między Austryą, Prusami a Danią, w którym najważniejszym był artykuł 3: „Król duński zrzeka się wszystkich praw swoich do księstw Szlezwigu, Holsztynu i Lauenburga na rzecz Jego Cesarskiej Mości Franciszka Józefa i Jego Król. Mości Wilhelma I i obowiązuje się uznać wszelkie rozporządzenia, jakie ci Monarchowie co do tych księstw zadecydują *(und verpflichtet sich die Verfügungen, welche Ihre genannten Majästeten hinsichtlich dieser Herzogthümer treffen werden, auszuerkennen!)*" Przytaczam tu w dosłownem brzmieniu ten artykuł 3ci, bo te na pozór proste i wyraźne słowa stały się wnet powodem najsubtelniejszej szermierki dyplomatycznej, naprzód między Prusami a trzeciemi Niemcami, później między Prusami i Austryą. Wnet pokazało się, że każda z trzech grup niemieckiej Rzeszy inne do tych słów przywiązywała znaczenie i inne z nich wyprowadzała wnioski. Były one proste i wyraźne o ile mówiły co traci król duński, ale były ogólnikowe i nic nie określające granic władzy między nowymi współposiadaczami, i co do przyszłej normy dalszego ich postępowania w nowo nabytych krajach. Król duński podpisując wiedeński traktat pokojowy mógł mieć przynajmniej tę satysfakcyę, że rzuca kość niezgody między swoich wrogów. W obrębie tych ogólników 3go artykułu znalazły Prusy znowu szerokie pole dla swych dalszych genialnych improwizacyj politycznych, popartych jeszcze genialniejszą prawnopolityczną sofistyką swej dyplomacyi.

Po ratyfikacyi pokoju wiedeńskiego wojska prusko-austryackie opuszczały Danię, Szlezwig i Holsztyn. Austryackie pułki bardziej spieszyły się z wymarszem aniżeli pruskie; i gdy te już właśnie prawie całkiem były opuściły Holsztyn, *pruskie* wojska dostają nagle rozkaz z Berlina, bez poprzedniego porozumienia się z Austryą wydany, by te korpusy, co jeszcze z Holsztynu nie wymaszerowały, pochód swój wstrzymały; te zaś, co już były w Hamburgu, żeby wróciły zaraz do Altony. Równocześnie zaś ze Szlezwigu nadciągały także jeszcze ciągle nowe siły do Holsztynu. Prócz tego odkomenderowano jednę dywizyę, by

w Minden względem Hanoweru, a inną, by w Lausitz względem Saksonii groźne zajęły pozycye. Król Wilhelm sam osobiście odbył rewię w Minden. Były to więc najoczywistsze kroki wojenne nagłe i niespodziane i to wprost przeciw Niemcom wymierzone. Jenerał Hacke zatelegrafował o tem wszystkiem do Bundestagu, a wnet nadeszły także pruskie depesze do Drezna i Hanoweru, które to groźne wystąpienie wytłomaczyć miały. Depesze te Bismarka były identyczne do obydwu rządów, przytaczam je w głównych ustępach:

I. „Przez pokój wiedeński egzekucya związkowa w Holsztynie straciła wszelką podstawę *(ist gegenstandlos geworden)*. Rządy króla duńskiego, przeciwko którym egzekucya była wymierzona, przestały istnieć w księstwach wskutek cesyi na rzecz naszą. Żądanie równouprawniającego połączenia tychże z duńską monarchią za pomocą jednolitej konstytucyi (właściwy powód egzekucyi) już teraz nie może być żądaniem Niemieckiego Związku. Niepodległość księstw w ich wewnętrznych stosunkach i odpowiednia prawom związkowym dla nich konstytucya są już zapewnione. Cele więc egzekucyi są tem samem, częścią zupełnie osiągnięte a częścią straciły podstawę. — egzekucya więc musi być uważana za skończoną wedle wszelkich przepisów. Artykuł XII *Wiener Schlussakte* mówi. „Gdy tylko cele egzekucyi zostały wedle przepisów osiągnięte, ustaje zaraz wszelka dalsza egzekucya i wojska muszą bezzwłocznie ustąpić z dotyczącego państwa. Rząd zaś, któremu spełnienie egzekucyi było polecone, musi o tem natychmiast Bundestag zawiadomić.“ Ponieważ uchwałą związkową z 1 października 1863 r. rządy saski i hanowerski miały polecone cywilnych komisarzy mianować i odpowiednią ilość wojska do przeprowadzenia egzekucyi użyczyć, przeto królewski rząd pruski wzywa najuprzejmiej królewskie rządy saski i hanowerski na mocy swego uprawnienia przez główne artykuły konstytucyi związkowej we *Wiener Schlussakte* zawarte (!?), aby odwołały z księstw swoich komisarzy i swoje wojska i wspólnie o tem Bundestag zawiadomiły. Podpisany uprasza o jak najprędszą odpowiedź.

II. Niżej podpisany czuje się jeszcze do następujących dalszych wyjaśnień obowiązanym: „Królewski rząd pruski w poprzedniej prośbie swojej o odwołanie komisarzy i wojska egzekucyjnego postawił się li tylko na stanowisku *praw związko-*

wych, nie może on jednak i o tem także zapominać, że ostatni pokój wiedeński daje mu jeszcze osobne prawa, które go upoważniają do działania we własnem imieniu. W moc cesyi króla Krystyna IX przeszły tymczasowo prawa posiadania w księstwach na Austryę i Prusy. To *tymczasowe prawo posiadania* nie może, jak długo inny pretendent uznanym nie jest, ani przez Związek, ani przez inny jaki rząd być naruszone. Tylko więc jedynie te dwa mocarstwa są uprawnione do administrowania i wojskowego obsadzania tychże krajów, i nie można tamże znaleść żadnego tytułu do podobnych praw dla kogoś trzeciego. Z tych więc powodów rząd pruski ma zaszczyt także i we własnem imieniu, jako tymczasowy prawowity współposiadacz księstw Szlezwigu, Holsztynu i Lauenburga, królewskie rządy saski i hanowerski najuprzejmiej upraszać o odwołanie z tychże krajów wojsk swoich i cywilnych komisarzy.“

Hanower oświadczył natychmiast, że ustępuje z Holsztynu, Saksonia zaś odrzuciła żądania pruskich depesz, odwołując się do przyszłej uchwały Bundestagu. Równocześnie rząd saski zaczął zwoływać urlopników, zbroić się i urządzać na wojenną stopę, zaczęto nawet już uciekać z Drezna z kasami i klejnotami z „*Grüness Gewölbe*“ na Königsstein. Zwołano zaraz nadzwyczajne posiedzenie Bundestagu, na którem Prusy i Austrya przedłożyły wiedeński traktat pokojowy z Danią, Saksonia zaś następujący postawiła wniosek, odpowiadając zarazem na depesze pruskie: „Rząd pruski oświadczył nam, odwołując się do XIII art. konstytucyi, że jesteśmy obowiązani wojska nasze bezzwłocznie z Holsztynu odwołać i Związek o tem zawiadomić, nie czekając, ani nie prowokując żadnej co do tego uchwały Bundestagu. Rząd saski inaczej rozumie art. XIII o postępowaniu egzekucyjnem. Art. XIII mówi: „że wtedy ustaje dalsza egzekucya, jeśli polecenia tejże *wedle przepisów* zostały spełnione.“ Zachodzi teraz pytanie, kto ma decydować o tem, czy egzekucya została wedle przepisów spełnioną. Rząd saski nie uważa siebie i rząd hanowerski za kompetentny do uprzedzania w tem związku swemi rozkazami i do odbierania mu prawa decyzyi w tej mierze. Królewski rząd saski nie uważa się za uprawniony do zaprzestania egzekucyi bez poprzedniej o tem uchwały związkowej. Ponieważ jednak tymczasem rząd pruski gwałtem wymaga od nas podobnego postępowania, chociaż austryacki

rząd, który się z nim tutaj w zupełnie równem położeniu znajduje, żadnych podobnych żądań nie stawia, przeto król. rząd saski uważa za swój obowiązek postawić następujący wniosek przed zgromadzeniem związkowem: „Bundestag raczy zatwierdzić uchwałą swoją, czy saski rząd spełnił już udzielony mu rozkaz egzekucyi wedle przepisów i czy ma w skutek tego swe wojska z Holsztynu odwołać?“ Na to wystąpił pełnomocnik pruski nie czekając wcale dyskusyi nad postawionym wnioskiem, z następującem oświadczeniem: „Zastrzegając sobie dalsze wnioski czuję się obowiązanym już teraz oznajmić, iż rząd pruski na żadne inne uregulowanie militarnych stosunków w księstwach zezwolić nie może, tylko natychmiastowego opuszczenia Holsztynu przez egzekucyjne korpusy żądać musi, które w moc art. XIII samo przez się się rozumie. Stosownie do tego rząd saski musi uznać się obowiązanym do bezzwłocznego ustąpienia z Holsztynu i do zawiadomienia o tem Bundestagu. Rząd pruski zaś musi obstawać przy swoich prawami związkowemi niewątpliwie popartych żądaniach, żeby to odwołanie komisarzy i wojska egzekucyjnego z księstw natychmiast nastąpiło, a jeśli nie, to za następstwa robi tych tylko odpowiedzialnymi, co się tak niezgodnie z traktatami związkowemi zachowują.“

Wszystkie te wojenne kroki pruskie w Holsztynie i całe to gwałtowne wystąpienie w Bundestagu było tylko dalszym komentarzem Bismarka do owej noty z 8 maja, którą podaliśmy wyżej; nie były to już słowa sprzymierzeńca do współsprzymierzonych, były to już najwyższe rozkazy. Rzeczy więc zdawały się stać już na ostrzu miecza, tym razem jednak Austrya wystąpiła jako pośredniczka między Prusami a trzeciemi Niemcami, i tyle przynajmniej wymogła na rządzie pruskim, żeby te żądania swoje usunięcia wojsk związkowych z Holsztynu wspólnie z nią jako wniosek w Bundestagu postawiły, żeby przynajmniej formie stało się zadość i honor związku został ocalony. Swoją drogą Austrya wpłynęła i na to, żeby ten wniosek w Bundestagu przeszedł, uspakajając średnie i mniejsze państwa tem oświadczeniem, że będzie w dalszych swoich układach z Prusami sama tego strzegła jak najściślej, aby prawa związkowe w księstwach mianowicie co do decyzyi w sprawie sukcesyi nie były naruszane, choć wojsko związkowe ustąpi z Holsztynu i żeby cała ta kwestya przyszłych losów księstw nadelbiańskich zgodnie

z interesami Związku rozwiązaną była. Te i tym podobne przedstawienia i zapewnienia gabinetu austryackiego, rozesłane w cyrkularzu z Wiednia po wszystkich niemieckich dworach, uspokoiły nieco umysly i odniosły pożądany skutek; na posiedzeniu Bundestagu z 5 grudnia wniosek prusko-austryacki, za odwołaniem wojsk związkowych z Holsztynu, 9ma głosami przeciw 6ciu został przyjęty, nawet Saksonia i Bawarya głosowały za nim.

Wojska związkowe wnet ustąpiły z Holsztynu i tak skończył się ten pierwszy niekrwawy epizod niemieckiej wojny domowej; teraz już tylko Prusy z Austryą same zostały na placu, między nimi już bez krwi rozlewu obejść się nie mogło, ten pojedynek nie dał się zakończyć objadem dyplomatycznym i konwencyą w Gastein.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ign. Skrochowski.

Przegląd Literacki.

Panteon wiedzy ludzkiej lub pantologia, encyklopedya wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii, przez Bolesława Trentowskiego. Tom I. Poznań, 1873. Nakładem Żupańskiego. Str. XIV i 546.

Jeżeli w innych krajach, bogato uposażonych w poważne dzieła, każdy nowy płód wiedzy filozoficznej budzi wielkie zajęcie, zwłaszcza w czasach obecnych, tonących coraz bardziej w niefilozoficznym naturalizmie, u nas samo jego ukazanie się powinno wywołać oklaski, tem huczniejsze, im rzadsze są u nas twory filozoficzne, a grubszy naturalizm, zalewający nasze pismiennictwo. Tak być powinno, ale w rzeczywistości tak nie jest. W rzeczywistości z dziwną apatyą słuchamy głosu filozofii, tak iżby nas posądzić można o stałą i jakoby wrodzoną niechęć do poważnego, oderwanego od znikomych wypadków myślenia. I takie, zdaje się, naród nasz na Trentowskim zrobił wrażenie, skoro długoletnie milczenie swoje, począwszy od r. 1848, tłumaczy przeważnie antyfilozoficznym prądem, jaki porwał i dotąd unosi nasze pismiennictwo i społeczność naszą. Ubolewa gorzko, że *„pędem szalonym pognaliśmy do XIII wieku,“* a najciemniejszy ultramontanizm wyniszczył wszelki zasiew filozoficzny, wyłoniony przed rokiem 1848. Zarzut stary, powtarzany w naszych pismach liberalnych od lat dwudziestu, bezzasadny, niesprawiedliwy, ale dla niebezpiecznej popularności swojej zasługujący na odprawę.

Już to bardzo smutnie, gdy autor nie może znaleźć czytelników, ale smutniejsza jeszcze, gdy przyczynę takiego defektu nie własnej winie przypisuje, lecz jakiejś wszechpotężnej

partyi, która „zuchwale przyodziawszy się w święty płaszcz patryotyzmu, a *dzieląc się z wrogami władzą*, również ociemnienia naszego żądającymi, rzuciła klątwę na filozofią i *poniewiera rozum ludzki.*" (str. II).

Kto od podobnych złorzeczeń zaczyna swoje dziś już pogrobowe kazanie, nie może spodziewać się owoców, bo i jakie w nas obudzi ku sobie zaufanie filozof, nieposiadający dwóch istotnych do filozofowania warunków, szlachetnego charakteru i bystrego rozumu. Zohydzenie jednej części narodu przed drugą, lub całego narodu przed tak zwanym „duchem Bożym" (str. IV), a który jest poprostu duchem masońskim, jak przekonaliśmy się z recenzyi w przeszłym zesz. *Przeglądu*, niedowodzi zaiste ani serca szlachetnego ani miłości, a trudno apostołować, zwłaszcza u nas, bez miłości. Ale nie dowodzi nawet bystrego rozumu. Boć przecież ś. p. Trentowski powinien był wiedzieć, że wstręt niezwyciężony do podawanej nam filozofii nie był dziełem jakiejś złośliwej konspiracyi, lecz jedynie skutkiem odrodzenia się prawdziwie katolickich uczuć w niektórych prowincyach dawnej rzeczypospolitej i zastanowienia się głębszego nad naszem smutnem położeniem. A to zastanowienie pokazało nam przepaść, do której nas usiłował zepchnąć ruch filozoficzny. Bo chociaż nie mieliśmy nigdy pretensyi do zostania wielkimi filozofami i w przeszłości naszej, podobnież jak Rzymianie, chętniej pałaszem, aniżeli piórem kreśliliśmy nasze dziejowe pomysły; jednak dał nam Pan Bóg tyle zdrowego rozsądku, że umiemy się poznać na wyrobach sfałszowanych. Gdy przeto w przywiezionych do nas systemach pokiereszowany odkryliśmy hegelianizm, do którego, aby mu nadać pozór oryginalności, przyczepiono już to Boga osobistego, już to duszy nieśmiertelność, lub wreszcie wolność osobistą; gdy ujrzeliśmy w pismiennictwie naszem całą rodzinę potworów, dających poznać nieswojskie i nienaturalne pochodzenie swoje, już samym językiem, najdziwaczniejszym i najwstrętniejszym, jakim kiedykolwiek przemawiano do polskich słuchaczy, a to w czasach, kiedy wieszcze nasi przyzwyczaili mowę naszą do nieznanej przedtem górności lirycznej, do prawdziwie greckiej wytworności i dźwięczności, cóż dziwnego, pytam, że zarówno treścią jak formą odepchnięci, widząc zresztą smutne hegelianizmu owoce w sąsiednich Niemczech, postanowiliśmy udać się drogą rodzimą i nie szukać zbawienia w niemczyznie, gubiącej zarówno dusze jak ciała nasze, jeno w głębinach ducha narodowego, w zrozumieniu przeszłości naszej i w owem źródle żywem, odradzającem bezustannie i jednostki i narody całe, w religii Chrystusowej? A przez religię Chrystusa nie rozumiemy jednej z owych sekt niezliczonych, podszywających się bezprawnie pod nazwę Zbawiciela; lecz wiarę, którą przyjęli niegdyś przodkowie nasi od rzymskich

opowiadaczy ewangelii i która stała się jakoby duszą dziejów naszych. W gruncie nie przestaliśmy nigdy być katolikami, a cała zmiana na lepsze jest jedynie w głębszem zrozumieniu i serdeczniejszem ukochaniu religii, które w ostatniej połowie przeszłego stulecia a w pierwszej bieżącego okryła się dosyć grubą skorupą obojętności. Rozbiliśmy skorupę i oswobodziliśmy więzione uczucia, oto cała metamorfoza, tak filozofów naszym kołąca w oczy, oto grzech narodu przeciw *„zesłaniu Ducha ś.,“* jak mówią loże, a po naszemu *„przeciw ateizmowi.“*

Żeby więc *„podnieść“* naszą podupadłą oświatę, a co więcej *„unarodowić ją nad Wisłą i Dniestrem,“* przynosi nam autor lub raczej jego pośmiertny wydawca w upominku „obraz europejskiej oświaty“ i tuszy sobie, że pogodzi „umiejętność z wiarą“ i wyświeci nam nareszcie „niebiańską, wiekuistą wartość chrześcijaństwa i katolicyzmu, bez nucenia pieśni z pod mogił starego ludzkości europejskiej smętarza.“ (str. III).

Pierwszy tom, który dotąd ukazał się, oprócz części ogólnej, zawiera obszerny wykład teologii, potem fizykę i nauki przyrodzone, lekarskie i prawnicze, nareszcie wiedzę spekulacyjną, podzieloną na ontologię, kosmologię, pneumatologię, psychologię, antropologię. W tem wszystkiem nie masz jeszcze systemu autora, przeznaczonego do wypełnienia tomów następnych, lecz jestto niejako streszczeniem całej duchowej pracy aż do dni naszych odbytej, aby służyła za podnóżek wiedzy przyszłej, stworzonej przez naszego rodaka. Gdyby to streszczenie było przedmiotowo-wiernym obrazem, należałaby się autorowi wdzięczność prawdziwa, bo pożyteczna, jednym olbrzymim rzutem oka duchowego objąć wszystko, co zrobił dotąd rodzaj ludzki, i zdać sobie sprawę z całej sumy jego postępów. Na to jednak nieodzownie potrzeba dwóch rzeczy: znajomości wszech nauk i prostoty ducha. Jeżeli o pierwsze bardzo trudno, zwłaszcza w naszych czasach, to drugie prawie niemożebne dla filozofa, mającego pretensyę do własnego systemu. I słuszna wtedy powstaje obawa, że zamiast obrazu da nam karykaturę, zamiast rezultatu wszech nauk, szereg pomysłów. Zobaczmy jak dalece Trentowski posiada dwa wspomniane warunki.

Co do jego znajomości wszech nauk nie mogę jej sprawdzić w szczegółach, bo głowa moja zaszczupła na takie bogactwo. Znam tylko kilka nauk, ale sądząc po nich, nie mogłem nabrać szczególnego wyobrażenia o wszechwiedzy Trentowskiego. Ma on potężną wyobraźnię, która nie dozwoliła mu nigdy żadnej rzeczy dobrze się nauczyć. To też prawie na każdej stronnicy przemawia marzyciel, nie uczony, co tem nieprzyjemniejsze, że sądy swoje podaje za wyroki współczesnych nam badań.

Tak np. dowiadujemy się na str. 271, że galwanizm jest duszą wszech gatunków ziem we wnętrznościach naszego ciała niebieskiego, że on to utworzył ziem gatunki, tak jak magnetyzm utworzył kruszce i kamienie, a elektryzm płyny żywiołowe. Któryż uczony fizyk przyzna się do takich twierdzeń. Lub co gorsza jeszcze. Wiadomo powszechnie, że tak zwane samorodztwo pozostało dotąd *pium desiderium* materyalistów, podczas gdy sumienni badacze powtarzają jednomyślnie: *omne vivum ex ovo.* Otóż Trentowski, jak gdyby nic nie wiedział o świetnych eksperymentach Pasteur'a, zaręcza nam na tejże stronnicy, że „galwanizm działający w ile, staje się iskrą żywota i ustraja go w pierwotne żywiątka lub tak zwane infusorya, protoroa. On *jaju organiczności*, wydobywającemu się z łona nieorganicznego świata, udziela zapłodnienie i duszę." Czyż można bardziej zdyskredytować powagę filozofii, mistrzyni wszech nauk, jak podsuwaniem pod jej skrzydła podobnych fałszów, lub wygłaszaniem podobnych co najwięcej przypuszczeń, za wyroki.

Otwieram przypadkiem inną stronnicę (273) i czytam znowu o galwanizmie, że on „przeniesioną z niebios na ziemię polarnością, której biegunami słońce i planeta, odpychanie i przyciąganie, a środkiem kometa i wir. On atoli, jako magnetyzmu i elektryczności różnojednia, wyobraża mianowicie kometyczność i wirowanie."

Któryż astronom pochwali takie o siłach niebieskich rozprawianie?

Pomijam, że *magnetyzm stoi jak przestrzeń*, *elektryczność leci jak czas*, *a galwanizm koziołkuje, jak pierwotna materya, lub eter w mlecznych drogach i słońcowiskach* (str. 273); pomijam, że światło jest jeden bok kąta, a ciepło, światłem wydobyte, drugi bok tegoż kąta (str. 263), a obok nich, jako różnojednia odwrotności i przeciwstawu występuje *gień* czyli światło słoneczne, ożenione z ciepłem planetarnem na ziemi, w komecie i na słońcu (str. 255); pomijam, że każdy z nas w słońcu się świetli, w ziemi grzeje, w słońcu zaś i ziemi zarazem, lub w rozpuszczonej i zjednoczonej z sobą a złotem jaśniejącej ich eteryczności *gnieje*, boć „kometa jest słońcem i planetą w odmętowej jedni, zkąd gień, acz powstaje na wszystkich ciałach niebieskich, w skutek wzajemnego ich działania na siebie, wyświeca się duszą komety, w jego jądrze pracującą" str. 267). Pomijam te i tym podobne dziwactwa, rozsypane hojną dłonią po wszystkich niemal stronnicach obszernego dzieła, i pytam bezstronnego czytelnika, czy podobny wykład, mający unarodowić u nas nareszcie oświatę zachodu, może za sobą inny pociągnąć skutek, prócz zamętu w głowach. A niebezpieczeństwo tem większe, że autor chciałby wypełnić brak porządnych i narodowych szkół, dając w dziele swem

każdemu sposobność kształcenia się w domu — „nawet płeć piękna nie jest wyłączona od czytania tej książki.“ Otóż gdyby się spełniło życzenie autora, mielibyśmy głowy nasze napełnione nietylko błędnemi teoryami, ale tak sztuczną i tak niezrozumiałą klasyfikacyą, że wyjechawszy za granicę, nie moglibyśmy nic nazwać, nic poznać, i musielibyśmy studya nasze zaczynać nanowo. Ażeby choć jednym przykładem uzasadnić mój zarzut, wybieram na chybił trafił całokształt nauk przyrodzonych, rozpadający się na pięć ogromnych działów. Na czele *kosmogonia,* dzieląca się na trzy udzielne nauki: *stychiogonią, kinezyogonią*, *igmatogonią. Stychiogonia* czyli nauka o kardynalnych posadach przyrodzenia lub *Bożyrku,* obejmuje *diastematogonię* czyli naukę o przestrzeni, *chronogonię* t. j. naukę o czasie, nareszcie *hylegonię* czyli wykład o materyi. Dla ciekawości wypisuję rezultat ostatni tej potrójnej nauki. Treścią, pierwiastkiem świata, bożyrkiem jego to „bezmiar przestrzeni i czasu lub pierwotnej materyi, *kula eterowa bez granic.* Bóg położon jest nie za tą kulą, ale w samymże jej środku i *stanowi jej istotę*“ (str. 222) Warto doprawdy przemozolić się przez takie ciężko uczone trzy działy, aby skończyć na dwóch niedorzecznościach. Bo *kula eterowa bez granic* jest mechanicznem niepodobieństwem, a Bóg stanowiący istotę tej kuli eterycznej jest niepodobieństwem teologicznem. I tak aż dwa naraz niepodobieństwa czyli dwie niedorzeczności.

Przejdźmy do wtórej części Kosmogonii, którą autor przezwał *Kinezyogonią.* Już tam nie ma mowy o posadach świata, lecz o siłach jego. Trzy główne siły przyrodzone odpychająca, przyciągająca i wymijająca upostaciły się w trzech odrębnych naukach: hektazeogonią, efelcyogonią, girozeogonią same nazwy greckie, bardzo uczone.

Nareszcie trzecia część Kosmogonii rozpada się znowu na hologonią, merydogonią, henikogonią. Urywam tu dalsze wypisywanie nazw dla większości czytelników zgoła niezrozumiałych, bo lękam się, że w druku będą przeinaczone do niepoznania, a potem, że nużąca jednostajność trzypolowego gospodarstwa zaprowadzonego we wszystkich dzielnicach wiedzy ludzkiej z prawdziwie heglowską upartością, prócz kilkuset nazw barbarzyńskich nic nas zgoła nie nauczy. Zwiększa się zresztą trudność oryentowania się po tym prawdziwie egipskim labiryncie przez nadanie nowego znaczenia wyrazom dawno utartym. Bo mniejsza o to, że Trentowski kuje ustawicznie grecko-barbarzyńskie wyrazy dla unarodowienia u nas oświaty, ale utarte już bierze często w innem zupełnie znaczeniu. Co dotąd nazywało się astronomią, u niego nazywa się uranologią, zaś astronomia jest u niego, nie wiedzieć dla czego, nauką „o niebiańskiej grze sił“ do czego przybywa jeszcze nowa nauka *heliostatyka* o takich istnieniach, co są zarazem mate-

ryą i siłą (str. 234). Jest ich zaś trzy: światło, ciepło, ogień (str. 248) zkąd konieczność trzech nowych nauk: fotologii, termologii, flogmologii.

Po tych próbkach mógłeś się łaskawy czytelniku przekonać, że wszystkie pojęcia, nawet najzwyczajniejsze u Trentowskiego inaczej nazywają się, inaczej układają jak u nas, przez co wszelkie porozumienie staje się prawie niepodobnem. Słusznie też autor narzeka: „że on i czytelnik nie znają się nawzajem.“ (str. VI) Ale któż temu winien? zaiste, nie czytelnik!

Już prawie wyszedłem za ramy, przeznaczone krytycznym rozbiorom *Przeglądu*, a jeszcze nie zdołałem się zapuścić w głąb książki. Wydaje mi się to na razie niepodobieństwem, bo dzieła filozoficzne zazwyczaj tyle poruszają kwestyi i tak rozliczne ukazują myślenia oblicza, że trzebaby na nie odpowiadać, nie artykułami, lecz książkami, jeżeli czytelnik ma odnieść upragniony pożytek. Mimo to muszę dodać kilka uwag ogólnych o duchu, jaki wieje z tej książki i celu, jaki sobie wytknął autor.

Duch jak najmniej chrześciański, bo robiący Chrystusa zwyczajnym człowiekiem; a najmniej religijny, bo plwający na wszystko, co sercu katolickiemu i polskiemu drogiem być powinno. Słowem duch ten sam „świętojański“, który Trentowskiemu podyktował drugą ową książkę pośmiertną, z której zdaliśmy krótką sprawę w przeszłym zeszycie. Jeno pisząc po polsku i dla Polaków pisarz był ostrożniejszym, aby zbyt grubemi obelgami nie splugawić mowy ojczystej (mowy niemieckiej jakoś nie żałował pod tym względem) a potem, żeby nie zrazić ziomków, których szanowny profesor fryburgski miał za ludzi ciemnych, przesądnych, jęczących pod tyranią duchowieństwa i nie wiedzieć co jeszcze. Przemawia więc łagodnie, nawet słodko.

Mieni się nawet katolikiem i chce nam wyświecać niebiańską i wiekuistą wartość chrześciaństwa i katolicyzmu (str. III). Ale chyba miał nas autor za ludzi zgoła nie myślących, mniemając, że nas złapie na tak grubą hypokryzyą. Bo przypuściwszy nawet, że nic nie wiemy o jego stosunkach z masoneryą i o jego „świętojańskich“ pracach, nie był powinien nas mieć za tak ograniczonych, że uwierzymy w katolicyzm pierwszego lepszego, zwłaszcza gdy nam pretensyonalnie dowodzi, jako ani papież ani biskupi nie mieli nigdy wyobrażenia o religii Chrystusowej i że on dopiero przynosi *„narodowi chrześciaństwo najwyższego znaczenia i szczytu, katolicyzm najistniejszy i najświętszy.“* (str. 100) Zaiste dziwna pycha, i głupia i szalona przypuszczać, że naród tysiąc lat modlący się do Syna Bożego i przelewający za Niego krew swoją, dotąd nie wiedział, w co wierzy, co kocha, za co umie-

ra. A za pychą tak ogromną musi iść również wielkie zaciemnienie pojęć, jako kara przyrodzona. Bo czy to nie zaślepienie umysłu, gdy człowiek ciężko uczony, mający się za myśliciela i reformatora narodu, nie może zrozumieć, że do żadnej społeczności nie można należeć bez posłuszeństwa jej prawom i przełożonym. Któż bo kiedy wątpił o tem, że masonem być przestaje, kto nie przestrzega praw masoneryi, nie słucha ślepo wielkiego mistrza loży? Może być wszystkiem, czem zechce, byle nie masonem. Tę samę logikę był powininien Trentowski rozciągnąć i na kościelną społeczność: katolikiem być nie może, kto nie słucha Kościoła, a Kościoła nie słucha, kto pogardza papieżem.

Ale nie tylko, że nie słucha Kościoła autor, lecz nie przyjmuje żadnego dogmatu z nauki chrześciańskiej. Założyciel religii naszej, Syn Boży, jest dla niego mędrcem, umierającym za filozofią, tak jak pomarli Sokrates i Hus niezrównany (str. 58). Dziwne to towarzystwo dodane Bogu-człowiekowi; przypomina dobrego i złego łotra z Kalwaryi.

Ducha Śgo uważają katolicy za trzecią osobę w Trójcy Świętej: zaś Trentowski zrobił z niego poprostu filozofią. — Ona to duchem pocieszycielem, przyobiecanym od Zbawiciela (str. 57).

W ogóle o religii i stosunku jej do filozofii ma autor zupełnie pomięszane wyobrażenia. Teologia jest córką filozofii (str. 58) i wszyscy założyciele byli filozofami. Nie gniewam się o to, gdy kto Zbawiciela oprócz innych nazw jemu przynależnych, obdarza także tytułem największego filozofa, bo prawdę mówi Trentowski, nazywając chrześciaństwo „najgłębszą i najprawdziwszą filozofią“ (str. 58); prawdę także mówi dowodząc, że ci co naukę Zbawiciela ułożyli w katechizm i dogmatykę, w naukę kościelną czyli teologią, tak zwani ojcowie Kościoła i scholastycy, a na ich czele Ś. Augustyn i Ŝty Tomasz *byli w gruncie filozofami.* Ale wychowany w sekcie, modlący się do ducha-przeczyciela, już na stronie następnej utrzymuje przeciwnie, że ludy w dzieciństwie „które światłości bez pośredniej z niebios nie są warte“ mają teologią, jako niańkę a filozofii zaś nie potrzebują wcale. „*Takim ludom nie przysyła Bóg samodzielnych filozofów.*„

Ileż błędów historycznych w tym krótkim ustępie! ileż sprzeczności z co dopiero wypowiedzianem twierdzeniem! Nasamprzód nie prawda jest, jakoby chrześciaństwo przyszło do ludów dziecinnych, przyszło przeciwnie do ludów przestarzałych. Żydzi już posiadali co najmniej piętnastowiekową cywilizacyą i nie dodali nic więcej do swej literatury. Duch Hellady już za czasów wielkiego Macedończyka miał skroń przyprószoną śiwizną, a gdy w trzysta piędziesiąt lat później, Paweł św. stanął przed zdumiałym Areopagiem, widział cie-

nie tylko przygniecione wielką przeszłością, błądzące po muzeum pamiątek narodowych. Życia tam już nie było, i mógł się tego autor nauczyć, z byle którego podręcznika dziejów starożytnych A Rzym? Och! chyba nie zajrzał nigdy autor do Irydiona, skoro twierdzi, że świat rzymski za dni Augusta był jeszcze w kołysce rozwoju swego; nie miał nigdy w ręku listów św. Pawła, skoro się nie dowiedział, że Bóg dopiero wtedy zesłał Syna swego, gdy przyszło wypełnienie czasu, plenitudo temporis (Gal. IV. 4). Ale nie dziwmy się temu. Ani Hegel ani żaden z uczniow jego nie był w zgodzie z historyą i ponieważ ich kategorye myślne nie znalazły się w dziejach ludzkości, musiały te gwałtem pomieścić się w owych. Tak i Trentowski, aby bajkę swą o powstaniu religii w społeczeństwach młodych a filozofii w starych utrzymać, choćby kosztem prawdy, każe wbrew wszelkim dziejopisarzom chrześciaństwu przychodzić w czasach jutrzenki, nie zaś wieczora historycznego.

Jednakże i ten gwałt zadany prawdzie nie uratował go od ciągłych sprzeczności, z któremi nie tylko filozof, ale nawet prostaczy rozum nie powinien chodzić w parze. Bo jeżeli Chrystus Pan był twórcą „najgłębszej i najprawdziwszej filozofii," (stron. 58), a ludy do których przyszedł, były w pierwszym dopiero młodości rozkwicie, to oczywiście nie prawda, że „takim ludom nie przysyła Bóg samodzielnych filozofów" (str. 59), a jeżeli twórcy dogmatyki chrześciańskiej, zwłaszcza św. Tomasz z Akwinu i św. Augustyn „byli filozofami" to znowu nieprawda, że ludy w początkach rozwoju swego „filozofii nie potrzebują wcale" (str. 59), bo skwapliwem jej przyjęciem i wcieleniem do wszystkich spraw życia publicznego i prywatnego dowiodły te ludy, że potrzebują jej bardzo. Mógłbym dalej bawić czytelnika, zestawianiem też i antytez z książki, podającej się za najdojrzalszy owoc na drzewie europejskiej oświaty, ale łaskawy czytelnik w wolnych godzinach sam sobie może sprawić tę przyjemność, jeżeli godzi się nazwać przyjemnością towarzyszenie wszystkim wykrętom ducha wiecznie przeczącego?

Jeżeli taka treść i duch taki tego pogrobowego dzieła, nie zostaje wątpliwość żadna co do celu, jaki sobie zamierzył nieboszczyk filozof. Sam będąc jednym „z wybranych Pańskich," jak się członkowie sekty skromnie nazywają, autor pragnie ich liczbę powiększyć u nas, przyrzekając złote góry. Przychodzi do nas w imieniu Pańskiem, aby nas „odrodzić, zbawić i przodownictwem obdarzyć" (str. 60). Ale dziwne to odrodzenie, wyzuwające nas z wszystkiego, co stanowi przeszłość naszą i kochanie nasze. I my pragniemy odrodzić się i zmartwychwstać, ale nie zapomocą braci wolnomularskich, jeno przez to, co oni nienawidzą. Bo spółeczność wszelka może tylko przez to odrodzić się, przez co się narodziła. Pol-

skę kościół zrodził!, a więc kościół ją odrodzi także. Polska w kolebce swej była Chrystusową. a gdy raz drugi zajmie miejsce sobie przynależne wśród ludów ziemi, będzie znowu Chrystusową. Co zaś do filozofów, zapowiadających nam inne środki odrodzenia, przypominamy sobie w sam czas słowa wielkiego Pawła; „patrzcie by kto was nie oszukał przez filozofią,“ videte ne quis vos decipiat per philosophiam.

Rzym 21 marca

Dr. P.

Dr. Jacob Caro, Gescnichte Polens. Vierter Theil 1430 —1455. Gotha 1875.

Po kilkuletniej przerwie ukazał się w końcu czwarty z kolei tom „Historyi Polski.“ Tak jak i przy opracowaniu epok dawniejszych tak też i tu niebrakło p. C. prac przgotowawczych, z których niejednokrotnie, jak to sam (na str. 467) przyznaje, korzystać miał sposobność. Wszystkie te dzieła, atoli nie wyjmując nawet bardzo starannej pracy prof. Zeissberga (Die poln. Geschichtschr. im Mittel. Leipzig 1873) niewyczerpały w zupełności materyału historycznego do tej epoki się odnoszącego, już z tej prostej przyczyny, że najważniejsza niemal a przynajmniej w treść najbogatsza część jego pozostaje dotychczas w rękopisie. Kto tedy tak jak p. C., zamierzał opracować w sposób o ile możności wyczerpujący historyą Polski w latach 1430 — 1455, temu wypadało zwrócić uwagę swoją szczególniej na archiwa krakowskie obejmujące olbrzymi materyał rękopiśmienny do wieku XV. Nie uczynił tego p. C. i dlatego, przyznamy się, z niewiarą braliśmy książkę jego do ręki.

Obawy nasze były zupełnie uzasadnione. Bo gdy w poprzednich tomach swojego dzieła, autor z wielką sumiennością i troskliwością starał się zebrać i zużytkować drukiem ogłoszone materyały i opracowania, a nawet tu i owdzie z nieznanego podówczas Liber cancellariae Ciołka ciekawe wydobywał szczegóły, w tomie IVtym ograniczył się jedynie prawie na studyach w archiwum drezdeńskiem, a z dzieł drukowanych już i znanych powszechnie opuścił kilka, podając przez to w wątpliwość sławioną dotychczas uczonych niemieckich staranność i erudycyą.— A przecież czas i ludzie, których p. C. w dziele powyższem przedstawić zamierzył godni owej troskliwości, jaką dziejopisarze otaczać zwykli to, co trwać ma przez wieki i co nosi na sobie piętno ludzkiego geniuszu. Temi słowy mniej więcej określa autor sam politykę dworu polskiego w wieku XV, a określa ją słusznie zupełnie. Od czasów bo-

wiem Kazimierza W. od epoki, w której Polska z długiego letargu podziałów zwolna dźwigać się poczęła nie ma może drugiej zarówno stanowczej i zarówno świetnej chwili w dziejach naszych jak czas bitwy grunwaldzkiej, zapowiadającej bezwarunkową przewagę Polski na wschodzie Europy. I naturalnym też rzeczy porządkiem staje się monarchia Jagiellonów odtąd najważniejszem ogniwem łączącem Wschód z Zachodem, staje się pośredniczką w przeprowadzeniu cywilizacyi w kraje dotychczas barbarzyńskie i dzikie a zarazem zajmuje w sprawach politycznych Europy stanowisko samoistne, wzbudzające szacunek u wrogich nam sąsiadów i hamujące zapędy Niemców wdzierających się coraz dalej w dziedziny narodów słowiańskich.

Posłannictwa tego jednak Polska dotąd należycie spełniać nie mog a, dokąd państwo jej rozległe a z różnorodnych acz pokrewnych sobie złożone żywiołów, nie uległo zupełnie reorganizacyi wewnętrznej. Państwo polskie, utworzone w skutek połączenia się Litwy i Rusi z dawną monarchią piastowską, było właściwie olbrzymią federacyą słowiańskich narodów. Wspólne niebezpieczeństwo grożące od Zachodu przyspieszyło połączenie się tych szczepów, a kierownictwo nowego związku przypadło w udziale Polsce zajmującej tak pod względem cywilizacyi jak i rozwoju instytucyj państwowych pierwsze miejsce w rodzinie narodów sławiańskich. Państwo, które powstało w sposób podobny miało też spełnić jak to już nadmieniliśmy, misyą dwojaką: odeprzeć najazd germańskich szczepów na Wschód a równocześnie zapewnić zwycięztwo cywilizacyi zachodniej tam, gdzie albo jej wcale nie znano, albo też starano się ją zastąpić na wskróś zgniłą cywilizacyą bizantyńską. Przeświadczenie o tej misyi szczytnej a trudnej do spełnienia, wyryte było głęboko w umysłach wszystkich znakomitszych mężów stanu polskich i litewskich w wieku XV. Nawet Witołd, ten sam Witołd, któremu p. Caro tak często poddaje separatystyczne dążności, nawet on jest tak silnie przejęty tą misyą cywilizacyjną Jagiellonów, że na lat dwadzieścia przeszło przed unią florencką usiłuje doprowadzić do skutku połączenie Kościoła wschodniego z zachodniem. A jeżeli wówczas, na soborze w Konstancyi usiłowania te jego spełzły na niczem, to wypadki lat następnych dowiodły najlepiej, ile żywotności miała w sobie ta myśl syna Kiejstutowego. Z myślą tą łączyły się ściśle byt i istnienie Polski a jak długo na wschodnich jej granicach niezwyciężyła cywilizacya zachodnia, tak długo i monarchia Jagiellonów trwałej nie miała podstawy. Zapatrując się w ten sposób na historyą Polski zrozumiemy dlaczego p. C. IIgi tom swej pracy (a trzeci ogólnego zbioru) kończy wraz z śmiercią Witolda. Zejście bohatera litewskiego rozgranicza istotnie dwie epoki w historyi polskiej. Witold poj-

mował jak to już wspomnieliśmy, posłannictwo jakie objęła wraz z tronem polskim rodzina Jagiellonów i w sposób sobie właściwy spełnić takowe zamierzył. Z jego śmiercią usuwa się z widowni dziejowej jedyny godny reprezentant Litwy, przejęty cywilizacyą zachodnią, a kraj ten rozdarty wewnątrz wojnami domowemi utrudnia dzieło zupełnego zjednoczenia krain wschodnich i zachodnich opóźniając tem samem rozwój państwa, którego losy na zawsze dzielić mu wypadło.

W miarę zaś jak ustaje wpływ Witolda na politykę Polski wzmaga się znaczenie Zbigniewa Oleśnickiego i odtąd on a nie kto inny kieruje nawą państwa, koło niego zbiera się stronnictwo ludzi dobrej woli stojących na straży interesów tronu A że kierunek oznaczony teraz polityce przez biskupa krakowskiego, jest ściśle katolicki, temu się ani dziwić ani też przyganiać nie można. Inaczej naturalnie pojmuje sprawy p. C. Jemu katolicka Polska a szczególniej biskup stojący u steru rządów jest solą w oku. Dlaczego? Tego dociec trudno, chybaby motywów szukać trzeba w usposobieniu osobistem autora. Nie chcemy p. C. posądzać o tendencyjność, ale mimowoli nasuwa się pytanie co zawinił Oleśnicki? dlaczego każdy czyn jego zasługuje na surową ze strony autora naganę?

Przejdźmy do faktów: W roku 1443 zakupił biskup krakowski od Wacława księcia Cieszyńskiego tak zwane księstwo Siewierskie. Był to czyn ze wszechmiar chwalebny, bo i państwo i biskupi krakowscy zyskiwali w ten sposób kawał kraju, któremu tak jak i innym dzielnicom szląskim groziło wynarodowienie. Inaczej zapatruje się na ten czyn Oleśnickiego p. C. Podług jego zdania przyniósł nowy nabytek Polsce mnogie szkody. Naraził on ją na wojnę z książętami szląskiemi na czem musiał cierpieć handel i dobrobyt kraju. -- Owóż tak źle nie było. Walki bezustanne, jakie toczono na granicy polskiej od strony Szlązka nie zostały wywołane zakupem Siewierza. Powodem do nich był stan Szlązka anormalny, nieustające wojny między książętami, brak porządku i wreszcie burzliwe usposobienie szlachty wywołane właśnie tym stanem oblężenia niejako panującym w kraju. Położenie przeto na gorsze zmienić się nie mogło, a w tej chwili mniej niż kiedykolwiek należało się obawiać Szlązaków: Długoletnie wojny hussyckie bowiem wyludniły kraj a najazd Polaków w r. 1438 dowiódł najlepiej, że Szląsk sam obronić się nawet nie może, a cóż dopiero myśleć o zaczepnej wojnie. — Sąsiedztwo niespokojne szląskie narażało Polskę na inne jeszcze niedogodności. Płynęło ztamtąd mnóstwo pieniędzy fałszywych i nic dziwnego, że biskup krakowski w czasie małoletnich rządów Władysława Warneńczyka zwracał na to uwagę powszechną pragnąc zapobiedz złemu. P. C. mniema, że czynił on to jedynie ze względu na dochody swoje, które w miarę jak w kraju obie-

gać zaczęła moneta fałszywa tracić musiały na wartości. Można sobie łatwo wyobrazić, że, jeżeli każdy, nawet chwalebny czyn Zbigniewa Oleśnickiego surowej autora podlega krytyce, tam gdzie pozory zdają się mówić przeciw biskupowi p. C. nie szczędzi barw jaskrawych, aby nakreślić obraz taki jaki wyobraźnia jego na podstawie znanych źródeł sobie utworzyła. Dzięki dokumentom, nieznanym autorowi, możemy dowieść, że sąd p. C. o Z. Oleśnickim jest w wielu wypadkach dowolny i z rzeczywistością wcale niezgodny. Dotyczy to głównie starań biskupa krakowskiego o kapelusz kardynalski i sprawy Andrzeja Galki z Dobczyna. Wiadomo powszechnie, że Zbigniew Oleśnicki w czasie schizmy kościelnej wywołanej przez spór soboru bazylejskiego z papieżem Eugeniuszem IV dostąpił godności kardynała. Tak antypapa Feliks V jak i twórca unii florenckiej Eugeniusz IV ofiarowali mu purpurę. Oleśnicki jednak ulegając okolicznościom tytułu kardynała używać przestał. Gdy stosunki znowu zmieniać się zaczęły a król Kazimierz Jagiellończyk uznał papieżem Mikołaja V, trzeba było nowych starań w Rzymie, aby godność kardynalską otrzymać. Rozpoczęła się w skutek tego żywa korespondencya między kuryą rzymską a biskupem krakowskim rzucająca światło na stosunki ówczesne i na charakter Oleśnickiego. W jednym z listów pisanych do papieża odsłania przed nim biskup groźny stan Polski z powodu krzewiącej się na północy herezyi Hussa i napadów na dobra kościelne.

Podług zdania p. C. (str. 401) była to intryga zręcznie osnuta. Papież przestraszony listem Oleśnickiego, widząc jakie niebezpieczeństwo zagraża kościołowi w Polsce, poszle czemprędzej kapelusz biskupowi, aby go zagrzać do walki z kacerstwem, którego naturalnie nie było. Szczęściem posiadamy prywatny list [1]) pochodzący z tych czasów, który dowodzi, że w północnych dyecezyach polskich szerzył się istotnie hussytyzm i coraz to groźniejsze przybierał rozmiary, a Eneas Silvius spotkał w r. 1451 w mieście Tabor, w Czechach księdza hussyckiego Jana Galeta, wypędzonego z Polski [2]). Najwięcej jednak narażoną była dyecezya krakowska, w której sąsiedztwie, na Spiżu [3]) bujnie krzewiły się zasady czeskiego reformatora. Jakkolwiek przeto p. C. nie znał listu, o którym wspominaliśmy, to mógł już z źródeł drukowanych wnosić, że hussytyzm zagrażał istotnie dyecezyi krakowskiej i że Z. Oleśnicki pisząc o tem papieżowi, czynił tylko to, co mu obowią-

---

[1]) Rękop. bibl Jagiell Nr 42, fol. 91.

[2]) Palacky, Gesch. Böhm, IV, 1459.

[3]) Wagner, Analec. Scepus. I, p. 29.

zek nakazywał. Niemniej cennych materyałów do potępienia biskupa krakow. dostarczyła p. C. sprawa znanego Andrzeja Gałki z Dobczyna. Historya to nie nowa, obrabiana już w drugiej połowie zeszłego stulecia, o czem autor zdaje się niewiedzieć, a nader ponętna dla tych, co do stosunków średniowiecznych miarę dzisiejszą przykładać zwykli. Z niezwykłem też zajęciem opowiada zdarzenie całe p. C. i przychodzi naturalnie do przekonania, że postępowanie biskupa z Gałką było bezprawnem (p. 413) a nawet można powiedzieć nieuczciwem (p. 412). Szczęściem jesteśmy w stanie tak jak poprzednio tak też i teraz, na podstawie źródeł rękopiśmiennych a nieznanych autorowi wykazać, że zdanie to jest zupełnie mylnem [1]). Całe bowiem rozumowanie p C. wymierzone przeciwko biskupowi nie może się utrzymać, jeżeli zważymy, że Z. Oleśnickiego w tym czasie w Krakowie nie było. W jego imieniu działał wikaryusz biskupi, Jan Elgot, a z listów przechowanych w MSS. bibl. Jagiell, Nr 42, możemy poznać dokładnie przebieg całej sprawy. Że Gałka był człowiekiem zdolnym i poważanym nawet, to rzecz pewna. Inaczej nie byłby otrzymał posady profesora uniwersytetu, a tem mniej kanonika u św Floryana — o czem p. C. zdaje się niewiedzieć. Godność tę piastował on przez lat dziesięć, a gdy następnie skutkiem jakiegoś „skandalu“ zaniósł uniwersytet skargę do biskupa wydalono go z Krakowa do Mogiły pod pozorami bardzo łagodnymi. Miał on tam bawić dotąd, dokądby mu się nie udało zamienić prebendy swojej u św. Floryana na inną. [2]) Tymczasem nieprzyjaciele Gałki, a nie wikaryusz biskupa z rozkazu Oleśnickiego, jak twierdzi autor (p 412) dobrali się do jego książek i odnieśli pisma kacerskie Elgotowi. I znowu nie biskup, ale wikaryusz jego wysłał nie ludzi swoich do Mogiły, ale tylko polecenie opatowi, aby strzegł podejrzanego. Opat zaś odesłał go do Krakowa, pragnąc zapewnie w ten sposób pozbyć się kłopotu. Taki był przebieg całej sprawy, tak przedstawia go Elgot w listach prywatnych do biskupa pisanych. Że autor inny sąd wydał o Gałce i Z Oleśnickim, niedziwimy się temu wcale, wszak zajście to było mu znanem tylko z Wiśniewskiego Historya lit. III, Heynego [3]) i Zeissber-

---

[1]) Życiorys Andrzeja z Dobczyna skreśliliśmy już dawniej na na podstawie źródeł w znacznej części nieznanych. Rozprawa ta (Andrzej Gałka z Dobczyna, poeta polski w w. XV) drukowana w zesz. sierpniowym Przewodn. lit. i nauk. 1874 mogła być p. C. nieznaną i dla tego nie czynimy mu z tego zarzutu.

[2]) O tem wszystkiem nie wspomina p. C. ani słowa.

[3]) Gesch. d. Bist. Bres. III.

ga[1]). O istnieniu kodeksu uniwersytetu Jagiell., gdzie dokumenta Gałki dotyczące najkompletniej i najlepiej są przedrukowane, nie wie p. C. zupełnie. Kodeks ten wyszedł w r. 1873

Mimo tego sądu, jednak surowego, i jakeśmy wykazali nie zawsze słusznego, nie może p. C. nieuznać potężnego wpływu, jaki wywierał biskup krakowski na politykę polską i dla tego zapewne kończy ten tom swojej „Historyi“ na roku 1455 zamykając właściwe opowiadanie śmiercią kardynała św. Pryski. Czas od r. 1430 — 1455 dostarczył autorowi obfitego materyału do opowiadania historycznego. Jest to chwila, w której Polska więcej niż kiedykolwiek zwraca uwagę swoję na sprawy zewnętrzne, bierze czynny udział w polityce europejskiej i wywiera na nią niejednokrotnie wpływ stanowczy.

Powodem tego było wyjątkowe położenie Polski. Podczas gdy na Zachodzie dogorywała uporczywa wojna angielsko-francuska, a Niemcy zajęte były poczynającą się w Bazylei walką między soborem a papieżem i pilnie śledziły układów z Hussytami, panował u nas od r. 1435 spokój. Zwycięztwo pod Wiłkomierzem i pokój z Krzyżakami w Brześciu kujawskim zapewniły ostatecznie Polsce przewagę w Europie. Nic tedy dziwnego, że po śmierci cesarza Zygmunta (1437) zapragnęli Czesi ścisłego połączenia z Polską. Wybrano królem Kazimierza Jagiellończyka, podczas gdy stronnictwo katolickie i sprzyjające Niemcom zamierzało osadzić na tronie Albrechta arcyksięcia austryackiego a zięcia zmarłego cesarza. Łatwo pojąć, że ta dążność Czechów do utworzenia federacyi słowiańskiej nie podoba się p. C. Robił on w tej sprawie poszukiwania w archiwum drezdeńskiem i korzystał tu i owdzie z nagromadzonych tam materyałów rękopismiennych. Mimo to jednak pojęcia, jakie sobie na podstawie tych studyów wyrobić zdołał, nie zgadzają się zupełnie z podaniami źródeł. Podług zdania p. C., skłaniały dwór polski do przyjęcia korony czeskiej głównie względy dynastyczne. Czesi zaś obrali królem Kazimierza dlatego, aby utrzymać zasadę, że tron czeski jest elekcyjnym. Nie przeczymy wcale, że i jedno i drugie twierdzenie ukrywa na dnie nieco prawdy, ale zarazem przyznać należy, że ważną rolę odgrywały tu względy na pokrewieństwo szczepowe.

Dziwi nas, że p. C. nie zna współczesnej broszury czeskiej, wydanej przez Wacława Hankę[2]), w której wyliczone są krzywdy, jakich Słowianie, a mianowicie Czesi, doznali od

---

[1]) Die poln. Geschicht. im Mitt.

[2]) Dalimilowa chronika ceská etc. od Vaceslava Hanky. — V Praze 1851.

Niemców. Krzywdy te — tak mniema autor owej broszury — powinny skłonić Czechów do wyboru króla Słowianina. Podobne zdanie panowało i w Polsce. Król Władysław III tłumacząc się w obszernym liście [2]) papieżowi z zarzutów, jakie mu czynił cesarz Albrecht, oświadcza wyraźnie, że dlatego jedynie chciał bratu zapewnić koronę czeską, ponieważ mu się zdawało, że król ojczystym do narodu przemawiający językiem, nakłoni go łatwiej do posłuszeństwa względem stolicy apostolskiej. Mylnem jest przeto zdanie p. C.: *Von allen diesen dingen* (pokrewieństwo szczepowe) *ist in den vielfältigen Aktenstücken nicht mit einem Wort gesprochen* (181). Takich niedokładności jest jeszcze więcej. Wiadomo [3]), że o koronie czeskiej myślał także i Fryderyk książę Tyrolu, a o kandydaturze jego jako możliwej mówi i król Władysław III w przytoczonym powyżej liście. Pan C. nie wspomina o tem wcale, ale zato wie prawie z pewnością (178), że Polacy nakłonili Turków do napadu na Siedmiogród, chociaż o to samo posądzano wówczas i Wenecyan [4]), i że stronnictwo polskie w Czechach było „*eine schwer bezahlte Parteigängerschaft*“ (191). Zkąd autor zaczerpnął ostatnią wiadomość, nie wiemy, bo że o liście znanej sobie dobrze Janssena Reichscorrespondenz przemilczał, to pojąć łatwo Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, nietrudno osądzić, jaki duch wieje z dzieła p. C., nietrudno poznać, że są w niem niedokładności rzadkie, zresztą w dziełach niemieckich pisarzy. Należą do nich oprócz przytoczonych już, jeszcze następujące: Tak zwany kalendarz krak. zna p. C. tylko z Łętowskiego katal. bisk. krak. IV. podczas gdy jest lepsze i późniejsze wydanie w Monumentach Pol. II. List Długosza do Michała Gocznam (nie Bocznam jak u Wiszn. IV, 72) nie jest bez daty, jak mniema autor (397), (Nicolai confessor. 1447). Przy wzmiance o stosunkach Polski z Mołdawią (474) należało użyć dokumentu z r. 1437 (Inventarium etc. p. 136), a nie powoływać się na późniejsze. W końcu zaś jeżeli autor przytacza (na str. 115) za Zeissbergiem literaturę odnoszącą się do fundacyi uniwersytetu krakowskiego, należało uzupełnić takową wzmianką o dziele Brandowskiego.

Obok tych usterek rażą w dziele p. C. sprzeczności, w jakie popada często autor, czy to przez zapomnienie, czy też dlatego, że zdanie, jakie sobie wyrobił o tej lub owej osobistości, nie znajduje w źródłach należytego poparcia. I tak, kreśląc na str. 110 charakter zmarłego Jagiełły, podnosi jako

---

[2]) RRps bibl. Jagiell. 42. fol. 201.

[3]) Kurz, Oesterr. unter Albrecht II. II p. 260.

[4]) Janssen, Reichscorrespondenz etc., I, 463.

dowód skromności tego króla tę okoliczność, że kilka razy zamierzał złożyć koronę polską. Zapomina autor, że w tomie poprzednim (III) żadną miarą temu uwierzyć nie chciał. Na str. 281 opisując stan Polski w czasie nieobecności Warneńczyka, twierdzi p. C. zgodnie z źródłami współczesnemi, że wszystkie sprawy ważniejsze zostawały w zawieszeniu aż do powrotu króla. Ale już na str. 3.9 (uw. 1) odstępuje swego zdania, a opierając się na podaniu Patriciusa (Patrizzi), utrzymuje, że sejm postępując sobie zupełnie dowolnie, wypowiedział obedyencyą Eugeniuszowi IV, i to właśnie w tym czasie, gdy Władysław III ulega zupełnie wpływom tego papieża i za radą legata jego, Juliana de Caesarinis, podejmuje walną na Turków wyprawę! Na pochwałę autora powiedzieć trzeba, że na str. 323 powrócił do pierwotnego zdania swego, przytaczając dekret wydany przez Warneńczyka d. 22 marca 1443 na korzyść unitów. Tym sprzecznościom i niedokładnościom tudzież błędnemu rzeczy i osób pojęciu tem bardziej dziwić się należy, o ile, że autor na innych miejscach daje dowody jako o ludziach, umie wydać sąd sprawiedliwy i słusznie oceniać doniosłość ich działań. Trafnie określa np. p. C. stanowisko Świdrygiełły po śmierci króla Władysława II (na str. 148). Nie jestto, jak sobie dotychczas wyobrażano, bohater ruski, opierający się wyłącznie na schizmatykach, reprezentant prawosławia i separatystycznych jego dążności. Używa on do swoich celów zarówno pomocy katolików jak i wyznawców bizantyńskiej wiary, i upada głównie dlatego, ponieważ w całem jego działaniu trudno dopatrzyć jasno wytkniętego celu.

Takich ustępów znalazłoby się i więcej, ogółem jednak wieje z książki p. C. duch panujący w tej chwili w środkowej Europie, duch negacyi bezwzględnej, pragnący podporządkować interesa ludzkości ambitnym zachciankom jednostek.

Trudno też zaprzeczyć, że historya traktowana w ten sposób staje na równi z artykułami dzisiejszego dziennikarstwa, że zamiast służyć prawdzie, służy zasadom, a raczej osobom wątpliwej wartości moralnej. Kierunek ten objawia się od lat kilku już w dziejopisarstwie niemieckiem i zdaje się zapowiadać bliski jego upadek. Tem bardziej tedy wypada narodom, idącym dotychczas bezwzględnie za wzorem uczonych niemieckich, otrząsać się z wpływów zgubnych zarazem dla nauki jak i dla ludzkości.

Dr. August Sokołowski.

Moje wspomnienia o życiu towarzyskiem na prowincyi w Kongresówce, przez Paulinę z L. Wilkońską. Poznań, drukiem i nakładem Ludwika Merzbacha, r. 1875, w 8ce, części II, tom I str. 267, tom II str. 226.

Pierwsza serya Wspomnień p. Wilkońskiej znalazła tak w prasie jak i w publiczności życzliwe przyjęcie i ocenienie, to ją zapewne skłoniło do napisania i wydania seryi IIej. Jest jednak wielka różnica między treścią i formą jednego Wspomnienia i drugiego. Pierwsze, jeżeliby już nie interesowało szerokiego koła publiczności, to zajmowało w wysokim stopniu świat literacki, mowa w niem była o literatach, książkach i pismach peryodycznych; autorka zmieściła tam wiele anegdotek dotyczących wydawnictwa, wydawców i autorów, a więc dotknęła przedmiotu interesującego całą powszechność polską. Inaczej się rzecz ma ze Wspomnieniami o życiu towarzyskiem. Życie to ówczesne — rozpoczyna swoje opowiadanie w r. 1835 — niewielką przedstawia różnicę z życiem towarzyskiem dzisiejszem, a osoby występujące na scenę, jakkolwiek są zacne i poczciwe, interesować, rozrzewniać nawet mogą tych tylko, którzy je znali, dla innych nie mają ani obyczajowego, ani historycznego interesu. Już przedmiot nie rokuje książce powodzenia. Obrobienie też nie odznacza się dokładnością opowiadanych faktów i poprawnością stylu. Ostatni w najwyższym stopniu jest zaniedbany: często rzeczownik nie zgadza się z przymiotnikiem, tu i owdzie brakuje czasownika, a niektóre frazesy są tak dziwnie złożone, że tylko do śmiechu pobudzić mogą. I tak wspominając o biskupie podlaskim, księdzu Gutakowskim, którego poznała podczas objazdu dyecezalnego w domu brata mężowskiego, pisze: „W roku 1806 po utworzeniu księstwa warszawskiego, ksiądz Gutakowski został kapelanem wojska polskiego. W ciągu wojen napoleońskich prowadził waleczne szeregi do boju jako kapłan-Polak z męztwem nieustraszonem we Włoszech, w Hiszpanii, a wreszcie i broniących granic francuskich przed wojskiem najezdniczem.“ Istotnie ochota zbiera zapytać się, co robił Napoleon, co marszałkowie i jenerałowie, jeżeli wojsko prowadził kapelan? Albo np. „dwie orkiestry wdzięczne rozlegały tony.“ albo jeszcze: „zamek niegdyś obronny na pagórku,“ zamiast: zamek na pagórku, obronny niegdyś. Takich błędów na każdej stronnicy jest po kilka, mianowicie w I tomie. Osoby i fakta historyczne cytuje na chybił trafił, ufając zbytnie pamięci, która ją niestety zawodzi: Rappa gubernatora Gdańska robi marszałkiem i księciem gdańskim; nie był on ani jednym ani drugim, księciem i marszałkiem był jego poprzednik Lefebvre, Rapp do śmierci był jenerałem dywizyi. To, co autorka pisze o spra-

wie Dogrumowej, wyczytanej w jakichś pamiętnikach wynalezionych w lamusie dworu górzańskiego, do tej samej kategoryi należy: „Dogrumowa ostrzegała raz króla, że go chcą struć Czartoryscy; to znów księcia Augusta, że go król zamierza otruć;“ sprawa ta według Wspomnień toczyła się między rokiem 1772 i 1784. Tak nie było ani co do czasu, ani co do osoby księcia Augusta. Dogrumowa po raz pierwszy wystąpiła z ostrzeżeniem króla w r. 1784 podczas sejmu grodzińskiego, a gdy ją z niczem odprawiono, zmieniła plan kampanii i ostrzegła księcia Adama jenerała ziem podolskich, za pośrednictwem jego siostry księżny marszałkowy Lubomirskiej. Książę August w r. 1784 już nie żył, umarł dwa lata przedtem.

Proces Dogrumowej, której oszczerstwo udowodnionem zostało, ogłoszony został współcześnie drukiem, jeżeli się nie mylę, u Groella typografa nadwornego królewskiego, Kraszewski w I tomie: Polska w trzech rozbiorach, poświęca tej sprawie osobny rozdział. Przypuszczaćby trzeba, że albo autorka takiego pamiętnika nie wynalazła, albo że w pamięci zatarło się jej to, co przed czterdziestu laty czytała. W każdym razie, jeżeli już o czemś wspomnieć chciała, należało się lepiej poinformować.

We Wspomnieniach jest jeszcze wiele anegdotek, większa ich część przestarzała, powtarzana już kilkakrotnie, nawet z kalendarzów usunięta, jako powszechnie znana. Najciekawsza jeszcze jest o szlachcicu, który przyjechał do Puław i kazał służbie zameldować księciu jenerałowi, że go kuzyn odwiedzić pragnie. Szlachcic był już wiekowy, niebardzo poczestnie ubrany, nawet bielizna nie była na nim czysta, służba była zaambarasowana, jak tu księciu powiedzieć o takim kużynie. Nareszcie po długich korowodach oznajmiono go księciu. Niech przyjdzie, rozkazał książę jenerał. Wszedł człowiek zupełnie mu nieznany. Któż pan jesteś? zapytał gospodarz domu. — Kuzyn Waszej książęcej Mości. — Jakże się pan nazywa? — Szatanowski, brzmiała odpowiedź, widzi W. ks. M., że między szatanem i czartem jest bliskie pokrewieństwo. Książę się uśmiał z konceptu, i dał mu u siebie łaskawy chleb do śmierci.

Część II nierównie ciekawsza od pierwszej, a nawet lepiej pod względem stylistycznym obrobiona. Historya Majchrowiczowej, oszustki i złodziejki z Poznańskiego, wyzyskującej patryotyzm ludzi łatwowiernych, a którąto łatwowierność szanowny chirurg filozofii rokiem więzienia w cytadeli zamoyskiej opłacił, powinna być przestrogą dla wielu. — Anegdotki o współczesnym rewolucyi z roku 1831 królu pruskim, który w domu pokrewnych sobie książąt Radziwiłłów szarpie skubał dla rannych żołnierzy polskich, jakoteż że Wolickiemu adjutantowi przybocznemu dał urlop na czas nieograniczony, aby mógł wziąść udział w powstaniu, z zastrzeżeniem powrócenia do ar-

mii pruskiej po ukończeniu wojny, podejrzanej zdają się być autentyczności.

Do tych ujemnych stron dodać jeszcze należy najgorszą w świecie korektę: brzmienie *rz* nigdzie korektorowi nie wystarcza, wszędzie pisze je *rż*. Zaniedbanie nauki ortografii na kresach polskości, zgubnie oddziaływa na stan języka, w tamtych zwłaszcza stronach tak zagrożonego.

Wydawcy i autorowie pod tym względem powinni być czujniejsi.

Portrety literackie, przez Lucyana Siemienskiego. Tom IV. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego, r. 1875, w 8ce, str. 393.

Tom IV zawiera życiorysy Angelusa Silesiusa, Antoniego Malczewskiego, Woronicza, Wacława Rzewuskiego. Życiorysy pierwszego i ostatniego znają już czytelnicy *Przeglądu Polskiego*, pierwotnie bowiem drukowane były w naszem pismie. Angelus Silesius, właściwie Jan v. Schäfler, znalazł miejsce tak w Portretach literackich jak w Przeglądzie z powodu swego pochodzenia, rodził się w Krakowie za panowania Zygmunta III i od tego króla ojciec Szeflera został zaszczycony indygenatem. Szefler nie był pisarzem polskim, pisał wyłącznie po niemiecku; autor Portretów dopatrzył się jednak w duchu jego pism pewnego nastroju polskiego, przez ten nastrój polski zapoznawał on niejako Niemców z geniuszem polskim. Pism jego nie znając, musimy w ocenieniu jego poprzestać na tem, co nam autor o nim powiada. Malczewski i Woronicz należą do wybitniejszych postaci w naszej literaturze. Malczewski możnaby powiedzieć, że z każdym rokiem staje się popularniejszym między polską publicznością. Jego Marya jest prawie w każdym domu polskim. Popularny autor i jego dzieło byli też przedmiotem licznych rozpraw i krytyk. Powiedziano też o jednym i o drugiem już tyle, iż się zdawało, że już nic nowego o nich powiedzieć nie można; portret Malczewskiego skreślony przez Siemieńskiego, okazuje nam twarz wprawdzie znaną, nawet bardzo podobną do innych wizerunków tego rodzaju, a jednak jest w nim nowy wdzięk, na którego widok zapomina się o wszystkich poprzednich wizerunkach, a zatrzymuje się w pamięci i duszy tylko ten jeden. Portret, z natury rzeczy więcej się trudni człowiekiem niż jego dziełem, dzieło nie jest jednak dla artysty środkiem tylko do uwydatnienia i zprecyzowania umysłowych i moralnych zalet lub niedostatków człowieka, owszem dzieło i autora traktuje on jako czynniki współrzędne i tłumaczy jedno drugiem. Autor Portretów podnosi wewnętrzny stosunek Malczewskiego do jego dzieła. Marya nie jest

kreacyą objektywną autora, na którą zapatrywałby się tylko ze stanowiska artystycznego. On w Maryi, tylko w odwrotnym stosunku, opowiada historyę swego własnego życia, stan własny swej duszy. Stosunek Szczęsnego Potockiego z Gertrudą Komorowską jest dla niego alegoryą, pod którą wypowiada bóle własnego serca.

Malczewski zakochał się w kobiecie wielkiego rodu, uprzedzenia ówczesne stają zaporą do uwieńczenia skutkiem obopólnej miłości. Uczucie w poecie musiało być silne, owładnęło go całego; zawód, jakiego doznał, nastroił go smutnie, rozpaczliwie — wszystkie te przejścia sercowe złożył w swojej Maryi.

Zachwyty, smutek, rozpacz nie są w tym poemacie sztuczne, utworem fantazyi, wszystko tam rzeczywiste, naturalne; zachwyt, smutek rozpacz odczuł on w swem sercu, i tem tłumaczy Siemieński bardzo słusznie, dlaczego płeć piękna, pierwsza potrafiła należycie pojąć i ocenić piękności tego poematu. Ją nie karmiono tak jak młódź męzką od pierwszej młodości wzorami klasycznemi, nie zrobiono z niej formalistów i konwencyonalistów w dziedzinie sztuki i poezyi, zapatrujących się na wszystkie objawy ducha ludzkiego przez pryzmat doktryny ze szkół wyniesionej, ona żyła więcej z naturą, to też to, co było naturalne, natychmiast trafiło do jej serca. Świat literacki ówczesny przyjął Maryę zimno, obrażała ona jego pojęcia estetyczne, potrzeba było ogromnej rewolucyi w pojęciach, ażeby z katedry głoszono o jej zaletach i pięknościach; nie dziwić się więc, że utwór nie znalazł zaraz po pojawieniu się swojem takiego uznania, na jakie zasługiwał.

Wprawdzie kobiety w polskiem społeczeństwie wielki wpływ wywierały, ale wówczas nie śmiały one swego zdania narzucać mężczyznom. Marya się im podobała, ale dlaczego, nie wiedziały same, upodobania swego nie umiały umotywować; musiały więc milczeć wobec sądu szanowanego powszechnie przez ówczesne powagi; zawsze kobiet jest zasługą, że Maryi nie zepchnięto nigdy z porządku dziennego. Więcejby się dziwić należało, dlaczego autor żył w niedostatku i umarł w nędzy, kiedy kobiety dla jego utworu tak się entuzyazmowały, a więc i autorem interesować się musiały?

I na to jest odpowiedź: Malczewski uwiódł cudzą żonę, czy dał się jej uwieść, i mieszkał z nią na wiarę w Warszawie; ten fakt zaszkodził mu w opinii; wypadki podobne wydarzały się wprawdzie na wyżynach społeczeństwa polskiego, rdzeń narodu patrzył się na nie z obrzydzeniem i odrazą, moralność nie była wówczas tylko w teoryi, ale żyła w praktyce; człowieka niemoralnego wspierać, chociażby zasługi jego wojskowe i literackie były niewiedzieć jak wielkie, uważano za policzek dany moralności, a policzkować moralność nikt się

wówczas nie odważył, dopiero nasza generacya miała tak upaść, że ją deptanie i wyszydzanie wszystkich praw moralnych i religijnych ani grzeje ani ziębi.

Woronicza portret skreślony jest z wielkiem ciepłem i pysznemi kolorami. — Jako, ksiądz, poeta, zajmuje on pierwszorzędne stanowisko, i takiego nam przedstawia autor. Poezye jego cierpią na niedostatek w formie, ztąd mimo pięknych i podniosłych myśli, głębokiej wiary i nieograniczonej miłości kraju, wiejących ze wszystkich jego utworów, nigdy one nie przeszły w szersze koło czytających, a jednak kto potrafi przezwyciężyć formę, znajdzie tam niejednę perłę, która go zachwyci i zastanowi, pobudzi do myślenia i nową myśl w czytającym wywoła. Woronicz nie pisał, aby bawić społeczność; on czy to w kształcie rymu, czy to jako mówca kościelny, pragnął swój naród oświecić i umoralnić, dla ludzi myślących poezye jego nigdy wartości swej nie stracą.

Studyum o Rzewuskim, pierwej niż w Portretach, było zamieszczone w naszem pismie, jak o tem już na wstępie powiedzieliśmy. Dla tych, którzy Przeglądu z tego roku nie mają, powiemy tylko, że to był fantasta, ekscentryk, kilka lat spędził w Arabii, gdzie nawet jedenaście pokoleń obrało go swoim emirem pod nazwiskiem: Emir Tadz el Faho. Nawet po powrocie ze wschodu do dziedzicznego Szafrania na Ukrainie, prowadził życie koczujące, mieszkał w stajni i tam swoich gości przyjmował. Byłto człowiek niepospolitego umysłu, jednak ani sobie, ani ojczyznie takich korzyści nie przyniósł, jakich po jego talencie spodziewać się można było. Majątek zmarnował, żonę i dziecko zaniedbał. Syn Seweryna Rzewuskiego Targowiczanina, i przez nią buławą hetmańską obdarzonego, czuł głęboko winę ojca i dziada, i to może było przyczyną tego chorobliwego stanu jego duszy.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzeczypospolitej polskiej z archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydany staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego. Tom V. We Lwowie. Główny skład w księgarni Sayferta i Czajkowskiego, Z drukari narodowej W. Manieckiego r. 1875 in 4to str. 289.

Wydawnictwo dawnych dyplomów wyświeca powoli proces kolonizacyi kraju, sposób zakładania osad, przeniesienia dawniejszych z prawa polskiego na niemieckie, rzuca niejedno światło na polityczny rozwój Polski. Z tego powodu wydawnictwo to do bardzo pożytecznych zaliczyć należy. Dyrektor wydawnictwa uczony prof. Liske traktuje rzecz umiejętnie i starannie, że nie wszędzie objaśnienia jego do pojedynczych dyplo-

mów są trafne, to się tłumaczy ogromem materyałów, które przechodzą siły pojedynczego człowieka. Dokument oznaczony liczbą XVI: iż Małgorzata córka Klemensa Rożna z Rożnowa odstępuje swojemu stryjowi Piotrowi część spadkową Rożnowa, wydawca nie wie do jakiego Rożnowa i do jakich Rożnowskich odnieść, w objaśnieniu powiada, że wieś Rożnowa leży w powiecie wielickim, zaś Rożnowskich wylicza trzy familie, herbów Jastrzembiec, Nowina i Taczała. Tymczasem Rożnów o którym tu mowa, leży w ziemi Sandeckiej, pół mili od Grodka nad Dunajcem i była siedzibą familii Rożnów herbu Gryf, jednego domu z Branickiemi z Ruszczy, podobież jak Braniccy używali i używają przydomku Jaxa. Familia ta do dziś dnia istnieje w Galicyi, ale podupadła bardzo.

W wieku XIV Rożnowie należeli do możnowładców, posiadłości mieli w Polsce i Węgrzech. Córka Piotra Rożna, zdaje się tego samego, na którego rzecz Małgorzata odstępuje część Rożnowa, była za Zawiszą Czarnym z Garbowa, jej zaś córka za Janem Amorem Tarnowskim, nagrobek jej można widzieć w katedrze tarnowskiej. Ten Piotr część Rożnowa dał zięciowi w zastaw za 3000 grzywien, które mu objecał jako posag za córką, ztąd na niektórych dokumentach pisał się Zawisza Czarny także z Rożnowa. Ponieważ synowie Piotra nie mieli czem spłacić posagu siostrze, Rożnów z córką Zawiszy przeszedł w dom Tarnowskich; wywiązały się ztąd zatargi, które doprowadziły aż do napadu zbrojnego Zygmunta Rożna na gniazdo ojczyste. Zygmunt zdobył Rożnów i potrafił się w nim utrzymać mimo potęgi i znaczenia swego przeciwnika. Zapewne dla ułatwienia układów matrymonialnych między córką Piotra a Zawiszą, Małgorzata stryjowi odstąpiła część swoją.

Dokument oznaczony liczbą XXVII dotyczący Bybła między świadkami wymiana Klemensa z Moskorzewia wojewodę wiślickiego. Województwo wiślickie nie istniało nigdy, była tylko kasztelania tego nazwiska. Czytamy też w Niesieckim tomie VI na stronnicy 482 wydania Bobrowicza, że Klemens Moskorzewski zmarły w r. 1408 był kasztelanem wiślickim. Dokumet datowany z r. 1406, nie ma więc żadnej wątpliwości, że to jeden i ten sam Moskorzewski. Dokument odpisany jest z aktów grodzkich przemyskich z relacyi jednego ze świadków, Krystyna z Koziegłów kasztelana Sandeckiego. Trudno przypuścić, żeby współ świadek nie znał tytułu i godności swego kolegi, albo więc podpis świadka, źle jest wyczytany, albo dokument na rzecz Andrzeja i Hryćka (Gregorza) Bybelskich zfałszowany.

Przywilej pod liczbą XXX drukowany także w Kodeksie Muczkowskiego, mieści w sobie wyraz inaczej tu a inaczej tam wyczytany. Wydawca, prof. Liske na tę różnicę robi czytel-

nika uważnym, i tak u Muczkowskiego stoi: Vaszkonem cum suis legitimis successoribus de jure feudali alias Szlińskiego exciperemus, u Liskiego zamiast alias Szlińskiego czytamy Szluskiego. Naszem zdaniem nie dość było różnicę wskazać, ale znaczenie wyrazu samego wytłumaczyć należało. Wydawcy pracującemu w tym przedmiocie łatwiej się jest znaczenia tego wyrazu domyśleć niż prostemu czytelnikowi, maż to znaczyć Szląskiego, czy służalczego, to jest zależnego od prawa przysługującego komuś drugiemu?

Do historyi kolonizacyi Polski, ciekawy jest dokument XXXIII, mocą którego Klemens z Borowy upoważnia roztropnego Jana Szadego (Schady) do założenia wsi na prawie magdeburskiem i w której nadaje mu sołtystwo. Wiadomo, że kolonizacya odbywała się w ten sposób: właściciel pewnej przestrzeni wyznaczał sołtysa, dając mu pewną ilość włók na własność dziedziczną, oraz zapewniając inne korzyści, i ten miał sprowadzić kolonistów na warunkach z góry im przedłożonych. Kolonia taka nosiła imię założyciela, sołtysa: w tym wypadku nazywała się Szadowa, później zdaje się przekręcono nazwę jej na Szczudowo, kolonia ta miała wynosić 14 włók to jest około 420 morgów. Dwie włoki przeznaczono dla sołtysa; jedną na wyłączny użytek tego dygnitarza, na drugiej miał osadzić karczmarza, sukiennika, rzeźnika i kowala, na pozostałych dwunastych włokach kmieci, oprócz roli sołtys miał młyn i dwa stawy rybne, wolno mu było założyć w lesie pańskim tyle ulów, ile mu się podobało i polować według chęci i upodobania, to samo prawo przysłużalo kmieciom, tylko z grubszego zwierza tak kmiecie jak sołtys byli obowiązani ćwiartkę jedną posyłać na stół pański, mieli także prawie nieograniczone prawo do wrębu w lesie. Sołtys miał nadto dochód z grzywien sądowych a władza jego sądownicza sięgała daleko, miał bowiem prawo wyłączne sądzenia kmieci tak w sprawach cywilnych jak kryminalnych, przywilej powiada że złoczyńców może wieszać, ścinać, palić, topić, używać na nich tortur, zgoła wszystko robić w obrębie prawa magdeburskiego. Osadnicy, od sądów polskich wojewodzińskich, kasztelańskich, starościńkich są na zawsze uwolnieni. Kmiecie w obrębie swojej osady mogli chodować pszczoły, z których dopiero po upływie 28 lat wolnicy, dziedzicowi byli obowiązani oddawać czwartą część, po upływie tegoż czasu mieli także płacić po grzywnie z łanu, to jest pół grzywny na świętego Jana a pół na śgo Marcina, dziesięciny zaś plebanowi po skojcu z łanu mieli płacić kmiecie i sołtys. Od wszystkich innych powinności byli wolni, z wyjątkiem pospolitego ruszenia bo wtedy sołtys miał panu przyjść w pomoc jedną grzywną a kmieć każdy połową. Z tego pokazuje że ludność w Polsce owego czasu nie była wielka, ani też powinności włościańskie nazbyt uciążliwe.

Ważnemby było do historyi obyczajów w XV wieku, gdyby się dało udowodnić czy Wołczko Rokuthy de Kładno podkomorzy lwowski podpisany na dokumencie LXXI jest synem Wołczka celnika żyda ze Lwowa podpisanego na dokumencie XLIV. Ten żyd Wołczko za Władysława Jagiełły używał wielkiego miru i u króla i w obywatelstwie, posiadał nawet majątek ziemski. Dr. Liske zdaje się przypuszczać, że obaj Wołczkowie do jednej i tej samej famili należą. W inwentarzu bowiem umieszczonym na końcu dzieła przy imieniu Wołczko odsyła do imienia Rokuthy i odwrotnie. Przypuściwszy nawet że Rokuthy syn Wołczka wychrzcił się i nobilitowany został, to dla pierwszego dynasty z famili Wołczków urząd podkomorzego byłby za wysoki, w każdym razie byłby to jedyny przykład nietylko na tamte, ale i na bliższe nas czasy. Ten Wołczko Rokuthy gdyby pochodził istotnie z żydów wytłumaczyłby nam tradycyę utrzymującą się między żydami, że jeden z ich rodu był wybrany królem polskim. Podkomorzego nazywano princeps nobilitatis — otóż principsa powiatowego wzięto za principsa całej Rzeczypospolitej. Zdaje się jednak, że Wołczkowie Rokuthowie byli dawną szlachtą. — W opisie bitwy grundwaldziej wspomina Długosz Wołczka Rokutze w orszaku królewskim przeznaczonym do czuwania nad osobistem bezpieczeństwem króla; był to zapewnie późniejszy podkomorzy lwowski. Z Wołczkiem celnikiem byli natenczas współczesni, okoliczność ta niczego stanowczo nie dowodzi, zawsze o tożsamości Wołczków żydów i Wołczków Rokuthow powątpiewać pozwala.

Popularne imię Wierzynkow raz tylko znajdujemy zapisane na dokumencie XXXIX z roku 1427. Wierzynkowie już wtenczas pisali się haeredes de Sledziejowice. Mylnem więc jest mniemanie, że dom ten wygasł na podskarbim kr-la Kazimierza Wielkiego, czy też jak inni podają na jego synie Tomaszu, który, według Długosza, ostatni z rodu zginął w bitwie z Tatarami r. 1399.

Z tego acz pobieżnego sprawozdania czytelnik przekonać się może, jakie to skarby mieszczą się w aktach bernardyńskich, które dopiero teraz na jaw wychodzą.

L. Powidaj.

SPRAWOZDANIE
KOMISYI KONKURSOWEJ
o rozdaniu nagród za utwory sceniczne
w roku 1875. — Rok V.

Nagrody hrabiów: Fran. Łubieńskiego, Artura Potockiego, p. Ludwika Oraczewskiego i Dyrekcyi teatru krakowskiego.

Tegoroczny konkurs na utwory sceniczne, mógł z jednej strony liczyć na obfity udział współubiegających się o nagrodę, z drugiej strony nasuwał obawy niepowodzenia. Udziału współubiegaczy spodziewać się można było, choćby ze względu materyalnego. Nigdy bowiem tak wiele nagród nie było zapowiedzianych, i nigdy jeszcze tak stosunkowo wysoka nagroda pierwsza, nie była przyrzeczoną ze strony teatru krakowskiego.

Pierwszą bowiem nagrodę stanowiła kwota 550 złr. wraz z procentami narosłemi, czyli 583 złr. Druga kwota 300 złr. Nadto pozostałe 200 złr. do wypłaty za sztukę ludową, gdyby takowa odpowiedniej wartości się pojawiła, zaś 100 złr. pozostawiono do rozporządzenia komisyi.

Powiedzieliśmy, iż pierwsza nagroda była stosunkowo wielką, choć nie łudzimy się tem, iż taka nagroda może być jedynym bodźcem do pracy na niwie dramatycznej. Wiemy dobrze, że i tak nagradzana praca podjęta na scenie, nie rokuje znacznych korzyści wówczas, gdy utalentowanemu pisarzowi takaż sama praca, podjęta na niwie powieściarskiej, wynagrodzi się w dwój i trójnasób więcej. Wiemy, że uprawa niwy powieściarskiej jest zajęciem nierównie wygodniejszem,

a dochod z niej jest tem pewniejszy, iż nabywa czy to księgarz, czy wydawca pisma, kupuje dzieło zazwyczaj nieczytane, niekiedy nienapisane lecz tylko zamówione i przyobiecane.

Na polu uprawy niwy dramatycznej, walczyć przychodzi nawet najbieglejszym na innym polu pracownikom, z nieunikniouemi przeszkodami, a to z koniecznością krępowania fantazyi swej do nader ścisłych ram sceniczności. Przełamawszy te (według rozumienia piszącego) przeszkody, wypada jeszcze ryzykować ustaloną nieraz na innem polu zasługę pióra, poddaniem się pod krytykę różnostronną i wcale wymagającą, kilkunastu członków komisyi. Po przebyciu zwycięzko tej próby, autor przechodzi ogniową próbę wobec polskiej w ogóle publiczności, która jest ostatecynym i względnie do sceny uważając, sprawiedliwym sędzią. Sprawiedliwym jest sędzia choćby względnie, — bo nie dla literackiej zasługi, lecz dla publiczności, dla podniesienia i uszlachetnienia narodowej sztuki, ropisują się konkursa. Co się więc publiczności nie podoba, co się jej podobać nie może, to nie powinno uzyskać pobłażania w komisyi.

Dla tego komisya stojąc na stanowisku nie tyle sędziego, jak raczej pośrednika między autorem a publiką, starając się o możliwą bezstronność, nie łudzi się, że wyroki jej, są wyrokami i dla smaku publiczności. Owszem godzi się przypuszczać, iż nie jedno, co otrzymuje dalsze nagrody, może bardziej publiczności przypaść do gustu, może wznieść się powodzeniem po nad inne lepiej nagrodzone, na przekor krytyce sędziów. Z drugiej atoli strony, praktyka czteroletniego istnienia komisyi okazała, że te sztuki, które komisya bezwzględnie odrzuciła, nie dostały się już na żadną inną scenę, a jeżeli wcisnęły się na nią, wówczas po jednem i drugim przedstawieniu, przpadały niepowrotnie. Choć zatem nie różność nagród, ale różność przyjęcia sztuk przez publiczność, stanowi ostatecznie o powodzeniu dramatycznego pisarza, jednakowoż sąd komisyi konkursowej może być mimo tego niejaką normą istotnej wartości utworów.

To więc ostatnie orzeczenie o dziele, bez względu na stopniowanie kolejności odznaczeń utworów, może być dla utalentowanych pisarzy rękojmią, iż podejmując pracę dla sceny, dojdą zawsze pomimo niejakich zawodów i rozczarowań, do obranego celu. Co więc dla mniej zdolnych, może być hamulcem i przeszkodą, to dla mężów przeświadczonych o swej rzeczywistej wartości, nie może być ani przeszkodą, ani też ujmą w razie niedostatecznego raz lub drugi, konkursowego powodzenia.

Jeżeli więc ani nagroda, mogąca być odpowiednią do podjętej pracy, zdawałoby się ponętną, ani powierzenie owocu fantazyi swej, sądowi grona wybranych znawców, byłoby podnietą do stawania w szrauki konkursowe, to jednakowoż może

zawsze, i winna zawsze, do ubiegania się zachęcać ta myśl, że droga konkursu prowadzi najwłaściwiej do stałego powodzenia na scenie.

Autor uwieńczony raz i drugi, ma raz na zawsze dla prac swoich otwartą drogę na deski teatralne, na które bądź co bądź, jest z początku przystęp nader utrudniony.

Usłyszenie zaś słowa, które autor pismu powierzył, usłyszenie z ust artysty słowa podzielanego przez tysiące słuchaczy, wynagradza aż nadto sowicie materyalną stratę, jaką mógłby autor ponosić pracując li tylko na tem polu, a zaniedbując pole intratniejsze i łatwiejsze do uprawy. Jakoż nadzieja powodzenia scenicznego, bywa wszędzie i zawsze potężnym bodźcem, wyższym po nad wszelkie inne uboczne względy materyalne, do próbowania sił swoich na polu dramatycznem.

Pokuszenie się o to powodzenie szczególniej w naszych piśmienniczych stosunkach, winnoby być niejako moralnym obowiązkiem każdego utalentowanego pisarza. pracującego z korzyścią w innej gałęzi literatury nadobnej. Raz bowiem, tak jak wyzbyliśmy się przewagi powieści tłumaczonej nad powieścią oryginalną, poezyi naśladowczej nad oryginalną, powinnibyśmy doczekać się przerzucenia na drugi plan tłumaczeń utworów scenicznych. Tylko przez wytrwałe uprawianie niwy dramatycznej, możemy podnieść scenę polską oryginalną i urozmaicić repertoar. Niemal odłogiem leżący dramat a osobliwa komedya polska, oczekuje następców po Fredrze, oczekuje tego, co już oddawna dla polskiej powieści uczyniono.

Droga konkursu, nadaje się najlegiej do postępu w tym kierunku. Widać że to przekonanie nasze, podzielało wielu pracowników pióra, skoro odmówienie pierwszej nagrody roku 1873 a dwóch pierwszych w r. 1874 nie powstrzymało ich od udziału w tegorocznym.

A były znamiona nasuwające istotną obawę niepowodzenia na rok bieżący. Przed dwoma laty, komisya była w kłopocie, co do wyszczególnienia sztuki pierwszą nagrodą. Nie było takiej. Nie było w czem wybierać. Dała więc drugą, ale i ta nagrodzona, nie utrzymała się na scenie. — W roku ubiegłym było jeszcze gorzej. Konkurs rozstrzygał się we Lwowie. Po pięciu miesiącach narad, wypadło dać tylko jednę i to trzecią nagrodę. Co gorsze, sztuka ta nie ukazała się dotąd na żadnej scenie. Nie zalecono żadnej sztuki do odegrania. Zapowiedziane zaś w wywodzie słownym z d. 31 maju 1874 roku sprawozdanie o konkursie nie okazało się w cale, z czego widno, że nie było o czem zdawać sprawy.

Za tem konkurs zeszłoroczny chybił celu nie dostarczywszy scenie ani jednego utworu.

Na tegorocznym konkursie ułatwiono współubieganie się, odrzuciwszy warunek co do bezględnie dobrej sztuki i zosta-

wiając komisyi zupełną swobodę w ocenieniu. — Ułatwienie to mogło dawać otuchę tym, którzy mieli przeświadczenie, iż na sztukę dobrą nie zdobędą się może. Ułatwienie to przyczyniło się do powodzenia konkursu. Na żaden bowiem z konkursów tutejszych nie zgłaszało się z tylu utworami. W roku 1871 było sztuk 25. W roku 1872 nadesłano 39, w roku 1873 doszła ich liczba do 39. W roku 1874 na lwowskim konkursie, było 47. W roku bieżącym zebrało się także utworów 47.

Mianowicie te utwory.

Tragedye i dramata:

1. Niewinni w 3 aktach, 2. Haman w 5 a. wierszem, 3. Dramat bez nazwy w 5 a., 4. Piastun w 5 a., 5. Marta Borecka w 6 a., 6 Kajus Grachus trybun w 5 a. wierszem, 7. Gabryela i Laura w 5 a., 8 Mieczysław I w 3 a wierszem, 9 Mieczysław II w 5 a., 10. Altea w 3 a., wierszem, 11. Córka piekarza tragedya obywatelska (tak) w 5 a., 12. Wigilia w 3 a., 13. Nałęcz lutnista w 3 a., 14. Dola poety 5 a.. 15. Wanda w 5 a., 16. Ofiara w 5 a., 17. Komat w 5 a., 18. Kurpie w 3 a., 19 Dorota w 4 a., 20. Mąż zasad w 4 a., 21. Olga wielka ks. kijowska w 5., 22. Esterka w 4 a., 23. Powrót pod strzechę, Omanki dra. czarodziejski w 3 a.. 25. Eleonora król. polska obraz historyczny w 5 a., 26. Halina melodram w 3 a.

Komedye i obrazki ludowe:

1. Nieomylni w 5 a. 2. Egzamin na męża w 2 a., 3. Jedyna prośba, wierszem w 6 a., 4. Z daleka i z bliska w 5 a., 5. Dła posagu w 1 a., 7. Kupno i sprzedaż w 5 a., 7. Chorzy w 3 a. 8. Maszkary, obrazek ludowy w 2 a., 9. Oryl obrazek ludowy w 1 a., 10. Pomyłka w 1 a., 11. Kasia w 1 a, 12. Krewni i przyjaciele w 3 a., 13 Słabości ludzkie w 3 a, wierszem, 14. Nowy galicyjski magnat w 2 a., 15. Literaci w 5a., 16. Konkurenci w 4 a., 17. Marysia w 1 a., 18. Panslawiści w 1 a., 19. Hultaje w 3 a., 20. 1za w 4 a., 21. Pan Procentowicz w 3 a.

Z tych 47 sztuk, wyłączono od konkursu ostatecznego o nagrodę tragedyę Haman, z powodu, że ta już była drukowaną dwukrotnie w Lipsku 1846 i 1852 r. a nadto grywano ją na senie krakowskiej za dyrekcyi Miłaszewskiego. Obrazek zaś ludowy: *Powrót pod strzechę*, zapowiedziany wprawdzie został w komisy przed terminem, atoli nie został na termin do konkursu nadesłany.

Pozostało zatem 45 utworów do rozpoznania i orzeczenia o nich w terminie miesiąca, tak jak to już innych lat w konkursach krakowskich praktykowano.

Grono znawców składali w bieżącym roku: Artur Bartels, Fel. Benda reżyser teatru, Kar. Estreicher, Ant. Kłobu-

kowski, St. Koźmian dyrektor, Hen. Lisicki, Miecz. Pawlikowski, Artur Potocki, Luc. Siemieński, Maryan Sokołowski, Al. Szukiewicz, Stan. Tarnowski.

W komisyi tej niebrało udziału kilku dawniej uczestniczących znawców, po których się spodziewać należało, że staną do konkursu a przynajmniej życzyć sobie należało, aby stanęli jako znani na polu scenicznem. Nie chciała dyrekcya teatru zaproszeniem ich, krępować ich możliwej chęci ubiegania się o nagrody

Komisya pragnąc co rychlej, a jednakowoż gruntownie rozpatrzyć się w obfitym materyale, uchwaliła tak jak i w dawniejszych latach rozdzielić się na sekcye. Sztuka czytana w sekcyi przez trzech członków i przez nich odrzucona jednomyślnie, nie była dopuszczaną do dalszego czytania. W razie niezgodności zdań, sztuka czytana w jednej sekcyi dostawała się do sekcyi następnej, aż poki o jej wartości niewyrobiło się zdanie stanowcze.

Sekcyą pierwszą tworzyli: Bartels, Kłobukowski, Tarnowski; drugą: Estreicher, Potocki, Szukiewicz; trzecią: Pawlikowski, Siemieński, Koźmian; czwartą: Lisicki, Benda, Sokołowski.

Aby prace komisyi przyspieszyć, udzielono jeszcze przed d. 6 stycznia, to jest dniem zebrania się członków, nadsyłane prace niektórym członkom do ocenienia, tak, iż na pierwszem zebraniu sztuki „Kupno i Sprzedaż,“ „Altea,“ jako wyszczególniające się, zalecono do wspólnego czytania na pełnem zebraniu.

Komisya odbywając stałe posiedzenia co tydzień a później dwa razy w tygodniu, zdołała w krótkim czasie dojść do rezultatu, bo już dnia 21 lutego r. b. rozdała nagrody.

W takim napływie sztuk nie obeszło się bez mnogiej liczby nie mających żadnej wartości. Z temi rozprawiano się w podkomisyach bardzo szybko. Na drugiem bowiem posiedzeniu d 17 stycznia odrzucono 22 sztuk, na trzeciem d. 20 stycznia 10, a na czwartem d. 31 stycznia 3, co wyłączając nie doszłą na konkurs sztukę i drukowaną już tragedyę Haman, czyni razem 37 sztuk od konkursu odpadłych. Między odpadłemi znalazło się wprawdzie kilka sztuk mających literacką wartość, jakoto komedya *Literaci*, dramat *Omanki* i inne. Te atoli dla braku interesu scenicznego, nie mogły być nawet do czytania w komisyi polecone.

Z początkiem więc lutego, można było przystąpić do wspólnego odczytania dziesięciu sztuk zaleconych.

Były to mianowicie: tragedye i dramata: *Altea*, *Kajus Grachus*, *Mieczysław II*, *Wesele zdobywcy*, *Dramat bez nazwy*, *Niewinni*; komedye: *Procentowicz*, *Marysia*, *Konkurenci*, *Kupno i sprzedaż*.

Gdyby komisyi konkursowej zadaniem było wynagradzać utwory li tylko literackie, niezawodnie jednomyślnością otrzymałyby *Altea* pierwszą nagrodę. Nie jest to atoli utwór sceniczny, odpowiednim dzisiejszym wymaganiom powodzenia. Jest to starożytna tragedya grecka. Zawiązuje ją Parodos, a dzielą ją trzy Epejsodion, po dzisiejszemu akta. Zakończa Exodos. Chóry wypełniają znaczną część akcyi. Raz tylko dyalog między Empuzą a Alteą odbywa się bez chorów. Zacząwszy od wspaniałego hymnu, który zawięzuje działanie, a kończąc na Antistrofie i Epodon, rozwięzującemi tragedyę, żyjemy w atmosferze podniesionego nastroju ducha poetyckiego, który autor nie opuszcza ani na chwilę. Na żadnym konkursie nie pojawiło się tak wytworne widziadło poetyckie, któreby w tak prostej formie, w tak szczupłych ramach, tyle rozsiało piękności Członkowie komisyi nie łudząc się, iż sztuka ta będzie mogła dostać się na deski sceniczne, zalecili ją jednakowoż do odczytania przed innemi sztukami na pełnem zebraniu, a to, aby tem samem uczcić i wyróżnić odrzuconą sztukę, i aby sobie samym, sprawić biesiadę literacką. Były jednak zdania, iż tragedya ta, posiada zaletę sceniczności w rozumieniu klasycznem, w wysokim stopniu, że jednakowoż wystawienie jej więcej jeszcze niż wystawienie znanych sztuk greckich Eschyla lub Eurypida, podlegałoby nieprzełamanym trudnościom. W sztuce tej rozmawiają bóstwa, językiem boskim i takichże artystów potrzebaby — a za słuchaczy możnaby obierać tylko wybranych wielbicieli piękna i poezyi. Ani artyści do wykonania, ani zwyczajna publiczność do słuchania tak podniosłej treści poematu, są odpowiedniemi.

Dramat w 5 aktach *Mieczysław II* uzyskał ogólne uznanie. Wiersz w nim energiczny, śmiały, język godny dramatu, osnowanie przypomina historycznie dramata Szakspira, gdzie historya stanowi ciągłość akcyi, nie zaś, jak w dzisiejszych węzeł splątany z faktów i sytuacyi. Tu i owdzie nasuwają się reminiscencye z Szekspirowskich sytuacyj. Charakter głównego bohatera królowej Ryksy, i jowialnego dworzanina, zręcznie uwydatnione. Zarzucono autorowi, iż utrudnił sceniczność utworu, nieustannemi zmianami dekoracyj, wytknięto co do pojedynczych postaci ujemne strony, a pomimo tego atoli ogół komisyi uznał, ze względu mianowicie, iż wzięto tu za przedmiot epizod z historyi ojczystej, iż tragedya ta godną jest ubiegać się o nagrodę, zwłaszcza, że wytknięte usterki, a szczególniej rozwlekłości dadzą się łatwo usunąć, jedne przez autora, inne przez reżyseryę, co też komisya za pożądane uznała.

Dramat bez nazwy czerpie osnowę z wypadków przed dziesiątkiem lat. Czerpie te osnowę bez żółci i namiętności, fotografuje wiernie jeden z krwawych epizodów, ale go nie maluje, a tem mniej rzeźbi. Sama przez się osnowa jest drama-

tyczną, autor nie szukał efektów sztucznych, one mu się narzuciły z samej akcyi dziejowej. Niema tu charakterów silnych, lecz są wykrojone sylwetki figur, które żyły, oddane tak, jak żyły bez udrapowań, bez poezyi, bez opromienienia ich wyobraźnią Naiwność pisarza, rzewność, z jaką odtwarza to, co widział, nadaje urok temu z prostotą pisanemu dramatowi. Jakkolwiek brak tu znajomości dokładnej warunków scenicznych, a częste zmiany miejscowości utrudniają wątek działania, jednakowoż umie autor utrzymać ciągłe zajęcie, potęgując je aż do samego rozwiązania. W dramacie tym, nie ma właściwie czarnych charakterów, choć są ujemne. Jedyna wstrętna postać jest oględnie narysowaną w kolorycie raczej ciemnym, niżeli czarnym. Ujemne postacie, są to raczej ludzie słabi lekkomyślnie, albo ciemni, niżeli przewrotni, nawet chłop nieprzyjazny i żywioł przeciwny, są raczej umysłowo upośledzeni, aniżeli działający ze złej woli. Marzycielska dewocya, wiejąca przez cały dramat, aczkolwiek zgodna z prawdą i ówczesnym stanem umysłów, ciągłe wspominki nabożne i praktyki religijne, utrudniałyby sztuce wstęp na scenę, gdyby te nie dały się usunąć. Niektórzy z członków komisyi, oświadczyli się stanowczo przeciw przyjmowaniu tej sztuki do nagrody i poleceniu do grania jej, ze względu, że wypadki są za świeże, odwołując się na podobną taktykę, co do tej epoki w latach 1872 — 1873, w komisyi konkursowej. Nie czas zatem twierdzili, przenosić je na deski teatralne, zwłaszcza, że lubo intencya autora jest zacna i uczciwa. jednakowoż przedstawienie ówczesnej sytuacyi może razić uczucia innych przekonań. Zarazem odezwał się jeden głos, że sposób przedstawiania w tej sztuce wypadków owej epoki, uraża najświętsze zasady polityczne oponenta. Przemogło atoli zdanie większości, że rysunek figur, nawet najdrażliwszej postaci, jest tak łagodnie szkicowany, iż nie może obrażać przekonań i uczuć żadnego stronnictwa. Treść zaś sama sztuki, jest arcy-dramatyczną. czyta się ona nie bez głębokiego wzruszenia, więc i widzów poruszyć potrafi. Dla tego przyjęto większością głosów sztukę tę do konkursu.

Tragedya: *Wesele Zdobywcy*, (Atylla) przyjętą została do konkursu, głównie ze względu na scennicznie przeprowadzoną osnowę, mogącą zająć liczniejszą publiczność. Były głosy za poleceniem jej do grania, ale nie przypuszczaniem do nagrody. Za powód usunięcia od nagrody dawano przedewszystkiem: wiersz czasem wadliwy. przenoszenie akcyi częste z jednego miejsca na drugie i charaktery nie dość rozwinięte i usprawiedliwione ze stanowiska psychologicznego. Pomimo tych zarzutów, przeważył wzgląd na dodatnie strony sztuki, to jest: zręczną sceniczność, akcyę żywą, sytuacye nieraz wysoce dramatyczne. Zarzuty niektóre uczynione sztuce mogą być osta-

tecznie przez reżyseryę usunięte, mianowicie zbyt częste zmiany dekoracyi. Uwzględniając zatem, iż można liczyć na powodzenie sceniczne utworu u szerszej publiki, przyjęto tragedyę do konkursu o nagrodę.

Dramat. *Niewinni* wywołał najsprzeczniejsze zdania. Byli tacy co stawiali go na czele wszystkich konkursowych utworów kwalifikujących się do sceny (zatem prócz Altei), jako utwór prawdziwego myśliciela i pisarza niepospolitych zdolności. Psychologiczna analiza charakterów i głęboka myśl etyczna, przeprowadzone tu z wszelką ścisłością przez całą akcyę. Dyalog wlecze się ociężale, a jednakowoż nader misternie rzeźbiony, treść prosta, a jednak wysoce dramatyczna i utrzymująca wrażenie aż do końca. Te zalety uznawano powszechnie. Podniesiono atoli i zarzuty. Dyalog jest tak rozciągły a przez to tak nużący, iż dramat raczej powieścią jest, aniżeli scenicznem malowidłem. Interes utrzymuje się rozwojem rozumowań na podstawie filozoficznej, której za kanwę służą maksymy Marka Aureliusza, nie zaś działaniem osób dyalogujących. Niektóre poglądy rozwija autor paradoksalnie, z których mógłby sobie niebaczny widz wywnioskowywać zdanie, że błędy ludzkie i czyny ich niegodziwe, są wynikiem bądź temperamentu, bądź krewkości, bądź przypadku i okoliczności Greckie Anankę, zdaje się, iż jest tu wytłumaczone w stosunkach codziennego życia. Brak choćby odcienia strony religijnej w wychowaniu kobiety, oparcie systemu edukacyi jej na filozofach starożytnych, wytwarza próżnię umysłu i suchoty serca. W rozwiązaniu sztuki, nie widno, by kobieta odwróciła się od tego kierunku, w którym przez całe życie działała. Jakkolwiek zatem zarzucono autorowi tendencyę zgubną, cywilizowany nihilizm, okraszony pogańską filozofią, było jednomyślne niemal zdanie, że dramat to bardzo interesujący w czytaniu, i że autor jego, może kiedyś napisać coś znakomitszego. Jak surowo wytykano błędy autora, tak też ostro broniono go, mianowicie co do monstrualności pozytywizmem tchnących zasad. Dowodzono, że autor umyślnie nakreślił takie postacie, aby wykazać szkodliwość podobnego kierunku edukacyi, aby odstręczyć od kierunku tego, a nie zaś zachęcać. Pobłądził tylko daniem sztuce nazwy *Niewinni* przez co nasuwa się może błędny wniosek, jakoby autor uznawał występki tego rodzaju, za dające się usprawiedliwić k o n i e c z n o ś c i ą. Już to samo, że dramat ten, wywołał gorące starcia zdań, jest świadectwem, że zwrócił na siebie uwagę. Zarzucono zarazem autorowi pod względem scenicznym menierowany dowcip, brak akcyi, przewlekłość rozmów choćby interesujących, wprowadzenie na końcu sztuki zupełnie niepotrzebnej a bladej postaci. To też mimo niezgodności przekonań członków, przypuszczono utwór ten do konkursu.

Tragedya *Kajus Grachus* trybun, pojawił się na naszym konkursie jednocześnie, gdy takąż tragedyę Adolfa Widlbranda wieńczyła nagrodą 1500 złr. wiedeńska akademia umiejętności. Tragedya naszego autora uzyskała w sekcyi dość przychylne przyjęcie. Było zdanie, iż dramat ten ma życie i akcyę postępującą bystro aż do rozwiązania. Język utworu dosadny, jędrny — kilka scen wyższego dramatycznego nastroju. Zarzucono atoli sztuce niewolnicze trzymanie się historyi, frazeologię z wyobrażeniami i barwą nowoczesną, wiersz miarowy niewprawnie użyty. Autor jest więcej deklamatorem niż poetą, dla tego większa część osób u niego, tak twardo narysowanych, tak suchym językiem określonych, iż czyta się dramat ten, jakby rozprawę historyczną. Akcya nie usprawiedliwia, dla czego Grachus jest bohaterem, a czemu Scypion potworny — bo właściwa publika nie znająca historyi Rzymu, nie pojmuje o co obydwu przeciwnikom politycznym idzie, i czem Scypion zawinił. Usunięcie wczesne Scypiona z akcyi, przerywa wątek tragedyi, i nawięzuje się druga nić intrygi, przez wystąpienie Druzusa. Sam bohater, to marzyciel, frazeolog, a nie zapaśnik potężny, około którego kręciłaby się nić tragiczności. Te błędy zarzucane autorowi, wystąpiły jeszcze jaskrawiej w głośnem czytaniu na pełnem zebraniu. Raziła całość sztuki rozwlekła, interes łatany epizodami, nie wiążącemi się ściśle, anachronizmy w wysłowieniach, rozprawianie zamiast działania. Komisya nabrała przekonania, iż sztuka ta nie utrzymałaby się na scenie.

Gdy sześć dramatów zwróciło na siebie uwagę komisyi, a nie miały tego powodzenia komedye, z natury przedmiotu wpływa, że łatwiej jest u nas o dramat odpowiadający warunkom scenicznego powodzenia, mianowicie w naszych politycznych stosunkach, niżeli o komedyę. Nie rozumiemy tu komedyi krotofilnej, lecz w konkursie myślimy o komedyi, wyższej społecznej doniosłości. Autor mający niejaką świadomość kunsztu dramatycznego, może, zwłaszcza jeżeli wierszem pisze, pochwyciwszy którykolwiek znany a efektowy dziejowy temat, lub wypadek jaki tragicznością nacechowany, wydobyć z tego udatne tło dramatu.

Może on tylko podnieść narzucające się jemu z treści przedmiotu efekta. Wrażeń tych dostarczą mu znane tragiczne fakta, dostarczą postacie charakterystyczne, obudzające litość lub grozę. Wielkie namiętności, starcia się tychże, będące kanwą dramatu, same przez się (jeżeli wypowiedziane są odpowiednim podniosłym językiem) przemówią do widza i słuchacza. Namiętności spożytkowane w dramacie, trzeba tylko umieć oświecić żywo lub jaskrawo.

Inaczej rzecz się ma z obmyśleniem dobrej komedyi seryo, scenicznej. W ogóle pisanie u nas komedyi społecznej,

w stosunkach naszych politycznych, gdy nie mamy własnego rządu, władzy i dworu, jest co do nasuwać się mogącego materyału, bardzo utrudnione. Komedya polska, zacieśniając się w ramach naszego politycznie ubezwładnionego społeczeństwa, nie może być różnorodną i bogatą. Materyał u nas znacznie uboższy niż u narodów, które cieszą się niezawisłością. A nareszcie smutna nasza dola obecna pozbawiając nas dobrego humoru pozbawia tem samem komedyę narodową głównego jej żywiołu.

Ztąd też tak trudno o dobrą komedyę oryginalną, któraby umiała odmalować, coraz odmienne stosunki życia, nie przypominając już raz zużytkowanych przez poprzedników, ztąd też i trudne zadanie komedyi konkursowej, w obec współubiegającego się dramatu.

O ile łatwo dajemy się ująć poezyi historycznego malowidła, o tyle mniej nas pociąga za sobą cichy obrazek społecznej lub zaściankowej prozy. Ztąd napisanie komedyi takiej, którąby od razu podziałała na nas, tak jak podziaływa dramat, jest arcytrudne. Ztąd chętniej biorą się autorowie do pisania dramatu aniżeli komedyi, wiedząc, iż na tej drodze łatwiej dobić się mogą poklasku.

Dla tego mają nie małą zasługę ci, którzy kuszą się się o napisanie komedyi seryo, komedyi dobrej, bo takiej scena polska oczekuje przedewszystkiem, a publiczność spragniona jej nieraz daje się słyszeć z tem zdaniem; co nam po dramatach w teatrze kiedy mamy ciągły dramat w życiu. Konkursa nie wydają jeszcze rezultatu w tym kierunku takiego, jakiegoby sobie życzyć należało. Uznanie jednak należy się tym, którzy z jakiem takiem powodzeniem, do konkursu stawają.

Z konkursu dorocznego, ubył komedyopisarz nieodżałowanej pamięci Narzymski, zaś inni komedyopisarze, którzy czy tu, czy we Lwowie, czy w Warszawie wyrobili sobie jakie takie uznanie, nie stanęli o ile się zdaje. Pojawili się nowi pracownicy. Na ten raz bez wielkiego powodzenia.

Jedna komedya na którą zwrócono uwagę, a która otrzymała nagrodę, była *Kupno i sprzedaż.* Temat jej wzięty jest z wyżyn stosunków społecznych, które czas dzisiejszy charakteryzują. Stawia on widza na poziomie dzisiejszej moralności publicznej i wskazuje niestrzeżone dotąd ustawą ujście zbrodni i szalbierstwa. Autor wykazuje do czego wiedzie ta atmosfera, której ostatnim komentarzem, jest obecnie ukończony proces przed sądem wiedeńskim. Tendencya sztuki jest tu widną. Galicya zetknęła się bardzo boleśnie z niemieckością w Wiedniu, wiedeński żywioł jest tematem komedyi, zetknięcie się żywiołu krajowego z szalbierstwem wiedeńskim jest ważną kartą w naszych dziejach dowodem tego miliony strat, i straty różnego rodzaju.

Zasługą więc sztuki jest, zaznajomienie widza z genezą i sposobikami tego szalbierstwa.

Tę zasługę uznała komisya. Zarzuty jednak ruszono liczne, i rozprawy o wartość sztuki były bardzo ożywione. Zgodzono się na to, że komedyá ta zbyt jest rozciągłą, dyalogi formy powieściowej, wymagają licznych nader skróceń, które przecież łatwo dadzą się wprowadzić. Zarzucono także, że cała sztuka, zdaje się mieć więcej zakrój niemiecki niżeli polski.

Pomimo tych zarzutów, uznano, iż ze względu na inne dodatnie przymioty, może sztuka ta mieć powodzenie sceniczne.

Była też przeznaczoną do czytania wspólnego komedya *Konkurenci.* Zaletą jej jest dyalog zręczny, gładki, płynny i żywy, naturalny i niewymuszony język poprawny. Lubo komedya ta nie przedstawiałaby trudności do grania, atoli nie wzbudziłaby interesu. Wszystko bowiem w niej zbyt powszednie, aby ją wywodzić na deski teatralne. Intrygi tam żadnej, a od pierwszego aktu słuchacz wie, jakie będzie rozwiązanie sztuki.

Członkowie jednej sekcyi nie zgodzili się jednomyślnie co do wartości komedyi *Pan Procentowicz.* Przemawiała za nią forma komedyi z czasów, kiedy molierowskiego zakroju sztuki z lokajami i suberetkami, miały powodzenie, i forma wiersza dość udatnego. Celem rozstrzygnienia niezgodności zdań w sekcyi, dostała się sztuka ta na pełne posiedzenie komisyi. Głośne jej czytanie okazało, że utwór ten nietylko do literackiej wartości nie może rościć sobie prawa, lecz i na scenie nie mógłby mieć żadnego powodzenia.

Komedya jednoaktowa *Marysia* była celem narad w sekcyach jako ludowa komedya. Sztuce tej zbywa na najważniejszym warunku krotofil ludowych, bo nie jest ze śpiewami. O te jednakże byłoby łatwo postarać się, gdyby osnowa była odpowiednią. Cała atoli intryga zasadza się na dwukrotnem kłamstwie i to bardzo niezręcznem. Język naszpikowany ludowemi wyrazami, niezawsze ludowemi, pretensyonalny i nienaturalny.

Te były ostateczne rezultaty rozpraw, które zakończyły się dnia 21 lutego. Na zebraniu tem uczestniczyli pp. Bartels, Kłobukowski, Benda, Estreicher, Koźmian, Potocki, Pawlikowski, Sokołowski, Szukiewicz, Tarnowski.

Przed głosowaniem Artur hr. Potocki zawnioskował, aby komisya orzekła, czy w ogóle ma być daną pierwsza nagroda lub nie. Po wyjaśnieniu udzielonem przez dyrektora teatru, iż tym razem w warunkach konkursu opuszczono zastrzeżenie wynagrodzenia sztuki „bezwzględnie dobrej,“ uchwalono ośmiu głosami przeciw dwom, iż pierwsza nagroda ma być dana.

Tajne głosowanie kartkami co do pierwszej nagrody wydało ten rezultat.

Król Mieczysław II otrzymał 7 głosów, *Dramat bez nazwy* 2 głosy, *Kupno i przedaż* 1 głos.

Otrzymał więc pierwszą nagrodę złr. 583 p. Adam Bełcikowski, autor Mieczysława II.

Na nagrodę drugą złr. 300 otrzymały głosy: Dramat bez nazwy (pięć), Kupno i przedaż (dwa), Wesele zdobywcy (dwa), Niewinni (jeden).

W powtórnem ściślejszem głosowaniu (z powodu że nie było większości) otrzymał głosy: Dramat bez nazwy (ośm), Kupno i przedaż (jeden), Wesele zdobywcy (jeden). Dramat bez nazwy zatem otrzymał nagrodę. Autor sztuki życzył sobie pozostać *incognito*.

Co do trzeciej nagrody za sztukę ludową oznaczonej, gdy takowej nie było, przeto uchwalono na wniosek p. A, Szukiewicza sumę 300 złr. pozostałą rozdzielić na nagrodę trzecią i czwartą, a to 200 i 100 złr. wynoszącą.

W głosowaniu: *Wesele zdobywcy* otrzymało pięć głosów, *Niewinni* 3, *Kupno i przedaż* 2 głosy. Dla uzyskania stanowczej większości głosowano powtórnie.

W drugiem głosowaniu *Wesele zdobywcy* uzyskało większość ośmiu głosów.

Autor jej Julian z Poradowa, znany już z zaleconej sztuki *Przeor Paulinów* na dawniejszym konkursie, otrzymał nagrodę 200 złr.

Przy głosowaniu na czwartą nagrodę: *Kupno i przedaż* otrzymała pięć głosów, *Niewinni* dwa, dwie kartki były dane białe. Zatem autor sztuki *Kupno i przedaż* Jan Baptysta otrzymał nagrodę 100 złr.

W końcu głosowano nad zaleceniem sztuk do przedstawienia. *Niewinni* otrzymali ośm głosów, *Konkurenci* cztery, *Kajus Gracchus* jeden, *Marysia* jeden. Tylko więc dramat *Niewinni*, jako mający większość, został zalecony dyrekcyi teatru. Autorem tej sztuki jest p. Władysław Okoński z Warszawy.

Z WYSTAWY OBRAZÓW.

(Iwan Grożny Matejki).

Wielki artysta malarz czy rzeźbiarz tem się wyróżnia z pośród miernych tylko adeptów sztuki, że nigdy na miejscu nie stoi. Choć już dojdzie do pewnej perfekcyi i sobie tylko właściwej odrębności w kształtowaniu swoich postaci, w wyrażaniu pędzlem lub dłutem swoich pomysłów, choć już znajdzie powszechne uznanie, dla niego każde nowe dzieło jest czemś więcej jak nowym listkiem w laurowym wieńcu jego sławy. Dla malarza jak Matejko każdy nowy obraz jest czemś nie równie więcej jak to co w nim widzimy namalowanego; jest on rozwiązaniem tysiąca technicznych i artystycznych problemów, które w nim rozwiązać artysta sobie zamierzył, lub które mu się wśród roboty nasunęły a o których najczęściej on sam tylko wie, bo z patrzących mało kto je odgaduje. Prawdziwy artysta całkiem oddany swej sztuce, dla którego sztuka jest nie tylko środkiem ale i celem i główną treścią walki życia, idącej niejako w równej mierze z tętnem jego duszy, w życiu takiego artysty nie ma chwili wypoczynku, równie jak go niemasz także w tętnie pulsu ciała i w oddechu, chyba aż w chwili śmierci. Dla niego nigdy dosyć tego co już posiada, do czego już doszedł mozolną pracą, im więcej zdobył środków odkrył sekretów sztuki, tem większą jeszcze pała żądzą potęgi i siły, i ciągle szuka, ciągle walczy, ciągle się mozoli z nowemi trudnościami, które sobie sam stawia i pokonuje, a biada mu jeśliby kiedy spoczął, byłaby to dla niego także chwila śmierci, śmierci jego artyzmu; nie idąc więcej w górę, wnetby zaczął powtarzać to co już nie raz powiedział, ugrzązłby w martwym formalizmie, i w coraz bardziej przykrzącej się manierze.

Patrząca publiczność, zajęta przedewszystkiem zewnętrzną treścią obrazu, fabułą na której osnuty zwykle niezdaje sobie sprawy z tej zakulisowej we wnętrzu duszy artysty przebytej roboty, która się na to co widzi złożyła, a jednak czuje się, gdy się przed nie zwykłego artysty znaleść dziełem, czuje się choć może nie odrazu, że tam jest coś jeszcze po za tym płutnem, rysunkiem i grą kolorów, czego nie dostrzedz w innych obrazach nawet w takich o których z resztą nic złego nie można powiedzieć, a co w tym właśnie choć mu może zresztą niejedno zarzucićby można, działa jakąś dziwną tajemniczą siłą. Otóż owe tajemnicze coś, co nas w takiem dziele zastanawia i porywa, jest właśnie wynikiem tej oczom ludzkim zakrytej, zakulisowej pracy i walki artysty jaka się w jego wnętrzu podczas kształtowania, uwidocznienia rysunkiem i kolorem, uzewnętrznienia tego co widział w duszy odgrywała.

Bo ieśli w absolutnym porządku rzeczy prawdą jest copowiedział Mickiewicz w jednym z swoich listów: że żadna choćby najtajniejsza, na pozór najbardziej marna i daremna wewnętrzna walka moralna w sercu człowieka nie jest straconą dla duszy i nieba; to prawdą niezbitą jest znowu w dziedzinie sztuki, że żadna z tych tajemnych walk prawdziwego artysty, które stacza szukając coraz głębszego, silniejszego, a prostszego i jaśniejszego wyrazu na to co chce wypowiedzieć, nie ginie dla piękności, dla wartości dzieła, choćby to na pierwszy rzut oka nie było widzialne, ile trudu i mozołu kosztowała go robota, ile razy serce jego zadrgało radością z pokonania zawsze nie posłusznej duchowi materyi, z wyrównania zbyt bijących kontrastów z odkrycia niespodzianych efektów i t. d. Właśnie ta boleść i ta radość wielkiego artysty wśród jego pracy, składają się na jego wielkość i dzieł jego, bo w sztuce im więcej trudu tem więcej cudu, a Rafael nie darmo powiedział: „geniusz to .... cierpliwość.“

Taką drogą cierpliwości, trudu szedł i idzie Matejko w oczach nas wszystkich, którzyśmy dzieła jego od początku oglądali. Nie mnie śledzić tej drogi wszystkie kroki i zwroty, we większej części tylko jemu samemu wiadome, chciałbym jednak zwrócić uwagę na jedną nić złotą łączącą wszystkie jego znaczniejsze dzieła, a jaśniejącą coraz to większym blaskiem, tak że każdy nowy obraz był zarazem nowozdobytem etapem w udoskonaleniu się, na tem polu. Obok żywej i potężnej, prawdziwie Szekspirowskiej harakterystyki w występujących na płutnach Matejki postaciach, w połączeniu z prawdziwą zawsze, niekiedy wielką dramatycznością akcyi, obok tych głównych zalet mistrza składających się właśnie na idealną stronę i treść duchową dzieł jego, jedną z głównych dążności jego było, żeby wszystko cokolwiek z pod pędzla jego wychodzi, aż do najdrobniejszych szczegółów obrazu, w zewnętrznej aparacyi swojej

uderzało oczy nasze jak najżywszą prawdą, tak żeby każde spojrzenie na obraz było jakby spotkaniem się oko w oko z rzeczywistością. Jeszcze prozaiczniej się wyrażając powiedziałbym, że mistrz położył sobie za zadanie, aby zapomocą tłustej farby na przestrzeni płutna przedmiotami malowanemi takie same właśnie na siatkówce oka naszego wywoływać senzacye, jakich wzrok ludzki przy rzeczywistem zetknięciu się z odpowiedniemi przedmiotami zewnętrznego świata doznaje. Jeśli gdzie na miejscu jest ten tak często teraz używany i nadużywany wyraz; *obiektywny*, *przedmiotowy,* to mówiąc o sposobie przedstawienia rzeczy w obrazach Matejki, u którego mianowicie w martwej naturze rywalizującej co do świetności z żywą, nie masz nic konwencyonalnego, żadnego frazesu malarskiego, któremi sobie inni artyści w traktowaniu tych zewnętrznych rzeczy pomagać zwykli, tylko sumienne, zupełne oddanie świadectwa przyrodzonej prawdzie, wszystko u niego rzeczywiste, prawdziwe istotne.

Ależ to realizm! gruby realizm! Realizm?... zgoda ale nie taki gruby jakby się zdawać mogło, jcst to raczej poezya rzeczywistości....

Od początku Matejko duchową, historyczną treść swaich obrazów ubierał w tę czarującą szatę rzeczywistości, bijącą w oczy blaskiem świetności szczegółów. W pierwszych jednak dziełach swoich nie wydobył on jeszcze z płutna czystego zupełnie naturalnego światła dziennego, w „Skardze, i w „Rejtanie“ wszystko osłonięte było jeszcze jakąś mgłą fioletowawą, w „Unii“ już pod tym względem postęp ogromny dla innego malarza jasny i czysty ton kolorytu, jaki ma Unija, byłby może zenitem, Matejko jeszcze o wiele sam siebie przesadził, w „Batorym“ jeszcze większym zajaśniał blaskiem, a już w „Dzwonie Zygm.“ dostroił koloryt do wysokości tonu w obrazie może dotąd jeszcze niewidzianej, zachowując przytem zupełną trzeźwą jego naturalność, nie wpadając wcale w sztuczne jakby elektryczne oświecenie niektórych nowszych włoskich i niemieckich malarzy. Osiągnąć taką przejrzystość siłę, a przytem zachować naturalność tonu światła, kolorytu, to dzisiaj dla malarza największy tryumf i znamienuje jego wielkość podobnie jak wielki, jasny, czysty ton na skrzypcach nie wydobędzie chyba tylko wielki artysta. Zagrał nam też p. Matejko w swoim „Dzwonie“ na najcieńszej strunie w najwyższych tonach, z siłą i maestrią niepraktykowaną, ale jeśli w „Zygmuncie“ był wielkim wirtuozem... skrzypkiem, tu znowu w najnowszym obrazie o którym tu właśnie mówić mamy; w „Iwanie Groźnym“ dobył złowrogich, melancholijnych, i jeśli można silniejszych jeszcze tonów wiolonczeli....

„Iwan Groźny“ tem się jeszcze wyróżnia od wszystkich poprzednich p. Matejki obrazów, że jest cały robiony z głowy, na pa-

mięć, szybko, w przeciągu 6 tygodni bez żadnej pomocy modeli i bezpośrednich studyów z natury rzucony na płutno, podczas gdy tamte były niejako mozajką ze samych wprost z natury wystudyowanych osób i przedmiotów. Jest on teżrobiony więcej szkicowo, nie bardzo wykończony, ale bo też kto już tak na seryo rozprawił się z naturą, tyle się z nią na mozolił i tak ją podbił pod władzę swego pędzla, ten może sobie pozwolić malować z pamięci, ten szkicowem pociągnięciem pędzla wydobędzie tyle ciepła i życia i umie nim tyle powidzieć, tak silnie i wyraźnie wyszystko naznaczyć, że resztę sobie już samemu dopowiedzieć można.

W jasną noc jakie tylko na północy widzieć można, z cerkwi drewnianej, znać po złowrogo żarzących się szybach, wewnątrz rzęsiście oświeconej, wychodzi jakby procesya, wiodąca skazanego na śmierć bojara szlachetnej postawy, nad którym właśnie w cerkwi sąd się odbył. — Na czele pochodu dwóch *Opryczników* z owego legionu wcielonych szatanów ślepo posłusznych Iwanowi, który sobie on sam uformował, na postrach i wyniszczenie „ziemskich“ to jest wszystkiego co było wówczas w Moskwie szlachetniejszego... Obydwaj ci przodujący pochodowi Oprycznicy, przepyszne postacie, jak na ów czas lekko uzbrojone, jeden z nich wznosi do góry jarzącą pochodnię, z której wiatr iskry i czarne dymy rozdmuchuje, niosą oni także owe historyczne, fantazyę godną Iwana Groźnego wymyślone godła Opryczników, jeden miotłę, drugi psią głowę na kij nawdzianą. — Za nimi idzie archierej Lewkij w pontyfikalnym ubiorze i czyta z księgi, którą przed nim na karku niesie jako żywy pulpit djaczek w białym kożuszku, grubym, mocno przepasanym, co wszystko razem robi z niego figurkę niezmiernie oryginalną, dziwnie niezgrabną, a przecież nie bez wdzięku. — Obok zaczytanego, czy śpiewającego jaką pieśń religijną (bo za Iwana tracenie skazańców było połączone z religijną ceremonią) obok archireja Lewkija, Iwana postać wyniosła, nagłym ruchem od całego wzdłuż obrazu przesuwającego się pochodu odwrócona, godzi wprost na widza, konwulsyjnie przez ślicznego chłopca, syna Iwana, Fiodora Iwanowicza powstrzymywana, tylko głowa Iwana i wzrok jego zwracają się jeszcze w kierunku pochodu, z dziwnym wyrazem grozy czy przestrachu. — Cóż jest powodem tego nagłego żachnięcia się Iwana, że aż mu pochodnia z ręki wypadła i dogorywa w śniegu zanim ją podniesie schylony drugi djaczek w kożuszku, który szedł obok wraz z karlikiem niosącym skrzynkę misternie okutą, czemu się zląkł Iwan, groźny drugim sam nieustraszony? Księżyc który właśnie chyłkiem wyjrzał z za obłoku wichrem gnanego, oświetlił nagle daleko w głębi obrazu wznoszącą się szubienicę, tak że zarysowały się na niebie ciemne sylwetki dwóch wisielców. — Każdego z nas zwykłych śmier-

telników musiałby taki widok przejąć strachem, ale Iwan IV musiał mieć chyba mocniejsze nerwy. Jednakowoż jestto symptom powtarzający się u wszystkich okrutników dawnej i nowej ery, że choć przywykli brnąć we krwi bez pamięci, z szatańską nawet roskoszą, czasem byle czego się lękają, a u Iwana częściej jeszcze jak u innych budziło się coś, niby mara jakiegoś sumienia. — Podobało się artyście w takiej właśnie chwili nam go przedstawić, kiedy mu już brakło na chwilę odwagi iść dalej swoim krwawym szlakiem. Ale nie potrwa to długo, czereda wiodąca skazanego bojara, zajęta swoją ofiarą, nawet nie wstrzymuje kroku. Tylko idąca tuż za Iwanem carowa stanęła wraz ze swą wystraszoną towarzyszką. — Carowa, nie wiem która z kolei żona Iwana, młoda, nawet ładna czarnobrewa, — bo Iwan był bardzo wybredny w wyborze żon swoich, a ile zon miał tyle było epok nowych jego okrucieństw, czyli tak zwanych *opałów*, — ale na twarzy tej młodej najmiłościwszej pani w koronie i świetnych szatach, wybornie oddana apatya i bezmyślność. — Między nią a ślicznym Fiodorem tulącym się do ojca, a zarazem go podpieracym, widać zakapturzoną głowę Borysa Godunowa przyszłego cara, z wyrazem twarzy mądrym i zdeterminowanym. — Najżywsza jednak akcya odgrywa się w około szlachetnego skazańca, przybranego na śmierć w błazeńską czapkę i błazeńską suknię, o... bo Iwan w okrucieństwach swoich był nieraz wielkim humorystą, historya zapisała po nim wiele takich żartów. — Skazanego prowadzi silnem ramieniem na powrozie czerwony kat z poufałością mówiącą wyraźnie, że to już jego własność, przebrzydła postać, ale potężna i niezmiernie charakterystyczna. Tuż za nimi i w koło banda opryczników szydzących z niewinnej ofiary, ten mu coś wrzeszczy w ucho, tamten czapkuje uniżenie, jak przed wielkim panem, dodając zapewne do tego pokłonu odpowiedni *douceur*, na czele zaś tej zgrai dowódca *Opryczników* Maluta Skuratow Bielski, figura z ohydnych najohydniejsza, w mniszym kapturze, bo Iwan jak wiemy z Karamzyna, robił nieraz klasztor ze swych Opryczników, przebierając ich za czerńców i sam nawet wdziewał mniszą opończą, Malutę Skuratowa zaś, największego faworyta swego, mianował był nawet przeorem swojej Ławry. — Maluta był jedynym z faworytów Iwana, który uszedł ręki cara aż do jego śmierci; podjudzał on złość cara przeciwko bojarom, tem że stawiał ich ciągle w podejrzeniu jakoby coś knuli przeciw swemu panu i tem gubił jednego za drugim, a postwił się nad ofiarami swemi gorzej jeszcze od Iwana.

Na tego więc Malutę Skuratowa niosącego w ręku z widocznem zadowoleniem, tylko co właśnie przez cara podpisany wyrok śmierci, nawołuje pomstę z nieba pochylona staruszka mamka Iwana Onufreja, która to sama jedna na dworze Iwana

miała ten przywilej, że wolno jej było mówić czasem prawdę. — Na pierwszym planie nie ma już więcej figur prócz wymienionych, za niemi tłumy ludu, popów, opryczników, przy świetle jarzących się pochodni, gubią się aż we drzwiach cerkwi w głębi obrazu.

Procesya ta, której celem plac tracenia, z widzialną już z daleka szubienicą, gromada pełna strasznych figur, żywych gestów, ruchu, oblana złowrogiem czerwonawem światłem pochodni wśród nocy, musi na każdym widzu zrobić wielkie wrażenie. A dopieroż ta piekielna symfonia jaką zda się słychać z tego obrazu, te śpiewy zachrypłych popów, nawoływania opryczników, przekleństwa Onufrei, przy bezustannym akompaniamencie świstu wiatru i telentu rozkołysanych kałakołów cerkiewnych, wraz z wyciem psa, którego widzimy na samym froncie obrazu w desperackiej pozie, a do tego jeszcze zapach trupi ściągający hurmy czarnego ptactwa, i przytem czad pochodniowych dymów... wszystko to razem... istne piekło na ziemi!

Wcale jednak nie ta tendencya stanowi główną wartość dzieła o którem mówimy. Wyróżnia się ono nawet od poprzednich obrazów Matejki tem, że rozpoczyna niejako nowy rodzaj w artystycznej produkcyi naszego mistrza, jest to pierwszy jego obraz puszczony w świat, choć nie jako prosty szkic, ale owszem dość już wykończony, lecz cały odrazu z głowy na płótno rzucony, subjektywny a świadczący o niezmiernem wirtuozostwie pędzla jakiem nie wiem czy kto drugi ze współczenych może się pochlubić. — Jako robota zajmująca środek między szkicem a obrazem uchyla się z pod krytyki w drobniejszych szczegółach, ależ zato całość tak jednolita, w ogólnej charakterystyce figur taka potęga żywość, i oryginalność, w kolorycie przy zwykłem u Matejki bogactwie efektów i kontrastów takie sharmonizowanie części z całością, jakiego nie było może jeszcze w żadnym jego obrazie; symfonia barw jaką się tu można rozkoszować, wynagradza nam sowicie ową piekielną muzykę o której mówiłem wyżej.

Zarzucićby można akcyi, że ma w tym obrazie dwa ogniska, jedno psychologiczne, ten niby monolog sumienia zastraszonego Iwana, drugie dramatyczne, w koło prowadzonego na śmieć bojara jakiekolwiekby jednak jeszcze czy kompozycyi czy treści obrazu, można robić zarzuty, wszystkie przygłusza radość, jakiej się doznaje patrząc na tę genijalną samodzielność i niesłychaną technikę i siłę w szybkiem i szerokiem a dobitnem i szlachetnem traktowaniu przedmiotu. Nie wątpimy, że obraz ten będzie miał wielkie powodzenie za granicą,

Ign. Skrochowski.

KRONIKA.

Kraków, *31 Marca.*

Najważniejszym niezaprzeczenie wypadkiem chwili obecnej, jest zjazd naszego monarchy z królem Wiktorem Emanuelem w Wenecyi. Jeżeli zjazd ten nie ma mieć znaczenia politycznego, to zaiste byłby on zbyt wielką, a zdaniem naszem, zbyteczną ofiarą ze strony dworu wiedeńskiego. Pięknie to, szlachetnie wznieść się nad wszystko, nad miłość własną, wspomnienia, a nawet nad głębokie boleści; ale trzeba wiedzieć, na co i dla kogo. Że takie ofiary umie ponosić monarcha, nieraz tego złożył świetne dowody; lecz doradzać mu je lekkomyślnie bez celu, byłoby niebezpiecznym błędem, nic nie zużywa ofiary, jak jej bezużyteczność, i nic łatwiejszego, jak przemienić szczytne poświęcenie w banalność. Takiem banalnem poświęceniem byłoby spotkanie się Cesarza austryackiego z królem Wiktorem Emanuelem w Wenecyi, gdyby nie miało ważniejszego powodu, lub gdyby było tylko kurtoazyą ze strony hr. Andrassego dla ks. Bismarka. Aczkolwiek wszystko w dzisiejszych czasach przypuszczać należy, to przypuszczać, wstrętnem nam jest. Czy nie możnaby raczej mniemać, że wszystkim a więc i Włochom ciężyć zaczyna nieco już nie przewaga, ale niedelikatność i bezwzględność przewagi Niemiec i ich rządu, który mniej więcej mięszać się zaczyna do spraw wewnętrznych wszystkich państw. Mówiono, a łatwo dać temu wiarę, że z powodu ostatniej encykliki papieża do biskupów niemieckich ks. Bismark, czy to zapomocą noty, czy ustnych przedstawień p. Keudela, usiłował wywrzeć pewną presyę na rząd włoski, aby go nakłonić do pogwałcenia względem Ojca świętego nawet tych ustaw, które za jego inicya-

tywą uchwalonemi zostały; bardzo to prawdopodobne już dla tego samego, że byłoby to w kierunku siła przed prawem, choćby najlichszem. Otóż zdaniem naszem rząd włoski, może niecnie i niesłusznie postępować z Papieżem, lecz jest przecież rządem włoskim, a o ile jest włoskim, nie może zapomnieć ważności i doniosłości papiestwa dla Włoch, nie może zapominać, że Włochy bez papiestwa przestają być czynnikiem wielkich europejskich spraw; rząd włoski może dokuczać, krzywdzić, okradać papiestwo, może z niem walczyć, ale musi je przy życiu utrzymać, a szczególniej nie może pozwolić, aby je zabito. Jest tu pewna granica, której mąż stanu włoski przy zdrowych zmysłach nie przekroczy nigdy.

Ustąpienie zaś w tej sprawie pod obcym naciskiem, nie byłoby zapewne grobem dla papiestwa, ale byłoby niezawodnie samobójstwem jakiegobądź rządu włoskiego. Przypuścić wolno, że gdyby nawet Garibaldy był pierwszym ministrem, nie uległby pod podobnym naciskiem i szukałby środków oparcia mu się. Jeżeli tą myślą wśród trudnych okoliczności w jakich się naraz znalazł rząd włoski, kierował się on przygotowując zjazd w Wenecyi, to zaiste może on mieć nie małą doniosłość, nie małe znaczenie i mieć musi za sobą sympatye wszystkich szlachetnych serc i tych wszystkich, którym już zbyt duszno w atmosferze przesiąkniętej wszechwładzą i wszechzarozumiałością niemiecką. Prawda, że doniosłość ta i znaczenie, zależnemi będą także wielce od tego, jak z danych okoliczności skorzystać będzie umiała i zechce polityka austryacka i jej przedstawiciel hr. Andrasy. Przyszłość to okaże, ale to pewna, że byłoby to nie małą zręcznością, schlebiając liberałom i bezwyznaniowcom, przygotować sojusz dwóch państw katolickich na gruncie interesów katolickich. Czy hr. Andrasy jest na wysokości tej zręczności? Życzyć mu tego można, choćby się w to nie wierzyło.

W przyszłym miesiącu zbierają się sejmy krajowe, monarchii. Powinnaby to być ważna chwila, tem więcej, że jak się zdaje, będą one mogły nareszcie dłużej, a tem samem swobodniej obradować. Niestety, sejmy, które mogłyby coś zrobić, nie zechcą nic zrobić, a te któreby chciały coś zrobić, nic zrobić nie potrafią Tej wadzie organicznej nie zaradzi zaprawdę zmiana marszałka sejmu.

St. Koźmian.